

NIE FAŁSZUJCIE HISTORII!
NA WESTERPLATTE GINĘLI ŻOŁNIERZE Z CAŁEJ POLSKI. ÓWCZEŚNI GDAŃSZCZANIE TAM BYLI, ALE PO DRUGIEJ STRONIE

LOTNE BRYGADY OPOZYCJI CYWILIZUJĄ „DZIKI WSCHÓD"

O ZOSI, KTÓRA MA BYĆ BARTKIEM – EKSPERYMENTY NA DZIECIACH WKRACZAJĄ DO POLSKI



SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 28 (346) 2019
15–21 lipca
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

JAK BIEDROŃ WSZYSTKICH WYKIWAŁ

TYLKO U NAS

ZAPOWIADANA JAKO NOWA POLITYCZNA JAKOŚĆ PARTIA WIOSNA OKAZAŁA SIĘ WYŁĄCZNIE TRAMPOLINĄ DO BRUKSELI DLA BLISKICH I KUMPLI LIDERA. WYSTAWIENI DO WIATRU DZIAŁACZE I WYBORCY NIE KRYJĄ ZŁOŚCI

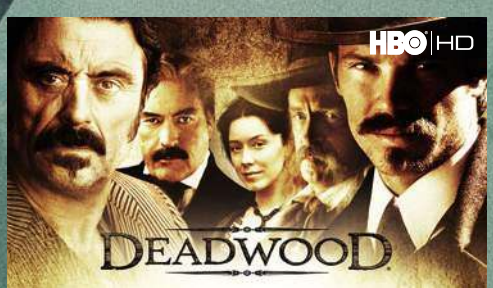
ILUSTRACJA: REDAKCYJNY FOTOMONTAŻ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

CZARNOBYL

HBO HD HBO GO







Najlepsze filmy, seriale i sport na start

3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

Oferta dostępna również w telewizji kablowej w technologii IPTV!

Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu i usług dodatkowych na czas nieokreślony. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. PGE Ekstraliga w ELEVEN SPORTS. „Czarnobyl" © 2019 Home Box Office, Inc. „Deadwood" © 2016 Home Box Office, Inc. „Wielkie kłamstewka" © Home Box Office, Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone.

eprasa.pl 4bd55e39c4

Wyprawa na teren przeciwnika

Nie było w czasie ostatnich czterech lat wydarzenia, którego intelektualne znaczenie można by choćby porównać z katowicką konwencją programową PiS „Myśląc: Polska 2019". Ponad 450 panelistów, 16 sesji tematycznych, kilkadziesiąt paneli, tematyczne objęcie niemal całej państwowo-gospodarczo-społecznej rzeczywistości. Sam mogłem uczestniczyć w kilku i trudno zaprzeczyć, że stały na bardzo wysokim poziomie.

Jaki cel chce osiągnąć obóz Jarosława Kaczyńskiego, tak mocno akcentując element programowy? Po co wydaje pieniądze na debaty na najwyższym poziomie, i to w sytuacji, gdy konkurencja nawet nie próbuje na tym polu rywalizować? Ma przecież po czteroleciu rządów mocną pozycję sondażową i duży autorytet wiarygodności.

Częściowo odpowiedzi padają z ust samych organizatorów i uczestników konwencji. Jest tu element wyborczy, bo z konwencji mają wyjść tezy programowe i wyborcze na jesień. Ważne jest podkreślenie jedności obozu i jego aktywizacja. Chodzi też o powtórzenie mechanizmu z lat 2015–2019, czyli stworzenie ambitnej agendy programowej, która już przed wyborami ustawia cel rządów, nie pozwala gnuśnieć. Widać tu próbę nadania polskiej polityce charakteru długofalowego, przełamania doraźności działania państwa (Jarosław Kaczyński: „Nie można myśleć tylko na cztery lata, trzeba myśleć na wiele lat do przodu, bo tylko wtedy można uzyskiwać rzeczywiste sukcesy"). Kolejny czynnik, kontrast z infantylną i błahą opozycją, tworzy się naturalnie.

Obserwując z bliska konwencję, rozmawiając z uczestnikami, dostrzegłem jeszcze coś. Wyłania się z tego spotkania plan nie tylko obrony stanu posiadania, kontynuowania linii rządzenia w (ewentualnej) kolejnej kadencji, lecz także wyprawy na teren konkurentów politycznych. Konieczność zabiegania także o nowych wyborców podkreślał prezes Jarosław Kaczyński, mówił też o tym wicepremier Jarosław Gowin: „W wielkich miastach jest uwięziony wielki kapitał, który trzeba wyzwolić, który może służyć dobru kolejnych pokoleń. Chcemy zawalczyć o zaufanie i poparcie elektoratu wielkomiejskiego. Mamy świadomość, że dziś duża część tego elektoratu jest przeciwko nam, że nie rozumieją i nie podzielają naszych celów. To bardzo rzadko ludzie złej woli. Można ich przekonać do dobrego programu, a taki ma Zjednoczona Prawica".

Czy to możliwe? Na pewno to trudne zadanie, bo w wielu tych środowiskach dominuje egoizm klasowy, przekonanie, iż liczy się wyłącznie własny interes. Takich ludzi trudno wciągnąć do współudziału w ambitnym zadaniu budowy siły Polski. Ale próbować warto.

Współgrało to wszystko z tematyką debat, podnoszonym tam wyjątkowo mocno wątkiem modernizacji oraz dominantami programowymi na kolejną kadencję, sygnalizowanymi przez Mateusza Morawieckiego. Premier wymienił pięć kluczowych obszarów: służbę zdrowia, edukację, ochronę środowiska, transformację energetyki, ambitne projekty cywilizacyjne. I dodał: „Do odważnych świat należy".

Jakkolwiek by patrzeć, to program bardzo atrakcyjny dla klasy średniej. Oczywiście tematy tradycyjnie „pisowskie" i ważne – bezpieczeństwo, obrona rodziny, program rolniczo-wiejski, Unia Europejska – też mocno wybrzmiewały (świetny minister rolnictwa Ardanowski, ważne przemówienie byłej premier Szydło, doskonały prof. Krasnodębski i jego panel!), ale nie przypadkiem sam szef rządu wybrał inne akcenty.

Sądzę, że prędzej czy później zrodzi się z tego ofensywa programowa PiS właśnie w kierunku owej klasy wielkomiejskiej. Nie zdziwiłbym się, gdyby tam właśnie, a nie w powszechnie spodziewanym obszarze prorodzinno-socjalnym, poszło jesienne uderzenie kampanijne obozu Kaczyńskiego.

To oczywiście tylko moja analiza, ale poczucie, że nowa oferta pisowska nie będzie prostym powtórzeniem majowej propozycji, że będzie próbą uderzenia w punkty, które opozycja uważa za na pewno własne, mam po katowickiej konwencji bardzo mocne.

Paliwa nie brakuje: klasa średnia marząca o zielonym mieście nawet w tych dniach jest w Warszawie zdradzana przez swoich wybrańców, godzących się na zabudowywanie ostatnich enklaw przyrodniczych. Także obóz prawicy jawi się jako gwarancja spokoju od ideologicznych szaleństw, to on dziś „nie chce nikomu zaglądać do sypialni". Otwiera to niemożliwe jeszcze kilka lat temu do wyobrażenia perspektywy.

Michał Karnowski



58/0319/F
eprasa.pl 4bd

SIECI

spis treści



26 *Polowanie na szpiega*
Konrad Kołodziejski



42 Z Witoldem Bańką
rozmawia
Edyta Hołdyńska



58 Nowy wspaniały świat według Sorosa
Aleksandra Jakubowska

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ZDARTY JAK BUT**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **EKSPOZA TUSKOZA I WOTUM ZADUFANIA**
Jan Pietrzak

15 **POLITYCZNI KIBOLE**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **SPÓŁDZIELCZOŚĆ PO NOWEMU**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **PRZEKWITANIE**
Marcin Wikło, Marek Pyza

KRAJ

26 **POLOWANIE NA SZPIEGA**
Konrad Kołodziejski

30 **KOWBOJE I INDIANIE**
Stanisław Janecki

33 **Z DR. TOMASZEM ŻUKOWSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek

36 **INSTRUKCJE Z CZERSKIEJ**
Jakub Maciejewski

39 **NIE FAŁSZUJCIE TEJ HISTORII**
Andrzej Rafał Potocki

42 **Z WITOLDEM BAŃKĄ**
rozmawia Edyta Hołdyńska

46 **O ZOSI, KTÓRA MA BYĆ BARTKIEM**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

49 **MARZENIA SIĘ SPEŁNIAJĄ**
Jolanta Gajda-Zadworna

52 **GŁOS JAZZU, POEZJI I KINA**
Adam Ciesielski

53 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

54 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

56 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

58 **NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT WEDŁUG SOROSA**
Aleksandra Jakubowska

64 **R JAK RADIO MARYJA**
Hanna Karp

HISTORIA

66 **NIECHCIANY PREZYDENT**
Grzegorz Majchrzak, Sebastian Ligarski

ŚWIAT

69 **CZECHY U PROGU PRZESILENIA**
Jan Rokita

GOSPODARKA

80 **ELEKTROWNIE JĄDROWE, ALE JAKIE**
Andrzej Strupczewski

PODRÓŻE

86 **MOJE SZLAKI: DAMIAN KORDAS**
Jolanta Gajda-Zadworna

87 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

88 **NIECHCIANA ROCZNICA?**
Wojciech Reszczyński

90 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **DEPOZYT**
Aleksander Nalaskowski

93 **DOWÓD Z DOLASA**
Wiktor Świetlik

94 **LEKCJA CZYTANIA MAPY**
Jan Pospieszalski

95 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **UKRADLI JEJ PATRIOTYZM**
Ryszard Makowski

97 **CZYTANIE WIERSZY MIŁOSNYCH Z OBOWIĄZKU...**
Leszek Długosz

98 **GŁOSY Z WIELKIEJ KONWENCJI**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

21/0619/F

eprasa.pl 4bd55e39c4


PGE
Zapewniamy energię
Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.
Dbamy o to, aby pod Twoim dachem nigdy
nie zabrakło dobrej energii.
Jesteśmy przy Tobie.
www.gkpge.pl



Sygnalista nadaje

Aleksandra Dulkiewicz coraz częściej potwierdza, że byłaby niezłą kandydatką na prezydenta z punktu widzenia PiS. Nie ma dnia, by nie pojechała po bandzie. Teraz stwierdziła: „Tej wiosny, niemal każdego dnia, dostawałam wiadomości o kolejnych próbach samobójczych w ostatnich klasach podstawówki czy gimnazjum". Jej zdaniem to wina rządu, który „wytworzył dodatkową presję na młodych ludzi" za sprawą reformy edukacyjnej. Gdyby przyznawano polityczną Hienę Roku, mielibyśmy faworyta.

Dulkiewicz wsparł wiceprezydent Warszawy ***Paweł Rabiej***: „Absolutnie prawdziwe słowa. Pseudoreforma edukacji to również jedna z przyczyn kłopotów psychicznych młodzieży w Warszawie". Co prawda fragmentaryczne dane – a tylko takie są dostępne – tego nie potwierdzają, a nawet wskazują na spadek prób samobójczych w związku z problemami w szkole, ale w PiS można przecież rzucić każdym kamieniem, choćby najbardziej podłym. A przecież gdyby to ktoś z PiS użył podobnego argumentu, nie wyszedłby z tego cało. Im jednak wciąż wolno dużo więcej.

Platforma w kampanii będzie stawiała na emocje i ceny. „Drożyzna dobija portfele Polaków. Będziemy rozmawiać w kampanii o drożyźnie i będziemy przedstawiać nasze rozwiązania, jak temu problemowi zapobiec. To jest główny temat kampanii wyborczej, bo to najbardziej boli Polaków" – ogłosił szef sztabu PO ***Krzysztof Brejza***. Na dowód przedstawił paragon z cenami, ale chyba z bardzo drogiego sklepu. Bo np. w Carrfourze Łaciate masło ekstra kosztuje 6,59 zł (według Brejzy 9 zł), a schab 17 zł za kilogram (według Brejzy 22 zł). I tak można ciągnąć. PO – partią luksusu?

Opozycja nadal nie może się zdecydować, czy w Polsce jest źle, czy dobrze. Inny członek sztabu PO, prezydent Sopotu Jacek Karnowski, atakuje PiS z innej flanki: „PiS ma bardzo łatwą rolę. Konsumuje swoją władzę. Zachowuje się jak Edward Gierek, rozdając na lewo i prawo. Nawet ostatnio słychać ze strony PiS słynne: »Pomożecie«?". Ostrzegamy: każde porównanie PiS do Gierka to pół punktu poparcia więcej dla partii Kaczyńskiego. Swój naród warto znać.

Pierwszym poważnym strzałem w kampanii była bitwa o Węgrów. ***Arłukowicz*** i wesoła kompania szczerze wyśmiali pana Andrzeja, którego wzięli za wyborcę PiS. Po fali krytyki wrócili i nagrali kolejny spot. „My po prostu lubimy ludzi. My się do ludzi uśmiechamy, a nie wyśmiewamy" – zapewniał Arłukowicz, a pan Andrzej dodał: „Nie czuję żadnej urazy, bo nie było nawet powodu, żebym się miał czuć urażony". Niektórzy zwrócili uwagę, że podczas drugiego nagrania pan Andrzej mocno trzymał w rękach portfel, ale to pewnie tylko przypadek bez znaczenia.

Czy jednak opozycja może w ogóle wygrać, skoro aż 62,6 proc. ankietowanych przez pracownię Social Changes nie jest w stanie odpowiedzieć na pytanie: „Kto powinien być kandydatem opozycji na premiera?". Niemal 15 proc. wskazało na Donalda Tuska, po 5 proc. na Rafała Trzaskowskiego, Władysława Kosiniaka-Kamysza i Aleksandrę Dulkiewicz. Grzegorz Schetyna uzyskał... 0,9 proc. Jeśli po wyborach Schetyna utrzyma się na stołku lidera, będzie mistrzem świata w grach gabinetowych i wykręcaniu ręki.

Może jednak PiS powinno samo oddać władzę opozycji? Wojciech Sadurski („profesor") przestrzega: „Jeśli PiS wygra – co nie daj Bóg! – i zechce zrealizować swe antykonstytucyjne pogróżki kontroli nad mediami prywatnymi, podporządkowania ostatnich sędziów itp. – będzie to zwycięstwo pyrrusowe. Zobaczą, co znaczy nieposłuszeństwo obywatelskie i pożałują dnia, w którym wygrali". Może by usłuchali, ale inni mówią, że PiS pożałuje dnia, w którym przegrało. Więc w sumie chyba lepiej wygrać.

eprasa.pl 4bd55e39c4

Wspomniana prezydent Gdańska próbuje stawiać rządowi warunki w sprawie Westerplatte („Warunkiem rozmowy jest wycofanie prac nad specustawą"). W tej sprawie jest jednak na przegranej pozycji, bo nawet „Fakt" poparł pisowski projekt, stwierdzając w komentarzu redakcyjnym: „Gdyby Westerplatte było tylko miejscem związanym z historią Gdańska, to od biedy mógłbym zrozumieć, że prezydent tego miasta chce tam zrobić lokalne muzeum. To jest jednak symbol walki o niepodległość całej Polski". W sumie „odpowiedzialność za to miejsce musi wziąć całe nasze niepodległe państwo". Presja ma sens.



Przynajmniej w tej sprawie „Fakt" nie zachował się jak – jak to mówią – „gazeta założona przez Niemców dla Polaków". W „Wyborczej" dą w drugą stronę. Z opiniotwórczego i jednak ciekawego świata dziennika nie pozostało już nic. Dziś „GW" to już tylko rodzaj biuletynu środowisk LGBT. Nie ma dla Czerskiej sprawy ważniejszej, tylko to zdaje się ją szczerze interesować (oprócz walki z PiS, rzecz jasna). Może to powrót do młodości, gdy wszystko kręciło się wokół walki klas? A może inna choroba?



Paradoksalnie również na łamach „GW" można znaleźć przestrogi, że to wszystko ślepa uliczka. W środę gazeta donosiła: „Piekło francuskich kobiet. W minionych dziesięciu latach ginęła jedna co trzy dni, w tym roku – co dwa. We Francji niepokojąco rośnie liczba kobiet, które ponoszą śmierć z rąk partnerów". Skąd bierze się to „kobietobójstwo"? To „zbrodnia właściciela, który nie może zdzierżyć, że żona mu się wymyka". Skoro Francja jest tam, gdzie jest, pomimo drogi, którą przeszła, to może nie warto iść jej śladem?



Czerska – w opinii wielu jedno z najbardziej zamordystycznych środowisk intelektualnych w polskiej historii – zawsze ochoczo macha sztandarem wolności. I boli ją, że PiS też macha. „Chcą oni [ludzie PiS] uchodzić za »ludzi wolności«. Na pokaz. Kilku z nich – z prezesem Jarosławem Kaczyńskim na czele – nosi nawet ten dumny tytuł przyznawany przez jedną z prorządowych redakcji" – pisał kilka dni temu Czuchnowski. Pełna zgoda. Człowiek Wolności tygodnika „Sieci" to ważny tytuł, którą można i należy nosić z dumą.



Na represje się nie zanosi, ale sędzia Igor Tuleya wciąż o nich marzy. „Zgadzam się z prezesem Iustitii, że tak naprawdę już nie ma różnicy między Polską a krajami jak Białoruś, czy Turcja (...). Nie bójmy się tego słowa, ten aparat terroru przeciwko niezawisłości sędziowskiej nabierze rozpędu i myślę, że to kwestia czasu, kiedy i u nas sędziowie trafią za kratki" – oświadczył. Cóż, rozumiemy, że nie wszyscy sędziowie są bystrzy, ale może ktoś by im powiedział, że PiS kierują ludzie naprawdę inteligentni?

Wciąż nie milkną echa głośnej sprawy pracownika Ikei wyrzuconego za zacytowanie Pisma Świętego. „Kościół już w X wieku zakazuje ludziom samodzielnego czytania Biblii, a pan, który jest od skręcania mebli, a nie jest od siania nienawiści, łączy fragment ze św. Łukasza (...), który kieruje się do księży i zwierzchników..." – oceniła prof. Monika Płatek, karnista, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego. Trochę bełkotliwie, ale sens jest jasny: zwykły Polak ma skręcać meble, a nie sprzeciwiać się ideologii LGBT.

Na szczęście Polacy nie pękają. Na pytanie: „Czy w Pani/Pana ocenie firmy powinny angażować się w promocję środowisk LGBT?" – 60 proc. odpowiada „zdecydowanie nie" lub „raczej nie"; przeciwnego zdania jest ledwie 11 proc. (badanie Social Changes). Ale nie miejmy złudzeń: jeśli nie zatrzymamy tęczowej fali na poziomie instytucjonalnym, prawnym i finansowym, wcześniej czy później zaleje nas wszystkich.

W Parlamencie Europejskim PiS ma przedstawicieli w trzech komisjach, ale kandydaturę ***Beaty Szydło*** na stanowisko przewodniczącej komisji zatrudnienia i spraw socjalnych utrącono. Zwykła zemsta za szczyt w Brukseli, który tylko potwierdza, że Polska naprawdę zmieniła tam bieg historii. Co ciekawe, we władzach komisji PE nie ma też nikogo z Ligi. To „obraza dla demokracji", „rasizm" i „uprzedzenie" – skomentował Matteo Salvini. Kolejny, który nazywa rzeczy po imieniu, i wciąż idzie w górę. W ostatnich sondażach Liga ma we Włoszech już 38 proc. poparcia.

Po próbie zdemolowania lub choćby podminowania pamięci o wojnie obronnej 1939 r., powstaniu warszawskim, żołnierzach wyklętych, teraz Piotr Zychowicz wziął się za Armię Krajową. „Gdzie była AK, gdy UPA mordowała Polaków?" – reklamuje swoją najnowszą książkę „Wołyń zdradzony". Pewnie dobrze się sprzedają, pewnie mają swoich wyznawców, ale co z tej historycznej dänikenszczyzny wynika dla Polski? Nic poza budowaniem przekonania, że w sumie to naprawdę byliśmy beznadziejni. To inna wersja pedagogiki wstydu.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Julita Szewczyk, Adam Chełstowski

eprasa.pl 4bd55e39c4

Zdarty jak but



KRZYSZTOF FEUSETTE

Kim jesteś? Jesteś zwycięzcą! Kim jesteś? Jesteś zwycięzcą!!! Kim?! Zwycięzcą!!! Dobra, jeszcze raz. Kim jesteś? Jesteś zwycięzcą!!! Kim jesteś? Jesteś Arłukowicz Bartosz! Hasztag Twój Szwab, to znaczy Sztab. Kuźwa, źle. Nigdy się tego nie nauczę. Najpierw imię, potem nazwisko. Kim jesteś, Bartek?! Jesteś Arłukowiczem. Kim?! Arłukowiczem! Przyszłym liderem opozycji! Wróć, jakiej opozycji? Co ja brejzę? To znaczy: bredzę? Przecież ja nie będę w opozycji do usranej śmierci. Tu trzeba tworzyć rząd, a nie wiecznie narzekać.

Kuźwa, trzy pary butów schodziłem w kampanii, żeby za benzynę bez sensu nie płacić, i na co mi to było? Miała być Bruksela, ośmiornice po seczuańsku i wino z Toskanii, a trzeba jechać do Węgrowa i Nowackiej powtarzać, że ładnie wygląda, bo inaczej z busa nie wyjdzie. Szlag by trafił tę całą Polskę B, C, a najbardziej to do D, kto im dał w ogóle prawa wyborcze? Jak sobie pomyślę, że jeszcze niedawno, za demokracji, siedział człowiek w komisji do spraw afery hazardowej i jeździł po Platformie jak po łysej kobyle, a dzisiaj sam musi między kobyłami platformerski slalom po kraju urządzać, to mi się słabo robi. O, już mnie w nosie coś kłuje... Czy jest na sali lekarz? Jest, tylko niepraktykujący. I co, źle ci było, Bartek, w tej służbie zdrowia? Trochę się dzieciaki poleczyło, poszło się w politykę, było się nadzieją lewicy, przyszedł Donald i przyniósł pączki, „całuje rączki, całuję rączki", nowe stanowisko – do spraw wykrzaczonych czy jakoś tak, potem resort zdrowia. Się żyło, się odseparowywało od tego syfu, się bawiło, jak fejsbuk przykazał. A teraz? Bartek, przynieś; Bartek, wynieś; Bartek, pozamiataj. To pozamiatałem. Najlepszy wynik z całej Koalicji Europejskiej! Nic, tylko walizki pakować i Donka w Radzie Europejskiej zastąpić, póki się Kopaczowa na dziedzińcu nie ogarnęła. Nie, nie można. Kuźwa, ja mam już gorzej niż Oleksy, którego wszędzie potrzebowali. Ja nie mam w co rąk włożyć. A kiedy spać? Kiedy na mieście poszaleć?

Dobra, żeby jeszcze człowiek mógł pojechać, napluć pisiorowi w gębę i na wstecznym te tereny bagienne opuścić. To wzięli i mi coś w busie dosypali, chociaż za rękę nie złapałem. Wysiadam na tych Węgrzech, coś tam „eszke szege rege" – próbuję konwersować, a tu mnie Baśka za łokieć szarpie i mówi, iż kierowca twierdzi, że to nie są Węgry, tylko Węgrów. W Polsce. „No, tak – myślę – w sumie logiczne, w końcu wybory w Polsce będą, nie u Orbána dyktatora". Ale już mi budę jakąś pokazują, to się o „peszt" dla żartu zapytałem, że my niby do Budapesztu jedziemy. Peszt nie ma, pasztet jest. Okazuje się, że mieszka w miasteczku człowiek, który na PiS nie głosował. A u mnie od razu zaświtanko w głowie: jakbym takiego do Warszawy przywiózł i Olejnikowej na kozetce posadził, to mi się słupek sondażowy tak podniesie, że mózg staje. Idziemy gościa szukać, Nowacka lewą stroną ulicy, lumpeksy obstawia, jakby to się jednak baba okazała, a ja po monopolowych, bo gdzie teraz antypisowiec ukojenie znajdzie jak nie przy „krówce" jakiejś, jakby to Olka Dulkiewicz powiedziała, gdyby coś pamiętała. Nagle patrzę: wychodzi ze spożywczego facet z taką frustracją na twarzy, że nawet Donald to jest przy nim wesoły Romek. Od razu uderzam z prowokacją: „Słyszałem, że pan na PiS głosuje...", a on tylko burknął coś i ucieka. Nowacka to się ze śmiechu prawie posikała, mnie też szczęka chodzi, a tu słyszę, że Arłukowicz ludźmi pogardza. No, ludzie, jakimi ludźmi? Przecież myśmy tylko do Węgrowa dojechali. Szkoda gadać, trzeba było pożar gasić, więc jeszcze raz na to zadupie, gdzie psy, wiadomo, czym szczekają, i dawaj – pana Andrzejka na kolanach błagać, żeby potwierdził, iż na PiS nie głosuje. Jeszcze mi Grzegorz na pożegnanie rzucił: „A nie wracaj bez dowodów rzeczowych!". Na szczęście rękę mi człowiek podał, więc dowód był niezbity – nie da się na PiS głosować i ręki Arłukowiczowi podać. A w TVP co się w tym czasie odbywa? Znowu jatka: że ja podobno nie antypisowca szukałem, tylko na solo chciałem właśnie z pisowcem wyjść. To już trzeba nie mieć rozumu zupełnie. Przy mojej odwadze? I co miałbym mu powiedzieć? „Porozmawiajmy"? O czym ja mogę rozmawiać z takim plebsem nieoświeconym, jak profesor Sadurski pisał, rozmawiać? O OFE? O sześciolatkach do szkół posyłanych? O firmie w jednym okienku, co ją Donald obiecywał, albo „Pakcie dla kultury", co go też nie dotrzymał?

My musimy być bliżej ludzi, nie mówię, że nie. Ale trochę inaczej. Nie możemy pytać, co im się podoba, a co nie, bo od razu o pięćset plusie zaczną gadać albo wyprawce do szkoły. Tutaj trzeba, jak te edukatorki, co dzieciom bajki o masturbacji czytają – sposobem. Dał nam przykład Krzysztof Brejza, jak zwyciężać mamy. Jak z tymi lekami – napisała gazeta, że są niedobory w aptekach, bo Chińczycy fabryki zamknęli, Unia przepisy dla producentów zaostrzyła, a do tego dochodzi nielegalny wywóz za granicę. I co nasz szef sztabu powiedział? Jak z tym toj-tojem: „Spalili, panie, spalili pod oknem, żeby posła bohatera gównianym dymem wykurzyć!". A teraz? „PiS, ludzie, PiS leki pochowało, żeby platformerski elektorat wykończyć!".

A co, może nieprawda? Wiadomo, jak jest. Kaczyński, jak się na kogoś uweźmie, to choćby miał władzę w Chinach przejąć, nie odpuści. Ale żarty się skończyły, nie wie, z kim się mierzy. Kim jesteś? Jesteś zwycięzcą! Kim jesteś?! Jesteś zwycięzcą!!! Tak jest, o to chodzi. Muszę tylko większe lustro kupić, bo mi się zaraz ego nie zmieści.

34/0519/F

eprasa.pl 4bd55e39c4

Bank Pekao

BIERZ ŻYCIE ZA ROGI



Z ŻYCIA MAM TYLE, ILE SAM PRZEŻYJĘ.

Marcin Mossakowski | podróżnik i filmowiec

Płać kartą rewolucyjną z gwarancją niskich kursów na całym świecie

- przewalutowanie przy płatności kartą do konta w PLN
- wypłaty kartą z bankomatów za granicą[1]
- prowadzenie Konta Przekorzystnego i obsługę karty[1]

0 zł prowizji banku za:

Karta rewolucyjna to karta debetowa Mastercard do Konta Przekorzystnego. Gwarancja niskich kursów dotyczy płatności za granicą tą kartą, rozliczanych w ramach środków w PLN, dostępnych na Koncie Przekorzystnym, polega na rozliczeniu płatności po kursach organizacji płatniczej Mastercard bez dodatkowych prowizji banku za przewalutowanie i bez doliczania marży banku do kursu wymiany. Nie dotyczy to sytuacji, gdy klient akceptuje przewalutowanie transakcji po kursie oferowanym w punkcie zlecania płatności. Gwarancja nie obejmuje poziomu kursów Mastercard, które mogą wzrastać lub spadać. Pełne informacje o karcie debetowej Mastercard znajdziesz w naszych oddziałach.

[1] 0 zł w przypadku wpływu na konto w poprzednim miesiącu kalendarzowym min. 500 zł przelewem z zewnątrz lub z konta firmowego w Banku Pekao S.A. i min. 1 płatności kartą debetową do konta lub aplikacją PeoPay. Do ukończenia 26. roku życia 0 zł za prowadzenie Konta Przekorzystnego, obsługę karty do tego konta oraz brak prowizji banku za wypłaty kartą ze wszystkich bankomatów w Polsce i za granicą są bezwarunkowe.

Pojęcia: wypłata, prowadzenie konta, obsługa karty, przelew i PeoPay odpowiadają następującym określeniom z rozporządzenia Ministra Rozwoju i Finansów z 14.07.2017 r. w sprawie wykazu usług reprezentatywnych powiązanych z rachunkiem płatniczym (Dz.U.2017.1437): wypłata gotówki, prowadzenie rachunku płatniczego, obsługa karty debetowej, polecenie przelewu / polecenie przelewu wewnętrznego, usługa bankowości elektronicznej. Stosowne definicje znajdziesz na pekao.com.pl/definicje. I **Bank Pekao S.A.**

eprasa.pl 4bd55e39c4



Polski obowiązek

Wołyń – symbol najstraszniejszej zbrodni. Nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć, skąd w oprawcach wzięło się aż takie okrucieństwo. W wyjątkowo brutalnej, metodycznej czystce zgładzono nie tylko ludzi, lecz i pamięć po nich. Obiecywał to poprzedni prezydent Ukrainy Petro Poroszenko, że prace ekshumacyjne i badania polskich historyków zostaną wznowione lada chwila, że pozostały do uzgodnienia w zasadzie tylko kwestie techniczne. Słyszałem to na własne uszy kilka lat temu podczas spotkania z prezydentem Andrzejem Dudą w Charkowie. Prezydenta Poroszenki już nie ma, obietnica, mimo że złożona na najwyższym szczeblu, okazała się pustosłowiem. A czas nagli.

Rok temu prezydent Duda wykonał gest symboliczny, złożył kwiaty w szczerym polu, gdzie kiedyś była wieś Pokuta. To był najbardziej symboliczny z możliwych obrazów. Mówiący o tej zbrodni więcej, niż gdyby wieńce spoczęły na okazałym pomniku. Bo my naprawdę możemy opierać się tylko na ludzkiej pamięci, na wspomnieniach tych, którzy jeszcze coś o tej tragedii mogą wiedzieć. Może komuś ojciec lub matka przekazali, gdzie pogrzebali Polaków? Może.

Podczas tegorocznej uroczystości na Skwerze Wołyńskim w Warszawie polski prezydent powiedział, że na temat wznowienia prac

poszukiwawczych i ekshumacyjnych rozmawiał podczas ostatniego spotkania z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim w Brukseli. W słowach Andrzeja Dudy nie było zbyt wiele nadziei, że elementarne sprawy dotyczące historii pomiędzy Polską a Ukrainą jakoś się ułożą. W sumie racja, na czym niby miałby takie nadzieje opierać? Nie zachęcam do nakręcania konfliktu na linii Warszawa–Kijów, ale do stanięcia w końcu twardo na ziemi. Skoro to, co robiliśmy do tej pory, nie działa (a nie działa), a nie chcemy wywołać wojny (a nie chcemy), to trzeba spróbować tą historią pohandlować (wiem, brzydkie słowo). Zaproponujmy, jak zasugerował prezydent Duda, by wraz z upamiętnieniem naszych obywateli eksterminowanych w tej okrutnej czystce, uhonorować także grupę tych Ukraińców, którzy Polakom pomagali. Byli tacy, należy im się najwyższe uznanie od państwa polskiego. Może to będzie dla nich jakiś zrozumiały gest. Może.

Szansą jest moment zmiany na fotelu prezydenta Ukrainy. To pewnie naiwne, ale może Zełenski naprawdę będzie chciał się odróżnić od poprzednika i wymiecie ze stanowisk ludzi, którzy na podsycaniu niechęci do Polaków budują swoje „kariery"?

Może, może, może… optymizmu mało, ale nic to, róbmy swoje. To nasz polski obowiązek.

Marcin Wikło

Fot. Andrzej Wiktor

Niemcy

Mundurowi dryfują na prawo

Polityk CDU Friedrich Merz, który w grudniu 2018 r. usiłował przejąć przewodnictwo chadecji (przegrał w drugiej turze głosowania z Annegret Kramp-Karrenbauer) i reprezentuje prawicowe skrzydło partii, stwierdził w wywiadzie z gazetą „Bild am Sonntag", że wielu niemieckich policjantów i żołnierzy „dryfuje w kierunku Alternatywy dla Niemiec (AfD)". CDU musi się więc jego zdaniem stać „partią, która bez ograniczeń wspiera organy bezpieczeństwa". Inaczej – przekonywał – nie będzie mogła liczyć na policję. Wtórował mu wiceprzewodniczący niemieckiego związku zawodowego policjantów (GdP) Jörg Radke. Zdaniem Radkego „niemiecki rząd nie wyjaśnił jak dotąd funkcjonariuszom, dlaczego w 2015 r. i potem musieli oni zrezygnować z wykonywania swojego ustawowego obowiązku – zapobiegania nielegalnemu przekraczaniu granicy". „Z tego wzięła się sympatia do AfD. Polityczną konsekwencją jest to, że dziś niektórzy funkcjonariusze kandydują w wyborach do parlamentów regionalnych właśnie z ramienia tej partii" – dodał związkowiec. Według niego rząd nie szanuje policjantów, a na odzyskanie zaufania „jest już za późno".

Wielu niemieckich polityków oraz niektórzy działacze związkowi skrytykowali Merza i Radkego, zarzucając im, że usiłują stworzyć problem tam, gdzie go nie ma, i „wrzucają policjantów, którzy mają różne polityczne sympatie, do jednego worka". Tym bardziej że nie ma żadnych wiarygodnych danych na temat politycznych preferencji funkcjonariuszy policji. Ostatnie tego typu badania naukowe przeprowadzono w latach 90. Faktem jest natomiast, że coraz więcej policjantów, szczególnie tych, którzy pełnią służbę w stolicy, skarży się na agresję imigrantów i rosnącą liczbę popełnianych przez nich przestępstw. Pod koniec czerwca ministrowie spraw wewnętrznych landów zażądali nawet wprowadzenia zakazu posiadania noży w szkołach i przedszkolach.



Fot. Shutterstock

Zdaniem lewicowo-liberalnych mediów to jednak nie imigranci są problemem, ale sami policjanci. „Märkische Oderzeitung" sugeruje, że policja jest zinfiltrowana przez skrajną prawicę. A dziennik „Frankfurter Rundschau" pisze: „Możliwe, że wielu policjantów ma problemy z polityką uchodźczą Merkel. Pomimo to także ich obowiązuje konstytucja. A ta mówi, że trzeba służyć lojalnie wybranej w demokratycznych wyborach władzy, nawet jeśli uważa się jej politykę za niewłaściwą. Mówi ona także, że należy tak samo chronić godność imigrantów jak i innych ludzi. Jeśli te grupy mają poczucie, że nie mają ochrony, to jest to sygnał alarmowy. Znaczy to, że demokratyczne państwo prawa ma poważny problem" – przekonuje gazeta.

Aleksandra Rybińska

Rosja

Szaman kontra Putin

„Kiedy wychodziłem z Jakucka, w marcu, miałem w kieszeni 3 tys. rubli" – mówi mediom Aleksander Gabyszew, jakucki szaman, który od czterech miesięcy idzie pieszo w kierunku Moskwy. „U nas była wtedy zima, 40 stopni mrozu. Spałem w zimnej jurcie. Ale naród od razu zaczął pomagać, wspierać, tylko dlatego doszedłem już tak daleko" – opowiada.

Gabyszew planuje dotarcie do Moskwy w 2021 r. po to aby, jak sam mówi, przepędzić stamtąd Władimira Putina, którego uważa za „pomiot sił nieczystych". „Demokracja nie powinna znać strachu" – argumentuje. „A teraz ludzie boją się mówić, boją się stracić pracę, wynagrodzenia. Zwyczajnie u nas siła państwa nieograniczona, demoniczna. A naród zapędzony w depresję, zaczarowany".

Jego eskapada przypomina trochę wyprawę Forresta Gumpa. Tak jak bohaterowi filmu Roberta Zemeckisa, biegnącemu od jednego końca Ameryki do drugiego, towarzyszyła rosnąca liczba obserwatorów i entuzjastów, tak i wyprawa jakuckiego szamana wzbudza w Rosji coraz większe zainteresowanie. Setki kierowców, którzy spotkali go po drodze, nagrało z nim filmiki, które potem umieszczone w sieci odtworzone zostały już ponad milion razy. W Czycie miejscowi opozycjoniści postanowili zorganizować z jego udziałem wiec, co spotkało się z gniewną reakcją miejscowej eparchii, która uznała to przedsięwzięcie za prowokację, a samego Gabyszewa za człowieka psychicznie niezrównoważonego. Tiumeński bloger Wiktor Jegorow ogłosił internetową zbiórkę pieniędzy „po 100 rubli na bęben dla szamana". Zwrócił się też z apelem do wszystkich, aby wspierali przedsięwzięcie Saszy, które, jak napisał „nie zależy od milionów rubli, ale od milionów ludzi, obywateli, którzy nie boją się popierać jednego śmiałka".

Dziennikarz syberyjskiego oddziału Radia Svoboda, który postanowił towarzyszyć idącemu na Moskwę szamanowi, napisał, że Gabyszew trochę żartuje, że teraz, kiedy staje się popularnym człowiekiem, idzie mu się dwa razy wolniej niż na początku. I rzeczywiście, jak zaświadcza reporter, przebycie pięciokilometrowego odcinka zajęło im półtorej godziny, bo szaman ciągle był zatrzymywany przez kierowców, którzy chcieli z nim porozmawiać, zrobić sobie zdjęcie, a co trzeci, czwarty trąbieniem okazywał mu swoje poparcie. Ludzie z rosyjskiej głubinki, którzy okazują wsparcie Gabyszewowi, gotowi są uwierzyć w jakąkolwiek mistykę, „byle tylko pomogło" – uważa dziennikarz Svobody.

Marek Budzisz

Fot. Maverick Pictures/Shutterstock.com

eprasa.pl 4bd55e39c4

Grecja

Porażka nowej lewicy

W Grecji do rządów powróciła centroprawicowa Nowa Demokracja pod wodzą Kyriakosa Mitsotakisa. W wyborach tydzień temu głosowało na nią niemal 40 proc. obywateli, co przełożyło się na 158 mandatów i samodzielną większość w parlamencie. Porażkę poniosła Koalicja Radykalnej Lewicy (Syriza), która zdobyła 31 proc. głosów i straciła władzę. W 2015 r. mieszkańcy Hellady wiązali z nią olbrzymie nadzieje na szybkie i bezbolesne wyjście z kryzysu gospodarczego. Okazało się jednak, że Alexis Tsipras, wówczas symbol europejskiej nowej lewicy, obejmując fotel premiera, składał obietnice, których nie mógł dotrzymać.

Grecja miała wtedy największy dług publiczny, recesję i bezrobocie w Europie. Żeby uniknąć bankructwa, zdana była na pożyczki uzależnione od decyzji tzw. Trojki, czyli Unii Europejskiej, Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Europejskiego Banku Centralnego. Trzy instytucje w zamian za pomoc finansową zażądały jednak reform strukturalnych, obniżenia wydatków publicznych i podniesienia podatków. Tsipras początkowo się opierał. Miał za sobą większość społeczeństwa: w czerwcu 2015 r. aż 61 proc. Greków w referendum sprzeciwiło się europejskiemu planowi i związanym z nim środkom oszczędnościowym. Trojka była jednak nieugięta. Budżet świecił pustkami. Brakowało pieniędzy na funkcjonowanie państwa. W tej sytuacji rząd w Atenach się ugiął.

Syriza zaczęła realizować więc plan, przeciw któremu sama protestowała. Wprowadziła pakiety oszczędnościowe, ograniczyła wydatki publiczne, podwyższyła wiek emerytalny, kilka razy podniosła liczne podatki, akcyzy i opłaty abonamentowe oraz przeprowadziła prywatyzację wielu obiektów publicznych. Po tej szokowej terapii gospodarka nieco drgnęła i od 2017 r. PKB zaczął rosnąć. W ub.r. wyniósł 1,9 proc. Nie udało się natomiast zwalczyć bezrobocia, które nadal jest najwyższe w Europie (18,2 proc.). Niezadowolenie z powodu bolesnych reform odsunęło więc Tsiprasa od władzy. Jego następca Mitsotakis obiecuje nowe miejsca pracy, zwłaszcza dla młodzieży. Za cztery lata przyjdzie mu zdać rachunek.

Grzegorz Górny

Barack Obama w spódnicy?

USA

Kamala Harris jest dziś na ustach wszystkich amerykańskich lewicowców. 54-letnia senator z Kalifornii zdaje się odpowiedzią na frustrację liberalnego establishmentu, który nie może zrozumieć utrzymującego się wysokiego poparcia dla Donalda Trumpa.

Harris staje do prawyborów w Partii Demokratycznej z hasłem „For the people". Trudno pokusić się o większy banał. Ale na tle haseł reszty kandydatów lewicy slogan Harris i tak wypada nieźle. Do niedawna nie była faworytką wyborów. Jednak po pierwszej debacie wyborczej Partii Demokratycznej depcze po piętach wiceprezydentowi z administracji Baracka Obamy Joe Bidenowi. 76-letni polityk reprezentuje centrową „starą" Partię Demokratyczną. Tego właśnie nie może znieść nowa lewicowa fala demokratów.

Pisałem dwa tygodnie temu w tym miejscu, że Bidenowi wyciągnięto dawną współpracę z senatorami z Południa, którzy popierali segregację rasową. Nie pomogły tłumaczenia Bidena, że nigdy żadnego aspektu segregacji rasowej nie popierał i nie przez przypadek pierwszy czarnoskóry prezydent USA Barack Obama wybrał go na swojego zastępcę. Przyznający się do swojego katolicyzmu (choć bardzo progresywnego) Biden stał się workiem do bicia dla przepojonej poprawnością polityczną amerykańskiej lewicy. Zarzuty wobec Bidena bardzo sprytnie wykorzystała również czarnoskóra Harris.

„Nie uważam, że jesteś rasistą i jestem z tobą, kiedy angażujesz się na rzecz znalezienia porozumienia. Jednak (...) to było naprawdę bolesne, kiedy usłyszałam, jak chwalisz dwóch senatorów, którzy zbudowali swoją reputację i karierę na segregacji rasowej" – perorowała Harris i szybko wskoczyła w sondażach na drugie miejsce tuż za Bidenem. Trzy różne sondaże (dwa ogólnokrajowe) pokazały trend wzrostowy zarówno dla Harris, jak i dla senator Elizabeth Warren, nazywanej przez Trumpa złośliwie Pocahontas, bo przechwalała się płynącą w jej żyłach indiańską krwią. W sondażu CNN Biden otrzymał 22 proc. poparcia, ale Harris ma już 17 proc. Co więcej Biden, wraz z socjalistą Berniem Sandersem, tracą poparcie w najszybszym tempie. Przy wyblakłej gwieździe pompowanego medialnie „teksańskiego JFK" Beto O'Rourke, Kamala Harris rośnie dziś na faworytkę nominacji.

Czy jednak ma wystarczającą charyzmę, by nawiązać walkę z Donaldem Trumpem? Nawet na lewicy czuć wielkie rozczarowanie brakiem błyskotliwości liberalnych liderów. Przy bardzo dobrej sytuacji gospodarczej USA i niespodziewanych oraz niekonwencjonalnie osiągniętych sukcesach Trumpa w polityce zagranicznej, lewicy będzie bardzo trudno dalej „jechać" wyłącznie na rasowym i genderowym paliwie.

Łukasz Adamski



eprasa.pl 4bd55e39c4

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Ekspoza tuskoza i wotum zadufania



Jan Pietrzak

Musimy się przyzwyczajać do coraz częstszych przemówień premiera Tuska, bo jego umiejętność zagadywania trudnych problemów to jedyna szansa rządzącej koalicji na odwlekanie upadku. Ma premier gadane i nie ma poczucia wstydu, kiedy kłamie. W tej materii jest sprawny. Ekspozował niedawno w Sejmie o znalezionych przez siebie miliardach, które niezwłocznie, między rokiem 2014 a 2020, przeznaczy na wielkie drogowe inwestycje itp. Koniec z zaciskaniem pasa, Donek się nam rozpasał.

Przez pięć lat zrobił bilionową piramidę długu publicznego pospołu z ministrem Vickiem, skrzeczącym Gargamelem. Teraz będzie popuszczał, bo raptem znalazł jakieś wielkie miliardy! Nieodżałowany Maciek Rybiński mówił w Kabarecie pod Egidą przed trzema laty: „Rząd Donalda Tuska znalazł ogromny skarb. Jest to skarb państwa!". Bank Gospodarstwa Krajowego ma zgromadzić resztki państwowej, czyli naszej wspólnej, własności i oddać nowej firmie Inwestycje Polskie. W ten sposób nasza własność zacznie być spółką prawa handlowego i własnością światłej rady nadzorczej.

Może jestem nieco przewrażliwiony, ale w tym projekcie czai się grubszy szwindel, delikatnie zwany kręceniem lodów. Trzeba niemałego talentu, by wynędzniałemu społeczeństwu przedstawić kradzież ostatnich sreber rodowych jako śmiały koncept inwestycyjno-cywilizacyjny. Tusk taki talent ma. Dlatego oświadczył, że rusza w wielką trasę po Polsce. Zajrzy wszędzie, odwiedzi wszystkich. Zaczął od Lisa i Olejnik. Następni „wszyscy" to zapewne Paradowska, Wojewódzki, Żakowski, Gugała, Durczok. W tym gronie obcowanie z mężem opatrznościowym Platformy wzbudza nieodmiennie zachwyt. Nikogo lepszego nie widzieli w życiu. Sam Tusk też nie widział.

Oto jego słowa: „Jakbym widział kogoś, kto w mojej ocenie robiłby to lepiej, tobym nie czekał na moment, kiedy muszę odejść, tylko bym mu to przekazał. Mam wiarę w swoje siły i w swoje możliwości. Nie jestem geniuszem, ale uważam, że jestem dobrym premierem, który na razie nie doczekał się realnej konkurencji". Wie, co mówi. Rosyjskie serwery liczące wyniki polskich wyborów żadnej konkurencji nie przewidują. Jeden geniusz na Polskę wystarczy.

Felieton sprzed lat siedmiu, ale – jak państwo widzą – nadal aktualny

Dziewczyna z I Brygady

Z aktorką Wiktorią Wolańską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kim jest Ola z filmu Dariusza Gajewskiego „Legiony"?

Wiktoria Wolańska: Agentką wywiadu I Brygady, ale też po prostu dziewczyną, która pragnie czynić świat lepszym. Na miarę swoich możliwości. Jest ambitna, nie boi się podejmować ryzyka, a także kochać. Ciekawa jestem, jak Olę odbiorą widzowie, zwłaszcza dziewczyny w podobnym wieku.

Wejść z takim impetem na duży ekran nie każdemu się zdarza. Jakie emocje się z tym wiążą?

To niezwykłe szczęście móc zadebiutować w tak dużej produkcji, w dodatku w głównej roli żeńskiej. Było to ogromne wyzwanie, tym bardziej że wcześniej nawet nie byłam na planie filmowym! Teraz czuję się bogatsza o to doświadczenie. Bywało trudno, prawie wszystkie sceny były kręcone w plenerze, ekipa i wszyscy statyści byli wręcz niepoliczalni, dużo hałasu i dymu. Wymagało to ode mnie dużej pracy nad koncentracją, i to jest dla mnie najcenniejsza lekcja. Wiele też zawdzięczam reżyserowi, Dariuszowi Gajewskiemu, który obdarzył mnie wielkim zaufaniem.



Fot. Jacek Piotrowski

Odlicza pani dni do wrześniowej premiery?

Pewnie! Moja ekscytacja na razie jest uśpiona, zdążyłam przeżyć całe spektrum emocji podczas kręcenia filmu. Teraz jestem ciekawa efektu i odbioru.

A plany na lato?

W czasie wakacji mam zdjęcia do nowego serialu „Ludzie i bogowie" w reżyserii Bodo Koxa. Zamierzam też „najeść się kinem" podczas festiwalu Nowe Horyzonty we Wrocławiu. Poza tym wykorzystuję wakacyjny czas i pogodę tak, jak lubię najbardziej, czyli w ruchu.

BRONISŁAW WILDSTEIN

Polityczni kibole



Każdy, kto nie wyznaje ideologii emancypacji, jest potencjalnym faszystą. Każdy konserwatysta musi się stać faszystą, aby bronić dawnego, złego świata. Dlatego należy użyć wszelkich możliwych metod, aby ich wyeliminować

„Jak wiecie i jak informowaliśmy w zeszłym tygodniu [...] grozi nam poważne ryzyko, że przedstawiciel PiS z frakcji ECR w PE zostanie przewodniczącym Komisji Zatrudnienia i Spraw Socjalnych PE" – napisał Luca Visentini, przewodniczący Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych, w poufnym liście do wybranych członków swojej centrali. Pisał tam również: „Podejmiemy wszelkie możliwe inicjatywy, aby zablokować ten wybór", i wzywał, aby w tej sprawie związkowcy naciskali przedstawicieli swoich krajów w PE. Powód? Elżbieta Rafalska – bo ją miał na myśli Visentini – „jest konserwatystką od Kaczyńskiego". Wprawdzie kandydatem PiS na to stanowisko była Beata Szydło, ale odpadła poprzez podobne machinacje europejskiego establishmentu, mniejsza jednak o to. Dla szefa Konfederacji nie ma to znaczenia.

Piotr Duda, przewodniczący Solidarności, która jest członkiem Konfederacji, publicznie zarzucił Visentiniemu łamanie zasad Konfederacji, naruszanie demokracji i zwrócił uwagę, że czas rządów PiS „to z punktu widzenia polskich pracowników najlepszy okres polityki społecznej i pracowniczej w ostatnich kilkunastu latach". Tylko że to wszystko nie obchodzi lewicowego związkowca. Jego celem jest walka z konserwatystami. To postawa typowa dla rzeczników dominującej dziś na Zachodzie lewicowej ideologii.

Rozumowanie ich jest urzekająco proste. Świat mógłby być doskonały, ale przeszkadzają w tym ludzie źli, bo uwięzieni w przesądach przeszłości, konserwatyści, którym tylko krok do stania się faszystami. Każdy, kto nie wyznaje ideologii emancypacji, jest potencjalnym faszystą. Każdy konserwatysta musi stać się faszystą, aby bronić dawnego, złego świata. Dlatego należy użyć wszelkich możliwych metod, aby ich wyeliminować.

Prorok lewicy zachodniej, wiecznie żywy Karol Marks, brzydził się reformistami, którzy pomagają robotnikom. Pacyfikowali w ten sposób nastroje prowadzące do rewolucji, która zamiast stopniowej, a więc pogardy godnej poprawy, jednym aktem zaprowadzi szczęście na ziemi. Prawdziwy lewicowiec nie zajmuje się tym, co konserwatyści mogą zrobić, bowiem wszystko, co robią, ode złego jest.

Rewolucja w Europie dokonała się, chociaż w inny sposób, niż przewidywał to jej prorok. Okazało się, że UE jest doskonałym wehikułem do jej przeprowadzenia. Unia jest więc jak socjalizm, jeśli jeszcze nie do końca doskonała, to zmierzająca w tym kierunku, a jeśli nie osiągnęła tego stanu, to wyłącznie dlatego, że przeszkadzają w tym ci, którzy mają co do tego wątpliwości i chcieliby wrócić do wspólnoty, jaką zaproponowali jej twórcy, i dlatego, w sposób oczywisty, są populistami, a więc ledwie krok dzieli ich (czy jeszcze dzieli?) od faszyzmu. I dlatego, jak w przypadku socjalizmu, najważniejsze jest, że władzę sprawują właściwe partie i ich przedstawiciele.

Lewicowi Europejczycy są otwarci i tolerancyjni, potrafią więc zaakceptować nawet prawicę, ale oswojoną, i jej przedstawicieli pod warunkiem, że jak nominalny chadek Jean-Claude Juncker złożą hołd Marksowi czy jak Angela Merkel wprowadzą homoseksualne „małżeństwa". Wtedy mogą być nie tylko tolerowani, lecz okazać się sojusznikami przeciw populistom i wspólnie z nimi lewica może sprawować rządy tak w Niemczech, jak w UE, co zresztą na jedno wychodzi.

Inna sprawa, że większość wspierających dominującą ideologię nie przejmuje się specjalnie poglądami, ważne żeby były „normalne, europejskie", jak zdefiniowała swoje Monika Olejnik. Chodzi o barwy klubowe. Koalicja klubów otwartych i postępowych, która rządzi Europą, zrobi wszystko, aby ich przeciwnicy zostali wyeliminowani z życia, na razie publicznego. Ich zwolennicy mają wiedzieć, że każda metoda jest dobra, aby zapanowała powszechna tolerancja. Ważenie racji, spieranie się przy użyciu argumentów – to wszystko nie ma sensu. Z przeciwnikami Europy (czyli krytykami obecnego kształtu Unii), z ex definitione nietolerancyjnymi konserwatystami nie dyskutuje się, ich się politycznie (na razie) eksterminuje. Otwartość i tolerancja zapanują wtedy, kiedy wszyscy będziemy mieli jedno zdanie i prezentowali jedną opinię. Naturalnie europejską.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4bd55e39c4

OGNIEM NA WPROST

Klimacik z Łabiszyna



A w Szwecji coraz weselej z imigrantami. Jak donosi gazeta „Aftonbladet", w Grums (region administracyjny Värmland, między Göteborgiem a Karlstad) rozkręca się nowy uliczny gang. Żadna to nowość w tamtym kraju, w jednej trzeciej opanowanym przez przybyszy z Południa, gdyby nie to, że bandyci są dziećmi w wieku 8–12 lat. Używają mobbingu, dokonują dotkliwych pobić oraz grożą gwałtami nie tylko dziewczętom, ale i szwedzkim chłopakom. „Rzucali kamieniami lub bili inne dzieci metalowymi rurami, dzieci zaczęły krwawić – powiedział gazecie jeden z mieszkańców. – Najgorsze było to, że dziecko było duszone i ma od tego ślady. Ale dotyczy to również zagrożeń seksualnych. Grozili mu: »Zgwałcimy cię«". Choć jeden z policjantów przyznał, że jeszcze czegoś takiego w życiu nie widział, to od razu dodał, że siły porządkowe są bezradne. W dodatku interwencję komplikuje bariera językowa. Żaden z rodziców młodocianych uliczników nie mówi po szwedzku. Rdzenna ludność ma już tak przeprane mózgi politpoprawnością, że martwi się nie tyle o bezpieczeństwo swoich pociech na ulicach (coraz rzadziej wychodzą same z domu), ile wzrost ksenofobii wśród dorosłych. A małoletni uchodźcy wraz ze swoimi rodzicami mają wszystkich w nosie i dalej czynią swoje. Bo im kultura nie zabrania robić takich polowań.

Pamiętamy terrorystyczny zamach na ulicy Drottninggatan w Sztokholmie 7 kwietnia 2017 r., w którym Uzbek Rachmat Akiłow wjechał skradzioną ciężarówką w tłum ludzi. Podczas swojego procesu chwalił się, że celem jego aktu terrorystycznego było zabicie w imię Państwa Islamskiego jak największej liczby Szwedów. Udało mu się rozjechać pięć osób i ranić osiem, za co dostał dożywocie. Jednej z ofiar – Ukraince – lekarze zmuszeni byli amputować prawą nogę do kolana. 37-letnia wówczas Irina Zamanowa odwiedziła Szwecję jako turystka, po czym dostała zezwolenie na pobyt czasowy. Nie dość, że spędziła dużo czasu na leczeniu i rehabilitacji, to jeszcze musiała zeznawać jako świadek w procesie terrorysty. Ponieważ prawo pobytu czasowego zdążyło w międzyczasie wygasnąć, ciężko poszkodowana Ukrainka złożyła wniosek o stały pobyt w Szwecji. Argumentowała go „nadzwyczajnymi okolicznościami", na które można się powołać w ramach tamtejszego prawa migracyjnego. Prośbę Zamanowej po raz pierwszy odrzuciła szwedzka Rada ds. Migracji, a następnie szwedzki sąd migracyjny, po tym jak się odwołała. Teraz musi opuścić ten „gościnny kraj", w którym straciła nogę. Ale może to i lepiej. W ten sposób prawdopodobnie uniknęła ciosu metalową rurą, duszenia i w końcu gwałtu zadanych przez 10-letniego imigranta.

W Łabiszynie (niem. Labischin; kujawsko-pomorskie) siłami skromnego budżetu miasteczka udało się wyremontować zabytkową wozownię. Teraz ma w niej kwitnąć życie kulturalne. Burmistrz Jacek Idzi Kaczmarek w cylindrze na głowie i czarnym surducie postanowił przeciąć uroczyście wstęgę w barwach biało-czerwonych, czyli flagi narodowej. Ponieważ w miasteczku trwały właśnie coroczne Łabiszyńskie Spotkania z Historią, a na okolicznych polach rekonstruktorzy toczyli boje z II wojny światowej, pomysłowy włodarz tego grodu nad Notecią do przecięcia wstęgi zaprosił dowódcę 7 Aufklarungs-Abteilung z 4-Panzer Division (AA7 – oddział rozpoznawczy 7 z 4 Dywizji Pancernej Wehrmachtu) ksywa „Willy" w pełnym umundurowaniu oberleutnanta (porucznika) z 1944–1945 r. Były dwie „gapy", Eisernes Kreuz (Żelazny Krzyż) i Kampfabzeichen (Odznaka Bojowa) – wszystkie ze swastykami. Za „Willym" stali alte Kameraden (starzy kumple z wojska). Jeden full dress – chorąży Panzerwaffe w paradnym uniformie, a drugi na polowo w panterce. Orkiestra, tusz! Szkoda, że nie Preussens Gloria, tylko „na miękko" „Rosamunden", ale nie ma co wybrzydzać – też Wehrmachtslied (pieśń Wehrmachtu). I wstęga przecięta. Jest klimacik „in Labischin". A my się czepiamy Oli Dulkiewicz z Freie Stadt Danzig.

Oj, nagrabiły sobie Turasy. Jak informuje portal defence24.pl – według tureckich mediów pierwsza partia rakiet S-400, które Turcja kupiła od Rosji, jest już w drodze, a być może nawet dotarła na miejsce. W ten sposób dawne Imperium Otomańskie samo wyautowało się z kolejki po samoloty V generacji F-35. Nasze szanse na jak najszybsze nabycie tej „wunderwaffe" poważnie wzrastają. Chętnych jest wielu, i to z kasą. Jak za komuny w kolejce po mięso. Rzucili wołowe, ale Turek nawet spod lady nie dostanie. Widać wolał tańszą garmażerkę.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4bd55e39c4

Spółdzielczość po nowemu



Marta Kaczyńska-Zielińska

W XIX w. w Wielkiej Brytanii powstały pierwsze spółdzielnie mieszkaniowe. Idea ta wkrótce dotarła na ziemie polskie, a prawdziwy boom odnotowano po odzyskaniu niepodległości, kiedy m.in. w Warszawie wybudowano niezwykle nowoczesne jak na tamte czasy kolonie Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Składały się one z lokali mieszkalnych i infrastruktury usługowej, placówek opieki zdrowotnej, przedszkoli oraz instytucji kultury. W dwudziestoleciu międzywojennym praktykowano także zrzeszanie się w formie kooperatyw mieszkaniowych, których celem, podobnie jak spółdzielni, było zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych swoich członków. W opisany sposób powstały budynki przy pl. Sikorskiego w Krakowie i Warszawie przy ul. Nowy Zjazd.

Po II wojnie światowej zarządzanie spółdzielniami zostało przejęte przez aparat partyjny, a stanowiące podstawy wszelkich form tego rodzaju współdziałania idee solidaryzmu społecznego, wolności, demokracji zostały zniweczone. Podmioty te były początkowo wspierane finansowo przez państwo, lecz w miarę załamywania się gospodarki pozostawały zdane na siebie, koncentrując swoją działalność na zarządzaniu istniejącymi lokalami, a nie na budowaniu nowych. Po 1989 r. status spółdzielni jeszcze bardziej podupadł. Borykały się one z problemami ekonomicznymi, przegrywając konkurencję z coraz prężniej funkcjonującymi deweloperami. Instytucja spółdzielni mieszkaniowej, mimo historii znacznie dłuższej niż PRL, powszechnie budzi skojarzenia niemal wyłącznie z epoką komunizmu, w wielu przypadkach pozostając ostatnim przyczółkiem dawnych aparatczyków.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami celem spółdzielni mieszkaniowej jest zaspokajanie potrzeb mieszkaniowych i innych potrzeb członków oraz ich rodzin przez dostarczanie członkom samodzielnych lokali mieszkalnych lub domów jednorodzinnych, a także lokali o innym przeznaczeniu. Uzyskane dzięki spółdzielniom prawo do lokalu pozwala na znacznie większe poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa niż umowa najmu.

Forma zrzeszania się w klasyczne spółdzielnie nie cieszy się jednak zainteresowaniem. Coraz większą popularność zyskują natomiast dobrze znane w Europie kooperatywy mieszkaniowe, stanowiące w istocie odmianę wysłużonych i obarczonych niekorzystnym PR spółdzielni, ale odformalizowaną i mniejszą pod względem wymaganej minimalnej liczby członków. Kooperatywa mieszkaniowa to zrzeszenie grupy co najmniej trzech osób współdziałających z sobą wyłącznie w celu zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych, począwszy od nabycia działki, przez wybudowanie na niej budynku wielorodzinnego lub zespołu budynków jednorodzinnych, po nabycie budynku i przebudowanie go tak, aby powstały w nim co najmniej trzy odrębne mieszkania. Osoby współdziałające w kooperatywie, w praktyce najczęściej stanowiący grupę znajomych lub większą rodzinę, przydzielają sobie wzajemnie lokale i w zależności od potrzeb wskazują poszczególne rodzaje części wspólnych, a także współdecydują o przebiegu procesu inwestycyjnego i jego finansowaniu. Z tym ostatnim aspektem wiązała się dotychczas największa trudność. Z racji braku usankcjonowania istnienia tego rodzaju inicjatyw w przepisach ustawowych zawieranie umów kredytowych było utrudnione, podobnie jak nabywanie odpowiednich działek. Wysiłek związany z utrudnieniami wart był jednak poświęcenia, bo nieruchomości wybudowane na opisanych zasadach w latach 2012–2016 okazały się ok. 30 proc. tańsze od ofert deweloperskich.

Ministerstwo Infrastruktury skierowało do konsultacji społecznych projekt ustawy o kooperatywach mieszkaniowych, wychodząc naprzeciw biorącym sprawy budowlane w swoje ręce (niekiedy dosłownie). Według propozycji resortu inicjatywy te mają przybierać formę spółek cywilnych lub porozumień o współdziałaniu, a gminy mają zostać zobowiązane do wskazywania odpowiednich działek pod zabudowę lub budynków nadających się do zaadaptowania i rozkładać należności za ich nabycie na raty.

REKLAMA





56/0619/F

eprasa.pl 4bd55e39c4

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Dla klimatu

Niewielka Republika Vanuatu (państwo położone w Oceanii, na 83 niewielkich wyspach Nowych Hebrydów; leży na wschód od Australii) postanowiła walczyć z globalnym ociepleniem. Najpierw władze kraju zakazały używania jednorazowych plastikowych przedmiotów, a teraz wprowadzono zakaz używania jednorazowych pieluch. Sprzeciw rodziców dzieci okazał się bezskuteczny. „Vanuatu zabezpiecza swoją przyszłość" – powiedział Mike Masauvakalo z ministerstwa spraw zagranicznych kraju. „Plastik znajduje ostatecznie swoją drogę do wody i łańcucha pokarmowego, a w efekcie, na samym końcu jedzą go mieszkańcy Vanuatu" – dodał. W ramach zabezpieczania przyszłości najpierw zakażą używania pieluch, a potem posiadania dzieci. Jak nie będzie ludzi, to przynajmniej planeta będzie bezpieczna.





Od 1,5 do 18 euro

– taki podatek zostanie dodany do każdego biletu lotniczego kupionego we Francji. Dzięki „podatkowi ekologicznemu", który wejdzie w życie w 2020 r., budżet Francji zyska 180 mln euro.

Prawie 16 mln

– tyle sztuk obligacji skarbowych sprzedano w czerwcu br. w Polsce. To najlepszy wynik w historii.

1,572 mld zł

– tyle wydali Polacy na obligacje skarbowe w czerwcu.

Ciąża rotacyjna

W Japonii kobiety pracujące (szczególnie w żłobkach i szpitalach) muszą czekać w kolejce na prawo do zajścia w ciążę. O sprawie informuje rp.pl. Jeśli przeczekają swój moment, spadają na koniec kolejki. Choć eksperci prawa pracy są zgodni, że zmuszanie kobiet, które chcą mieć dzieci, do poczęcia w wyznaczonym okresie, jest niegodne z prawem, to jest to zjawisko dość powszechne. „Wiele Japonek nie ma świadomości, że takie działanie jest bezprawne i czuje się wręcz zobligowanych do przeproszenia pracodawcy, jeśli zajdą w ciążę poza kolejnością" – informuje rp.pl. Zasada „rotacji ciąż" jeszcze bardziej obniża wskaźnik urodzeń w tym kraju, który i tak jest bardzo niski, a społeczeństwo starzeje się w zastraszającym tempie, przez co brakuje rąk do pracy, stąd zasada „rotacji ciąż". Błędne koło. I bądź tu Japończykiem!



Ostrzeżenie

100 mln euro odszkodowania domaga się pewien Włoch od koncernu tytoniowego. Mężczyzna przeżył szok, gdy zobaczył na opakowaniu papierosów zdjęcie zmarłej kilka lat wcześniej żony. Na fotografii widać zaintubowaną kobietę, a zdjęcie ma ostrzegać przed paleniem tytoniu. Zdaniem Włocha jego żona zmarła z powodu choroby, która nie miała związku z paleniem tytoniu, a koncern bezprawnie wykorzystał jej wizerunek. W tym wypadku nie ma wątpliwości, że cel nie uświęca środków, a koncern powinien zapłacić wysokie odszkodowanie.



eprasa.pl 4bd55e39c4

Czas pomyśleć o zdrowiu



Kanclerz Niemiec Angela Merkel po raz trzeci w ciągu miesiąca miała atak drgawek. Za pierwszym razem tłumaczono to upałem i odwodnieniem organizmu. Niestety, podczas spotkania pani kanclerz z premierem Finlandii w Berlinie było raczej chłodno i o odwodnieniu nie mogło być mowy. Gdyby coś takiego przydarzyło się liderowi PiS, opozycja natychmiast żądałaby kompletu badań, tymczasem niemieckie media z troską pochylają się nad panią kanclerz. Może to pora, by zejść ze sceny politycznej i zadbać o własne zdrowie. Wyraźnie tego potrzebuje.

„Tej wiosny, niemal każdego dnia, dostawałam wiadomości o kolejnych próbach samobójczych w ostatnich klasach podstawówki czy gimnazjum" – powiedziała prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz. Ciekawe, kiedy przestała wierzyć w to, co powiedziała 4 czerwca: „Nie używajmy słów, które ranią i powodują powstanie rowu, którego nie da się zasypać"? Może wtedy, gdy podpowiedziano jej, że powinna powalczyć o fotel prezydenta Polski?

Pedofil w urzędniczej skórze



Urzędnik ONZ, który miał pomagać dzieciom, został skazany za pedofilię. „Sąd nepalskiego dystryktu Kavrepalanchok skazał Petera Dalglisha, byłego szefa doradców technicznych programu ONZ ds. pracy dzieci, na dziewięć lat więzienia za seksualne wykorzystywanie nieletnich. Kanadyjczyka ujęto na gorącym uczynku w 2018 r." – informuje portal tvp.info. Urzędnik w wynajętym domu gwałcił chłopców w wieku 12 i 14 lat. Dzieci zeznawały w procesie. W posiadłości Kanadyjczyka znaleziono również dziecięcą pornografię. Żeby było dramatyczniej, skazany za pedofilię urzędnik jest kawalerem Orderu Kanady i założycielem organizacji Street Kids International, która pomagała dzieciom ulicy. Napisał też kilka książek, m.in. „Odwaga dzieci. Moje życie pośród najbiedniejszych dzieci świata". Przebywanie z tym mężczyzną faktycznie musiało wymagać od dzieci odwagi. A ktoś powinien sprawdzić, jak wyglądało życie Kanadyjczyka pośród tych najbiedniejszych dzieci świata. Skóra cierpnie na samą myśl.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3), Andrzej Skwarczyński

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Naga lesbijka z piłką



Dominik Zdort

Finał mistrzostw świata kobiet w piłce nożnej. Piękny widok. Dziesięć amerykańskich piłkarek zwróconych w kierunku gwiaździstego sztandaru, z dłońmi położonymi na kształtnych piersiach, śpiewa hymn. Tylko ostatnia odwraca twarz w innym kierunku i milczy. To kapitan drużyny Megan Rapinoe. Nie zna słów? Nie umie zaśpiewać?

Wszystko było w normie jeszcze w 2011 r., gdy – aby uczcić strzeloną bramkę – podbiegła do mikrofonu stojącego za narożnikiem boiska i dumnie zaintonowała przebój Bruce'a Springsteena „Born in the USA". Rapinoe też śpiewała wtedy – wraz z koleżankami – hymn. Stany Zjednoczone przegrały w finale, ale była już na tyle znana, że rodzinne miasto Redding uhonorowało ją coroczną paradą 10 września. Ale to dla piłkarki było wciąż za mało. Postanowiła zrobić coś bardziej spektakularnego.

Kiedy w lipcu 2012 r. w magazynie LGBT „Out" publicznie pochwaliła się, że jest lesbijką i opowiedziała o związku z australijską piłkarką Sarah Walsh, wybuchł prawdziwy medialny szał. I kariera Megan przyspieszyła.

Już w sierpniu 2012 r. jej sylwetkę opublikował „Sports Illustrated", w marcu 2013 r. trafiła na okładkę lesbijskiego magazynu „Curve", a w kwietniu 2013 r. jej karierę opisał „New York Times". Zapraszano ją do telewizyjnych audycji, występowała w filmach i reklamach. W 2013 r. uhonorowano ją nagrodą Centrum Gejów i Lesbijek miasta Los Angeles. W 2015 r. wpisano do narodowej galerii sław gejów i lesbijek w sporcie.

Media uważnie śledziły losy lesbocelebrytki. Po rozstaniu z Sarah zaręczyła się z Serą (Cahoone – piosenkarką country). Po zerwaniu z Serą związała się z Sue (Bird – koszykarką). W tej ostatniej konfiguracji panie nago z piłkami – nożną i koszykową – w ub.r. pozowały razem w sesji zdjęciowej dla magazynu „The Body Issue".

Skandalizowanie spodobało się amerykańskiej sportsmence. Od tego czasu uczestniczy w kolejnych akcjach protestacyjnych. A to przeciw rasizmowi i „supremacji białych", a to przeciw niskim zarobkom piłkarek. Ostatnio zaś przeciw wszystkiemu, co się jej kojarzy z Donaldem Trumpem, czyli „przeciw skrajnemu ubóstwu i bezdomności w USA, przeciw wsadzaniu nazbyt wielu obywateli do więzień i brutalności policji".

Swoje protesty wyraża, nie śpiewając hymnu. „Już nigdy nie położę dłoni na sercu" – deklaruje.

I pomyśleć, że to niebezpieczne schorzenie zaczęło się od LGBT.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 4bd55e39c4

RZECZY POSPOLITE

Nobody's perfect



Tomasz Łysiak

Czasem gdy patrzę na naiwność Zachodu w stosunku do napływających imigrantów, przypomina mi się trwający od wieków zachwyt intelektualistów okcydentalnych Rosją. Jednym z przykładów wybitnych był tu choćby Voltaire będący pod wielkim wrażeniem carycy Katarzyny, która jawiła mu się jako oświecona imperatorowa, gdy przecież łamała wszelkie cywilizowane reguły, doprowadzając do upadku Polskę albo mordując tych, którzy ośmielili się jej stanąć na drodze. I teraz także intelektualiści zachodni z troską pochylają się nad losem nielegalnych przybyszów, których organizacje NGO hurtem przerzucają do Europy poprzez włoskie wybrzeża, nie widząc tego, co tak naprawdę wiąże się z ich napływem.

A przecież, jeśli chodzi o zagrożenia cywilizacyjne, to nie trzeba od razu sięgać po przejmujące grozą akty terroru, lecz po zwykłe przejawy barbaryzacji życia codziennego, jakie dzieją się za przyczyną ciemnoskórych przybyszów z innych kontynentów. Oto w Italii mamy do czynienia z nową modą – niepłacenia przez imigrantów w sklepach za zakupy. Taki oto jegomość z Afryki nakłada spokojnie towary do wózka zakupowego, podjeżdża do kasy, tam wszystko wykłada na taśmę, odczekuje, aż pani w kasie wszystko podliczy i gdy już usłyszy ostatnie piśnięcie czujników, a potem wezwanie do zapłaty, odmawia jej, twierdząc, iż „jest uchodźcą i nie będzie płacić". Inną plagą jest niepłacenie biletów w komunikacji miejskiej czy w pociągach. Ostatnio przez włoskie media społecznościowe przetoczył się film, którego akcja dzieje się właśnie w pociągu. Dzielna pani konduktor staje tam oko w oko z ciemnoskórym pasażerem, który nie kupił biletu ani nie chce zapłacić mandatu. Okazuje się jednak, że ma w portfelu pełno pieniędzy. Pomimo tego pełnym buty i arogancji głosem twierdzi, że płacić nie będzie, bo jest „uchodźcą". Takie sceny mocno wzburzają Włochów, którzy mają serdecznie dosyć nielegalnych imigrantów.

Szkoda mi tylko, patrząc z perspektywy polskiej, że tak stanowczo stawiający opór „polityce przyjmowania" wicepremier Salvini, z jednej strony piętnuje to, co złe w Europie, a z drugiej powtarza dawne błędy Voltaire'a i w Putinie widzi oświeconego obrońcę dawnych wartości. Ech, nobody's perfect.

Stada małpów



Piotr Cywiński

„Oj, niedobrze, koledzy, niedobrze", zaczynała swe skecze Elita (pozdrawiam). Ależ gonoju ten imć Kaczyński z tą swoją kompaniją narobił! Faszyści, gnębiciele w jednym ciele! „Dwukrotny wzrost liczby aresztowanych za rządów PiS-u", zaczęło ich przybywać od „objęcia resortu sprawiedliwości przez Zbigniewa Ziobrę i zmiany prawa", grzmi „Gazeta Wyborcza". I jak nie, jak tak, właśnie CBA przymknęło wzorową wójt Lesznowoli, że niby gmina straciła przez nią miliony na umarzaniu należności podatkowych i odsetkach jakichś. W Kielcach pracownik urzędu marszałkowskiego dwa lata brał pensję, ale ani razu nie był w robocie. Ponoć takich było więcej, pisowcy mówią nawet o „gangu obiboków" i zwalniają ludzi na potęgę. Oczywista zemsta! Do jesieni marszałkiem był tam Adam Jarubas, wiceprezes PSL, od niedawna europoseł, który już podczas wyborów samorządowych ostrzegał przed PiS, że jest jak „plemię Hunów, gotowych do barbarzyńskiego najazdu". I masz: „Nowa władza w sejmiku świętokrzyskim nie ma sukcesów, dlatego koncentruje się na podkreślaniu błędów poprzedników", skwitował w „Echu Dnia"/Verlagsgruppe Passau jeden z jego byłych dyrektorów.

Tylko spójrz krzywo i już siedzisz, nawet jeśli masz zeza! A ludzi do roboty brak. Pan Ryszard od 40 lat uprawia porzeczki, ale „tak dramatycznej sytuacji, jak dziś, to jeszcze nie było", huczy białostocka „Gazeta Współczesna"/Verlagsgruppe Passau, „owoców nie ma kto zbierać, to się po prostu przestało opłacać", co też nagłośnił „Fakt"/Axel Springer. Do czego to doszło! „Ceny apartamentów nad polskim Bałtykiem dogoniły ceny z Hiszpanii, w Kołobrzegu jest dziś drożej niż na Costa Blanca!", to też „Fakt". I kto to wynajmie czy kupi? „W Lublinie aż 600 uczniów (150 z biało-czerwonym paskiem na świadectwie) nie dostało się do wybranych liceów", załamała ręce na Twitterze nad losem młodych za rządów PiS Dominika Wielowieyska z „GW". „Dramat uczniów od początku został zaprogramowany w reformie Kaczyńskiego. Rządząca partia wprowadza swoje chore plany na gruzach marzeń dzieci o dobrej szkole", wtóruje jej rzecznik PO Jan Grabiec.

Oj, niedobrze! A może to jam sam gnojum narobił, strzelając do światłych, że stanica bez kota jak kuźnia bez młota? Może to racja u Elity, że „nie będzie byle skryba prawych rycerzy, jako stada małpów czytelnikom przedstawiał"? Szable w dłoń...!

eprasa.pl 4bd55e39c4

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna
WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, RADEK PIETRUSZKA/PAP, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4bd55e39c4



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Przekwitanie

Polityczny zbawca, Mesjasz, polski Macron? Nowa jakość? Okazja na przełamanie duopolu PO i PiS? Nadzieja dla milionów o lewicowych poglądach? Nic z tego. Projekt „Wiosna" właśnie zaczyna się kończyć. Kto na nim zyskał? Osobiście na pewno Robert Biedroń, który zdobył lukratywną posadę opłacaną w europejskiej walucie. Podobnie jak Sylwia Spurek, partnerka jego najbliższego partyjnego współpracownika. Czy o to właśnie chodziło w tym przedsięwzięciu?

„To, co zrobił lider Wiosny, zawiodło nadzieję bardzo wielu młodych wyborców, którzy uwierzyli w hasło, że inna polityka może zaistnieć, że polityk jest zawsze wiarygodny. Niestety bardzo się zawiedli" – mówiła 11 lipca w telewizyjnej Jedynce Barbara Nowacka z Inicjatywy Polskiej. Dwa dni wcześniej w „Gazecie Wyborczej" prof. Magdalena Środa pisała o Wiośnie: „Porażka bardzo wielu nadziei. Tak jak Biedroniowi po upadku Palikota i separacji Partii Razem było względnie łatwo coś zmontować, tak teraz będzie to prawie niemożliwe z powodu braku zaufania".

Dziś o wiarygodności Biedronia mówi już tylko jego partner. – Ta nowa jakość to przede wszystkim wiarygodność. Robert Biedroń sprawdził się w bardzo wielu obszarach. Był jednym z najlepiej ocenianych posłów, był dobrym prezydentem miasta, więc ta nowa jakość to jest właśnie wiarygodność – przekonuje w rozmowie z tygodnikiem „Sieci". Mało kto weźmie jednak na poważnie te słowa. Dziś Wiosna jawi się bowiem jako folwark rodzinny, klika stworzona w interesie wąskiego grona osób. Znaki szczególne: zaprzeczanie przez lidera swoim obietnicom, przedziwny statut, który sytuuje Biedronia na pozycji nieusuwalnego wodza, niejasne finansowanie. I pęd do kasy, bo do władzy wydaje się mało realny.

MANDATY DLA PARTNERÓW

A zaczęło się tak pięknie. 3 lutego br. na warszawskim Torwarze wiało nowością. Konwencja założycielska partii Roberta Biedronia imponowała rozmachem. Lider porywał salę i dawał nadzieję wszystkim sympatykom lewicy. Tryskał radością jak dziecko cieszące się z wymarzonej zabawki. Przykładał wszystkim graczom politycznym. Był na tyle pewny siebie, że ważył się trawestować słowa św. Jana Pawła II i zapowiadał: „Zmienimy oblicze tej ziemi". Partyjne kliki miały być pokonane, a polityka w wydaniu nowej siły – transparentna.

Lewicowe media piały z zachwytu. Poczuły wiatr w żaglach. Pompowały

eprasa.pl 4bd55e39c4

Biedronia od dawna. O aferach w rządzonym przez niego Słupsku milczały. A było o czym pisać: choćby o rosnącym zadłużeniu miasta czy skandalu pedofilskim, gdy się okazało, że w lokalnym domu kultury prezydencki stypendysta molestował 13-letnie dziewczynki. Zamiast tego w wywiadach, na okładkach gazet dostawaliśmy uśmiechniętego, nowoczesnego, dumnego ze swojego homoseksualizmu lidera, który miał zburzyć dotychczasowy porządek na scenie politycznej. Po Torwarze dmuchali na niego i chuchali, by zainteresowanie oraz sondażowe (choć bardzo realne) poparcie na poziomie kilkunastu procent co najmniej podtrzymać.

Przyszedł dzień sprawdzianu – wybory do PE. Zamiast dwucyfrowego wyniku ledwie 6 proc. głosów i tylko trzy mandaty. Dwa szczególnie ważne – dla Biedronia i Sylwii Spurek, szerzej znanej jako zastępczyni rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara. W kampanii nie eksponowano jednak, że Spurek przez życie prywatne idzie wraz z najbliższy współpracownikiem Biedronia, Marcinem Anaszewiczem. O tym ostatnim w kampanijnym reportażu (sfinansowanym przez niemiecką fundację Róży Luksemburg) na stronach „Krytyki Politycznej" czytamy: „Wiceprezes Wiosny i szef sztabu, główny kampanijny strateg. Dopasowany trencz, różowa koszula, krawat. Z Biedroniem współpracuje od dawna: w 2011 r. prowadził jego zwycięską kampanię wyborczą do Sejmu, a po tym, jak w 2014 r. pomógł mu zostać prezydentem Słupska, pracował w urzędzie miasta. Nieoficjalnie: to on trzyma w Wiośnie korporacyjny porządek".

Na tę familijną układankę tygodnik „Polityka" zwrócił uwagę dopiero 3 lipca: „Gdy ruszyła kampania, po demokracji nie było już śladu. Najpierw spontanicznie uformowany aktyw w terenie dostał z Warszawy koperty z listami kandydatów. (...) A potem okazało się, że nawet w kręgu wyróżnionej »trzynastki« liderów list są równi i równiejsi. W mediach przeważnie pojawiało się jedynie dwoje z nich: Krzysztof Śmiszek i Sylwia Spurek. Prywatnie życiowi partnerzy twórcy ruchu oraz jego prawej ręki Marcina Anaszewicza. Tak jakby najważniejszą stawką były wysokopłatne mandaty dla samych tylko liderów". Dlaczego podpisany pod tymi słowami Rafał Kalukin nie grzmiał przed wyborami, jak czyni to teraz: „Ruch polityczny nie może być rodzinnym przedsiębiorstwem"?

FAMILY BUSINESS

A przecież gdyby plan Wiosny bardziej się wypełnił, w Brukseli zakotwiczyliby też Śmiszek i Anaszewicz. Na to jednak naiwnych wyborców nie wystarczyło.

> Wiosna nagle stała się trzecią siłą na polskiej scenie politycznej. Dewaluuje się jednak w takim tempie, że zasadne staje się pytanie, czy w ogóle przetrwa do jesiennych wyborów

Osoby z kręgów lewicowych twierdzą, że gdyby partner Biedronia do PE się dostał, to Biedroń, zgodnie z zapowiedzią, zrezygnowałby z mandatu. – No, ale w kasie ma się zgadzać. Jak nie jeden, to drugi musi zarabiać. U Anaszewiczów się zgadza, Marcin co prawda nie wszedł, ale Sylwia tak – słyszymy.

– Jeżeli przyjmujemy, że nie powinno się umieszczać na listach rodziny i promować jej w polityce, bo to się nazywa nepotyzm, to takie przypadki pod to określenie oczywiście podpadają. Dlaczego traktować inaczej pana Biedronia i pana Śmiszka, a także panią Spurek i pana Anaszewicza? – pyta w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" Włodzimierz Czarzasty, szef SLD. – Jeżeli ktoś zabiega, by być traktowanym jak rodzina, to musi się liczyć z tym, że w różnych aspektach politycznych też będzie traktowany jak rodzina. To prosta sytuacja. Nie dziwię się, że liderzy Wiosny bez przerwy muszą się z tego tłumaczyć.

Krzysztof Śmiszek uważa, że to retoryka „osób nieprzychylnych", rytualne szukanie kija, gdy chce się uderzyć. – To, że jesteśmy partnerami, nie ma najmniejszego znaczenia. Sylwia Spurek pełniła odpowiedzialne funkcje, ja także od lat działam w sferze publicznej jako ekspert. Wszyscy mamy konstytucyjne bierne prawo wyborcze i z niego korzystamy – tłumaczy. – Ciekawe, że o związkach rodzinnych nie mówi się w kontekście Prawa i Sprawiedliwości, gdzie prezydent i premier byli bliźniakami. Albo w PO, gdzie pan Bogdan Zdrojewski był europosłem, a jego żona senatorką. Zatem wyciąganie kwestii rodzinnych jest tutaj nie do końca trafione.

Cóż, każdy się broni, jak umie. Podobnie jest z kwestią mandatu do Parlamentu Europejskiego Biedronia. Przed wyborami zapowiadał, że nawet jeśli go zdobędzie, to nie przyjmie. Później, że się zrzeknie. Gdy było już wiadomo, że dziesiątki tysięcy euro miesięcznie są zbyt atrakcyjne, by z nich rezygnować na rzecz Moniki Płatek (z trzeciego miejsca na warszawskiej liście Wiosny wyprzedziła Joannę Scheuring-Wielgus, skompromitowaną na finiszu kampanii informacją o oddaniu psów do schroniska), poszukał nowego, kuriozalnego wytłumaczenia: „Chciałbym mieć powód do tego, żeby chodzić po mediach, a ten mandat mi na to pozwala" – oznajmił zdumionemu Jackowi Żakowskiemu w TOK FM.

Barbara Nowacka sugeruje, że Biedronia z Brukseli już nie uda się wyrwać: – Z tego, co wiem, został wiceprzewodniczącym jednej z komisji Parlamentu Europejskiego i tak na moje wyczucie tego mandatu złożyć nie zamierzał i nie zamierza.

Dziś w kierownictwie Wiosny trzymają się wersji, że gdy Biedroń dostanie się do Sejmu, to euromandat wygaśnie mu z automatu. A czy w ogóle wystartuje? W tym przypadku już nic nie może być pewne.

Taka postawa powoduje wściekłość działaczy ruchu. Doskonale widać ją na profilach partii w mediach społecznościowych. W zasadzie pod każdym wpisem można znaleźć komentarze

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4bd55e39c4

wzburzonych ludzi zawiedzionych Biedroniem i jego niesłownością.

„Właśnie się zorientowałem, że i mi dał bana. Swojemu wyborcy. Dno. Oby obecny mandat był jego ostatnim. Może jakaś petycja do PE o odebranie mandatu siłą?" – pyta na Twitterze Franek Podleśny.

„No więc już nie tylko Robert Biedroń banuje swoich sympatyków, ale również profil Wiosny. Myślę, że to rozwiązuje moje wątpliwości odnośnie do tego, czy oddam na nich głos w nadchodzących wyborach. Z pozdrowieniami dla @K_Smiszek. Potraficie z sympatyka zrobić wroga" – pisze Hippokrytyk.

KTO Z KIM PÓJDZIE?

Gdy piszemy ten tekst, nadal nie wiadomo, w jakich blokach opozycja pójdzie do wyborów. Czy lewica stworzy własną koalicję, czy też Biedroń przyłączy się do PO? A może wystartuje samodzielnie? Możliwe, że gdy czytają państwo te słowa, już jakieś decyzje są podjęte. Krzysztof Śmiszek z rozbrajającym uśmiechem mówił nam w ubiegłym tygodniu: – Rzeczywiście, to są na razie rozmowy o rozmowach, ale niebawem wszystko się wyjaśni. Wszyscy z sobą rozmawiamy, sytuacja jest dynamiczna – przekonywał i dodawał, że „polityczną uczciwością" jest porozmawiać z każdym i poszukać wspólnego mianownika ze wszystkimi. Zaskakujące? Na pewno tak, szczególnie dla tych uwiedzionych przez Biedronia pozującego do fotografii, gdy z pasją rozbija mur z napisem PO-PiS.

Ale po kolei. – Czy jest możliwa sklejka partii Biedronia z SLD? – pytamy Włodzimierza Czarzastego. – Z Wiosną jest kilka kłopotów. Po pierwsze, jest problem pana Biedronia, który w sprawie euromandatu zmienił zdanie na naszych oczach. Zwykle mówienie jednego, a robienie drugiego nie daje pozytywnych efektów. Po drugie – powtarzam za Watchdogiem – jest kilka spraw związanych z finansami, które są według Watchdoga nietransparentne. Po trzecie, z pewnym dystansem patrzę na jednoznaczną deklarację o potencjalnym przystąpieniu Wiosny do Koalicji Europejskiej po tym, kiedy przez pół roku pan Biedroń budował bardzo



Fot. Andrzej Skwarczyński

twardą narrację, że w Polsce musi być więcej bloków niż te zbudowane wokół PiS i KE. Ludzie na pewno to obserwują i różnie oceniają – mówi tygodnikowi „Sieci" szef Sojuszu.

No to może z Partią Razem? Zadajemy to pytanie Adrianowi Zandbergowi. Wydaje się mniej radykalny w ocenie potencjalnego wspólnika, ale felery widzi: – Realny problem, z którym boryka się Robert Biedroń, polega na tym, że bardzo wiele rozsądnych osób uwierzyło, iż jego projekt jest skazany na natychmiastowy sukces. Że od magicznego pstryknięcia palcem z dnia na dzień pojawi się partia, która w sondażach zanotuje ponad 20 proc. poparcia i sięgnie po władzę. Dla ludzi, którzy w to uwierzyli, ten zimny prysznic w wyborach europejskich był przykry. Właśnie z tym Wiosna musi się przede wszystkim zmierzyć – ocenia polityk lewicy.

Mimo tego grymaszenia wcale nie przesądzamy, że ktoś tu kogoś przekreśla definitywnie. To wszystko może być polityczną kokieterią, a na koniec może się okazać, że antypis jest i tak wystarczającym spoiwem. Tak czy inaczej jedna kwestia wyłania się z naszej analizy wyjątkowo wyraźnie: jeśli do niego dojdzie, to będzie małżeństwo z rozsądku, a może nawet przymusu, na pewno zaś bez krzty zaufania.

ZDRADA NA LEWICY

Jan Hartman, z którym Biedroń współtworzył partię Twój Ruch, dzisiaj nazywa go narcyzem, a samodzielny start Wiosny w wyborach określa mianem zdrady i wspieraniem PiS. „Z czystego egoizmu Biedroń wyłamał się z tej wspólnej walki, utrwalając kliszę mówiącą o wojnie dwóch „wciąż tych samych", symbiotycznych w gruncie rzeczy stronnictw. (...) Liczba skandalicznych wypowiedzi i wydarzeń w krótkiej historii Wiosny przekroczyła jednakże i tak niemałe, w moim

eprasa.pl 4bd55e39c4

przynajmniej przypadku, oczekiwania. Podobnie jak stopnień, w jakim ugrupowanie to stało się prywatną sektą wyznawców swego przywódcy" – napisał na swoim blogu pod koniec maja, po ogłoszeniu wyników wyborów do PE.

Kolejne zarzuty pod adresem Biedronia sformułował w ubiegłym tygodniu na łamach „Krytyki Politycznej" Piotr Czerniawski z Rady Krajowej partii Razem: „Rodzi się pytanie – kto jest w stanie nadążyć za tymi wszystkimi woltami? Za liderem, który nie wierzy we własny projekt? Największą słabością partii wodzowskiej jest wódz, o czym świadczą upadki Palikota, Petru i Kukiza, obiecujących dokładnie to samo, co Biedroń – zmianę. Ale ci panowie nie mieli takich kadr jak Biedroń ani nie budzili takiego entuzjazmu. Nie mieli ludzi, wokół których można by budować progresywny projekt na lata, opierali się na przypadkowej zbieraninie osób. Tymczasem Biedroń swoich najlepszych ludzi prawie w całości wypchnął na margines, co udowodniły listy wyborcze do PE".

Adam Leszczyński (do niedawna w „Gazecie Wyborczej", dziś w „Krytyce Politycznej") przed dwoma tygodniami bardzo gorzko podsumował: „Drogi Robercie – o co ci chodziło naprawdę? Zastanawiam się teraz i nie mogę zgadnąć. Po to angażowałeś czas i energię tylu ludzi, żeby wprowadzić parę osób na listy Grzegorza Schetyny? To mogłeś mieć bez tego całego wysiłku. Och, Robert. Robert. Taki z ciebie żartowniś. Figlarz. Zgrywus".

Sam Biedroń na margines nigdy nie dał się zepchnąć, wykonując klasyczne ucieczki do przodu. Zaczynał w SLD, ale nie udało mu się wejść do Sejmu. W 2011 r. osiągnął ten cel – z list Palikota. Gdy w 2014 r. Twój Ruch zaczął tonąć, Biedroń był już prezydentem Słupska.

Z tego czasu warto przypomnieć kilka cytatów. Robert Biedroń mówił w 2015 r. o liderze tracącego poparcie Ruchu, że „Januszowi potrzebna jest odrobina odpoczynku" i ostrzej, że „obciążenie nie bardzo czuje, że jest dzisiaj obciążeniem". W odpowiedzi usłyszał: „Coś ci powiem, zawiodłem się na tobie...". Ale czas zabliźnił tę ranę i na starcie Wiosny Palikot – wywołany podczas konferencji prasowej – wpłacił na kampanię 1 tys. zł z dopiskiem: „Tylko nie wydaj na głupoty".

TRANSPARENTNOŚĆ INACZEJ

„Transparentność musi być standardem nowej władzy, jeżeli chcemy odbudować zaufanie wyborców do polityków" – mówił w marcu Biedroń Jackowi Żakowskiemu w „Polityce". Spójrzmy więc, jak Wiosna realizuje obietnicę przejrzystości.

> Dziś Wiosna jawi się jako folwark rodzinny, klika stworzona w interesie wąskiego grona osób. Znaki szczególne: zaprzeczanie przez lidera swoim obietnicom, przedziwny statut, który sytuuje Biedronia na pozycji nieusuwalnego wodza, niejasne finansowanie. I pęd do kasy

Finanse. „Partia Biedronia uczy się jawności, odmawiając jej" – czytaliśmy w maju na stronach Sieci Obywatelskiej Watchdog, która miesiącami dopominała się od Wiosny informacji o pieniądzach, z których utrzymuje się partia. Proszono o wyciągi z kont, historię rachunków bankowych oraz informacji o wszystkich wydatkach partii od początku jej istnienia. Wielu informacji nie udostępniono. Następnie złożono wniosek o udostępnienie faktur, których dane były przez partię zasłonięte na przesłanych wyciągach. „W odpowiedzi Wiosna stwierdziła, że pytamy o informację przetworzoną, za którą mamy zapłacić, a wniosek zostanie wykonany w maksymalnym dopuszczalnym terminie". Później formacja Biedronia zasłaniała się rzekomą ochroną prywatności kontrahentów i osób wpłacających na konto partii. Do dziś nie wiadomo, kto ani w jakim stopniu finansuje ugrupowanie (Watchdog walczy o te dane w sądzie). A chodzi o grube kwoty, idące w miliony, bo Wiosna nie oszczędza. Wszystko robi „na wypasie". Politycy ze wszystkich stron sceny politycznej podejrzewają, że z powodu tej nieprzejrzystości PKW może odrzucić sprawozdanie finansowe partii i nie wypłacić subwencji budżetowych, nawet jeśli formacja Biedronia przekroczy próg 3 proc. głosów.

Tajny statut. Przez długi czas partia nie chciała też upublicznić swojego statutu. Dopiero, gdy wyciekł on do internetu, zamieszczono go też na stronach Wiosny. Co ukrywano? M.in. kompetencje prezesa. Okazało się, że szef partii jest... nieusuwalny. Wybór prezesa następuje tylko w wypadku śmierci lub rezygnacji z przewodzenia ugrupowaniu. To są te nowe standardy w polityce? Takich mechanizmów nie ma w żadnej z dużych formacji.

Blokady w internecie. Robert Biedroń nie lubi trudnych pytań. Nawet wtedy gdy nie musi na nie odpowiadać. Blokuje na Twitterze każdego, kto w jakikolwiek sposób krytykuje jego lub Wiosnę (nawet w kulturalny sposób). Niczym małe dziecko robiące koledze na złość. Dochodzi do takich absurdów, że nawet rzeszowski koordynator partii Robert Smucz został przez Biedronia zablokowany tylko z tego powodu, że zapytał, dlaczego szef partii zablokował sympatyka Wiosny. Rzeczywiście to nowa jakość... w autokompromitacji lidera i jego prywatnego folwarku.

Wiosna nagle stała się trzecią siłą na polskiej scenie politycznej. Dewaluuje się jednak w takim tempie, że zasadne staje się pytanie, czy w ogóle przetrwa do jesiennych wyborów? A jeżeli już, to w jakim kształcie? Nie bez przyczyny nawet Piotr Czerniawski z partii Razem wspomniany wyżej tekst podsumowuje słowami: „To nie jest epitafium dla Wiosny, albowiem nie może umrzeć coś, co nigdy na dobre się nie narodziło".

eprasa.pl 4bd55e39c4

Polowanie na szpiega



Aleksandrowi Worobjewowi grozi do 20 lat więzienia

W Rosji nakręcono aferę szpiegowską. Jej głównym bohaterem jest dość niepozorny urzędnik państwowy pochodzący z obwodu kaliningradzkiego. Aleksander Worobjew miał mieć polski paszport i przekazywać na Zachód poufne tajemnice z otoczenia prezydenta Putina. Na razie nie wiadomo, co jest prawdziwym celem tej akcji i dlaczego eksponuje się polski wątek, jednak nie można wykluczyć prowokacji. Są bowiem kolejni zatrzymani

Aleksander Worobjew ma 39 lat i jest prawnikiem. Od roku pełnił funkcję doradcy szefa Uralskiego Okręgu Federalnego Nikołaja Cukanowa. Na początku lipca władze rosyjskie poinformowały, że Worobjew został aresztowany pod zarzutem zdrady państwa. Ujawniono, że Worobjew miał polski paszport oraz



KONRAD KOŁODZIEJSKI

„specjalne urządzenia nagrywające". Wprawdzie rosyjskie prawo zabrania urzędnikom państwowym posiadania podwójnego obywatelstwa, jednak to jeszcze zbyt mało, aby postawić zarzut zdrady państwa. O co zatem chodzi? Jaką wartość dla wywiadu (w domyśle: polskiego) mógł mieć nikomu szerzej nieznany rosyjski urzędnik pracujący

Fot. East/News/Alexey Filippov/Sputnik

eprasa.pl 4bd55e39c4

w Jekaterynburgu na Uralu? O ile oczywiście uznamy postawione mu zarzuty za prawdziwe.

Polskie władze nie wypowiadają się na ten temat, bo o szpiegostwie Worobjewa na rzecz Polski spekulują na razie jedynie rosyjskie media. Oczywiste jest jednak, że tropy podrzuca dziennikarzom Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB). Sprawa wygląda zresztą na początek większej akcji. W zeszłym tygodniu zatrzymano bowiem kolejnego domniemanego agenta.

PRAWA RĘKA GUBERNATORA

Okazuje się, że Worobjew – choć na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżniał spośród tłumu podobnych mu urzędników – miał pewien atut. Tym atutem była zażyła znajomość z Nikołajem Cukanowem, jego bezpośrednim szefem pełniącym obowiązki pełnomocnika prezydenta w Uralskim Okręgu Federalnym.

Okręgi federalne zostały ustanowione w Rosji tuż po objęciu władzy przez Władimira Putina. Nie wchodzą one w skład administracji terytorialnej państwa. Jednak dzięki nim prezydent sprawuje bezpośrednią kontrolę nad regionami. Jego okiem i uchem w terenie są stojący na czele okręgów federalnych pełnomocnicy. I właśnie jednym z tych pełnomocników był Nikołaj Cukanow.

Cukanow nie tylko miał bezpośredni dostęp do prezydenta Putina, lecz wchodził również w skład prezydenckiej Rady Bezpieczeństwa. Niewykluczone więc, że informował swojego zaufanego prawnika o toczących się tam rozmowach i podejmowanych w najwyższym gronie decyzjach. A takie informacje byłyby już łakomym kąskiem dla każdego – nie tylko polskiego – wywiadu.

Worobjew i Cukanow znają się i blisko współpracują już od kilkunastu lat. Obaj pochodzą z graniczącego z Polską obwodu kaliningradzkiego. Cukanow zrobił tu oszałamiającą karierę, zaczynał w 2005 r. od stanowiska mera w swoim rodzinnym miasteczku Gusiew, aby zaledwie po pięciu latach awansować na gubernatora całego obwodu kaliningradzkiego. Worobjew – domniemany polski agent – objął w Gusiewie stanowisko szefa obsługi prawnej merostwa, a gdy Cukanow został gubernatorem, pociągnął za sobą młodego, ambitnego prawnika i mianował go szefem Agencji Mienia w obwodzie kaliningradzkim.

Współpracownicy Cukanowa opowiadają rosyjskim mediom, że Worobjew pełnił w praktyce funkcję prawej ręki i rodzinnego prawnika gubernatora. Miał mieć dzięki temu pełną wiedzę o wszystkich – legalnych i nielegalnych – przedsięwzięciach podejmowanych przez władze obwodu.

> Być może ktoś na Kremlu próbuje rozkręcić skandal szpiegowski z Polską i z Ameryką w tle. I wzmocnić propagandową kliszę na temat rosnącego zagrożenia ze strony Zachodu

INTERESY BYŁEJ ŻONY PUTINA

W najbliższym otoczeniu Cukanowa, do którego dołączył Worobjew, wiele się działo. Jak donoszą rosyjskie media, część z zaufanych współpracowników gubernatora była skorumpowana lub łamała prawo. Szef aparatu regionalnego rządu w obwodzie kaliningradzkim Jewgienij Michajłow był oskarżany o udział w przemycie narkotyków, z kolei zarządzający regionalnym holdingiem rolnym Aleksander Dzantijew dostał wyrok dwóch lat więzienia za sprzedaż nieruchomości w Kaliningradzie znacznie poniżej rynkowej wartości (chodziło o miejscowy, nigdy nieukończony, Dom Sowietów w centrum miasta).

Największą aferą w obwodzie Cukanowa były nadużycia finansowe w trakcie budowy kaliningradzkiego stadionu piłkarskiego na mundial 2018. W rezultacie do aresztu trafił minister budownictwa obwodu kaliningradzkiego Amir Kuszchow. Sprawa miała jednak znacznie szersze tło, również polityczne. Odczytywano ją jako kolejną odsłonę brutalnych walk kremlowskich koterii o wpływy i pieniądze, bo za kratki trafili także dwaj bracia Magomiedowie – wpływowi biznesmeni blisko związani z premierem Dmitrijem Miedwiediewem. Kulisy tych afer z pewnością były doskonale znane Worobjewowi, który z ramienia władz obwodu zajmował się nieruchomościami. Trudno jednak ocenić, czy takie informacje, jakkolwiek przydatne dla zrozumienia procesów zachodzących wewnątrz rosyjskiego obozu władzy, mogły mieć aż tak kluczowe znaczenie dla obcego wywiadu. Zwłaszcza że można było do nich dotrzeć dzięki analizie materiałów ukazujących się w rosyjskich mediach i w internecie.

Znacznie ciekawsza mogła być za to inna wiedza, którą mógł mieć Worobjew. Okazuje się bowiem, że z poręczenia Cukanowa miał on nadzorować interesy prawne Ludmiły Szkrebniewej i jej rodziny. Dla mniej zorientowanych wyjaśnienie, że Szkrebniewa to panieńskie nazwisko Ludmiły Putin, z którą prezydent Rosji rozwiódł się w 2014 r. Dawna pani Putin, podobnie jak jej obecny mąż biznesmen Artur Oczeretny, pochodzi z Kaliningradu. Prowadząc interesy pani Szkrebniewej, można się było zapewne dowiedzieć czegoś interesującego na temat jej dawnego męża. Czy rzeczywiście Worobjew miał jakąś insiderską wiedzę o Putinie i jego majątku, tego nie wiemy, ale wykluczyć tego nie można.

Innym wpływowym człowiekiem, o którego mógł się otrzeć Worobjew, był Władimir Gundiajew, znany dziś szerzej jako patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl. Gundiajew był wcześniej metropolitą smoleńskim i kaliningradzkim i stąd wzięła się jego znajomość z gubernatorem Cukanowem oraz jego podwładnymi, w tym zapewne i z Worobjewem. Ostatnio patriarcha znalazł się jednak – zdaniem niektórych ekspertów – w niełasce Putina, głównie za sprawą przegranej

eprasa.pl 4bd55e39c4

batalii o autokefalię ukraińskiej Cerkwi. Niewykluczone więc, że łączenie Cyryla ze „szpiegowską aferą" Worobjewa może być grą na „przyśpieszenie" emerytury patriarchy.

Nie ulega wątpliwości, że Worobjew – urzędnik z tylnego rzędu – ocierał się w trakcie swojej kariery o różnych, nierzadko wpływowych ludzi w Rosji i mógł się przy tej okazji dowiedzieć czegoś ciekawego. Jednak – z drugiej strony – takich urzędników jak Worobjew jest w Rosji wielu i każdy z nich miałby zapewne coś interesującego do opowiedzenia. Dlaczego zatem akurat on miał zostać – jeśli wierzyć rosyjskim mediom – zwerbowany przez polski wywiad?

STUDIA W POLSCE

Rosjanie wskazują oczywiście na pochodzenie Worobjewa. Obwód Kaliningradzki graniczy z Polską, zatem urzędnik miał – jak twierdzą – kontakty z Polakami. Tym bardziej, że Worobjew jakoby sprawnie mówi po polsku. Chętnie podawaną poszlaką są studia Worobjewa w ramach grantu przyznanego mu kilkanaście lat temu w warszawskiej Krajowej Szkole Administracji Publicznej. Padają sugestie, że to właśnie wtedy polski wywiad miał zwerbować ambitnego rosyjskiego prawnika. I że Polacy jakoby dobrze obstawili, bo Worobjew, awansując w urzędniczej karierze, pozyskiwał nowe, interesujące z wywiadowczego punktu widzenia, znajomości i informacje.

Rosjanie twierdzą też, że Worobjew ma nieruchomości w Polsce. Padają różne liczby: jedni twierdzą, że urzędnik ma mieszkanie w Warszawie, inni, że ma aż trzy nieruchomości: dwa mieszkania w Warszawie i dom w Gdańsku.

Zadziwiającą sprawą jest polski paszport Worobjewa. Jeśli jest autentyczny i nie podrzucili go – na użytek oskarżenia – funkcjonariusze FSB, to pojawia się pytanie, kiedy Worobjew otrzymał polskie obywatelstwo i jakim cudem zdołał je utrzymać w tajemnicy? Zwłaszcza że jako urzędnik państwowy (trzeciej rangi – według oficjalnej tabeli) przechodził zapewne niejeden raz procedury sprawdzające. Na to wszystko nie ma odpowiedzi, co każe się przyglądać rosyjskim oskarżeniom ze sporą dozą ostrożności.

Nieznane są również ewentualne motywy Worobjewa. Według jednej z podanych hipotez miał on podjąć domniemaną współpracę z polskim wywiadem z powodów światopoglądowych jako przeciwnik reżimu Putina. Wszystko są to jednak doniesienia niemożliwe do zweryfikowania, głównym źródłem informacji są tu – jak wiele na to wskazuje – kontrolowane przecieki ze strony FSB. Sam oskarżony nie wypowiedział się przecież dotąd publicznie, a prowadzone przeciwko niemu śledztwo jest opatrzone klauzulą tajności. Nikt nie potwierdził nawet oficjalnie, że w sprawie chodzi o polski wywiad.

> Worobjewowi grozi 20 lat więzienia. Kto wie, czy w zamian za złagodzenie kary nie zdecyduje się – tak jak w dawnych sowieckich czasach – sypnąć całej rzekomej „polskiej siatki szpiegowskiej"

PROWOKACJA CZY INTRYGA?

Wokół domniemanej afery szpiegowskiej tworzy się w Rosji coraz więcej mitów i plotek. Od zupełnie fantastycznych mówiących, że Worobjew był wtyką zachodnich wywiadów, która ujawniła światu dane sprawców zamachu na Siergieja Skripala w Wielkiej Brytanii oraz przekazała informacje o rosyjskich próbach ingerowania w wybory prezydenckie w USA, do tylko nieco mniej absurdalnych, jak np. o tym, że urzędnik – pracujący od niespełna dwóch lat w Jekaterynburgu – miał wykradać dane o najnowszych supertajnych rodzajach uzbrojenia budowanych w zakładach zbrojeniowych na Uralu. Podobne sensacje można włożyć między bajki, ich adresatami są niezbyt rozgarnięci – choć niestety nadal dość liczni w Rosji – bezkrytyczni odbiorcy antyzachodniej propagandy.

Tych absurdalnych tropów nie można jednak całkiem lekceważyć. Nie dlatego, że może być w nich coś z prawdy, bo wszystkie z nich są równie niewiarygodne, ale dlatego, że mogą one wskazywać na intencje pomysłodawców afery. Być może ktoś na Kremlu próbuje rozkręcić skandal szpiegowski z Polską i z Ameryką w tle. I wzmocnić propagandową kliszę na temat rosnącego zagrożenia ze strony Zachodu. Według statystyk polowanie na szpiegów w Rosji się rozkręca. Co roku sądy skazują 4–6 osób pod zarzutem zdrady państwa, a w samym 2016 r. było aż 14 takich wyroków.

Wątek dotyczący rzekomego wykradania tajemnic zbrojeniowych przez Worobjewa dziwnie pasuje zresztą do niedawnego skazania Mariana Radzajewskiego, przedsiębiorcy z Białegostoku, którego rosyjskie władze oskarżyły o próbę wywiezienia z Rosji części systemu przeciwlotniczego S-300, co jest o tyle dętym oskarżeniem, że system ten – nie najnowszy już zresztą – od wielu lat ma na uzbrojeniu należąca do NATO Grecja. A zatem jaki byłby sens wywożenia danych na temat S-300, skoro każdy wywiad NATO ma do nich dostęp? Radzajewski nie przyznał się do stawianych mu zarzutów i został w czerwcu skazany na 14 lat kolonii karnej. Być może Worobjew to ciąg dalszy tej samej operacji, a być może jedynie zbieżność w czasie. Tego na razie nie wiemy.

Możemy się natomiast domyślać, że aresztowanie Worobjewa to początek szerszej akcji. W ostatnią środę zatrzymano kolejną osobę pod zarzutem zdrady państwa. To pochodzący – cóż za przypadek – z Kaliningradu prawnik Konstantin Antoniec. On również był podwładnym Nikołaja Cukanowa i zapewne znał Worobjewa. Antoniec stwierdził, że postawione mu zarzuty zostały sfabrykowane. Co jeszcze

12/07/19/F

eprasa.pl 4bd55e39c4

ciekawsze, żona Antońca została aresztowana w zeszłym roku za domniemane szpiegostwo na rzecz Litwy.

Niewykluczone, że Worobjewa i Antońca wytypowano jako kozłów ofiarnych w jakiejś poważniejszej rozgrywce między kremlowskimi koteriami. Ich przełożony Nikołaj Cukanow uchodził dotąd za osobę nietykalną – pomimo licznych afer w trakcie jego rządów w Kaliningradzie – nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Było wręcz przeciwnie, w 2016 r. po odejściu z urzędu gubernatora obwodu kaliningradzkiego (oficjalnie na własną prośbę) awansował, najpierw na szefa Północno-Zachodniego Okręgu Federalnego, potem – rok później – na doradcę prezydenta Putina, aż wreszcie w 2018 r. Władimir Putin mianował go swoim przedstawicielem w Uralskim Okręgu Federalnym. Nawet po zatrzymaniu Worobjewa Cukanow nie został zdymisjonowany. Nie wiadomo, czemu zawdzięcza taką przychylność Putina. Być może Cukanow miał szansę na jakieś stanowisko na Kremlu i ktoś postanowił w tym przeszkodzić, stawiając jego najbliższemu współpracownikowi zarzut zdrady państwa. Bardziej prawdopodobny jest jednak inny wariant, że żadnej przychylności ze strony Putina nie ma. Znawcy Kremla twierdzą bowiem, że Putin działa z rozmysłem, powoli. I uderza w dogodnym dla siebie momencie. Wszystko więc może się zdarzyć.

Uruchomiona afera szpiegowska może mieć poważne konsekwencje – także międzynarodowe – co oznacza, że akcję autoryzowano na wysokim szczeblu. Wskazuje na to również fakt, że śledztwo w tej sprawie prowadzone jest – co podkreślają rosyjskie media – przez centralę FSB. Może więc chodzić o coś znacznie poważniejszego niż utrącenie Cukanowa. Nie można nawet wykluczyć, że szykuje się jakaś prowokacja przeciwko Polsce i NATO. Zwłaszcza że i samemu Cukanowowi wyciąga się – na razie w mediach – dość dziwnie brzmiący „zarzut", że w 1991 r. był współudziałowcem polsko-rosyjskiej firmy handlowej. A zatem też może być „szpiegiem". Jego najbliższemu współpracownikowi Worobjewowi grozi teraz 20 lat więzienia, dlatego kto wie, czy w zamian za złagodzenie kary nie zdecyduje się – tak jak w dawnych sowieckich czasach – sypnąć całej rzekomej „polskiej siatki szpiegowskiej" dążącej – czemu nie – do oderwania obwodu kaliningradzkiego od Rosji.

W sprawie Aleksandra Worobjewa tak naprawdę niewiele wiadomo. Część podsuwanych tropów sprawia wrażenie dość prawdopodobnych, inne – ani trochę. Jak w klasycznej dezinformacji prawda przez cały czas przeplata się z fałszem. Co jest prawdziwym celem tej akcji, kto stoi za domniemaną aferą szpiegowską i czemu ma służyć jej polski wątek, dowiemy się zapewne za jakiś czas. O ile się dowiemy.

REKLAMA





Kowboje i Indianie

Jak lotne brygady Koalicji Obywatelskiej cywilizują „Dziki Wschód”

Fot. Mateusz Banel/REPORTER



STANISŁAW JANECKI

Wędrowne trupy (zwykle kilkunastoosobowe), pełniące funkcję zwiadowczych oddziałów Koalicji Obywatelskiej, wyruszyły w Polskę. Pod hasłem #POrozmawiajmy dosłownie gnają od jednej miejscowości do drugiej, żeby tam zamienić kilka zdań z tymi mieszkańcami, którzy nie reagują obojętnie bądź niechętnie na ich pojawienie się. Najczęściej są to dwa, trzy zdania rzucone w pośpiechu, uściski dłoni i wezwania, aby pójść na wybory. Te spotkania ma być widać tak, jakby podczas każdej wizyty rozmawiano z tysiącami ludzi.

Jak to działa, zdradził 5 lipca jeden z dowódców zwiadu (razwiedki) KO, Bartosz Arłukowicz: „W kampaniach, za naszymi plecami, w cieniu idą z nami ludzie, których nie widzicie. A są kluczowi. Autor foty Maciek. Mega zawodnik”. Ci kluczowi ludzie to ekipa techniczna mająca zadbać o przekaz, wrażenia i gadżety (plansze, chorągiewki, banery, znaczki, słodycze). Chodzi o przekaz (wideo, fotograficzny), w którym dominują uśmiechy, serdeczność, zaangażowanie, wrażliwość i przede wszystkim energia. Ma być widać, że mamy do czynienia z wulkanami energii, a nie politykami po kilku porażkach, zrezygnowanymi, dotkniętymi defetyzmem, mającymi coraz mniejsze szanse na wygraną w wyborach parlamentarnych w październiku br. Mamy obcować ze zwycięzcami. Tam, gdzie politycy KO są zdawkowi, banalni czy wręcz infantylni w późniejszym przekazie, przede wszystkim w mediach społecznościowych, mamy tylko dynamicznie zmontowane przez „kluczowych ludzi za naszymi plecami” obrazki z roześmianych powitań, mocnych uścisków dłoni, dynamicznych przemarszów, a to wszystko z rytmiczną muzyką w tle. Fragmenty wymiany zdań pojawiają się tylko wtedy, gdy razwiedka chce zademonstrować przyjazne przyjęcie lub swoją troskę o rozmówców. Wrażenie ma być takie, że Polacy w całym kraju czekają na polityków KO, lubią ich i pójdą na wybory, żeby na nich głosować.

Od strony wizualnej i ideowej propagandowa akcja Koalicji Obywatelskiej przypomina to, co w 1988 r. francuski pisarz, filozof i polityczny aktywista Guy Debord opisał w „Rozważaniach o społeczeństwie spektaklu”. Wyborcy są skrajnie zunifikowani, nie mają własnego zdania, niosą ich wydarzenia i obrazy (medialne, uliczne), a oni się temu biernie poddają. W takim społeczeństwie w istocie nie ma dyskusji, debaty, lecz dominują „samopotwierdzające się monologi”. W publicznym dyskursie kompletnie nie liczy

eprasa.pl 4bd55e39c4

się prawda, a samo dążenie do niej jest uznawane za stratę czasu. Liczy się wyłącznie spektakl i włączenie do niego jak największej liczby uczestników. Spektakl musi trwać, a każda forma jego krytyki jest inkorporowana w obręb spektaklu, przez co znikają wszelkie krytyczne narzędzia.

Z kolei od strony historycznej działania lotnych brygad KO przypominają środkowy etap (od końca XVI w.) hiszpańskiej konkwisty w Ameryce Południowej i Środkowej. Ale też podbój Dzikiego Zachodu do roku mniej więcej 1830, gdy wydzielono „Terytorium Indiańskie". Przypominają również wyprawy polskich komsomolców (ze Związku Młodzieży Polskiej oraz młodych aktywistów PPR, a potem PZPR) na wieś czy generalnie prowincję pod koniec lat 40. i na początku 50. – żeby tam krzewić nową świadomość, reedukować, a z opornymi, np. kułakami, walczyć. W wersji razwiedki KO często wygląda to na parodię konkwisty, spotkań kowbojów z Indianami czy akcji brygad ZMP.

NA DEPTAKU W CIECHOCINKU

Jak wygląda od kuchni działalność lotnych brygad Grzegorza Schetyny? Najbardziej znany oddział występuje w składzie: Bartosz Arłukowicz, Barbara Nowacka, Krzysztof Brejza, Arkadiusz Myrcha. Dołączają do niego: sam Grzegorz Schetyna, a ponadto Monika Wielichowska, Tomasz Siemoniak, Robert Tyszkiewicz, Tomasz Szymański, Tomasz Cimoszewicz, Piotr Borys, Krzysztof Truskolaski, Paweł Olszewski, Cezary Grabarczyk. Komunikaty ze spotkań lotnych brygad są oczywiście banalne, ale takie mają być. Byleby było ich dużo. Na przykład Grzegorz Schetyna tak streścił rozmowy prowadzone 6 lipca br.: „Zaczęliśmy w Białymstoku na bazarze. Pomożemy przywrócić prostsze wizy dla Białorusinów, które PiS bez sensu zniósł! Potem Augustów i Suwałki. (...) Jeździmy i rozmawiamy: o służbie zdrowia, za niskich płacach i emeryturach, szansach dla młodych. O tym, jak zbudować #lepszaPolska". W Gorzowie senator PO Waldemar Sługocki rozmawiał „na temat bardzo wielu ważnych kwestii. Obok wątków społecznych, gospodarczych i infrastrukturalnych pojawiły się również kwestie polityczne". 9 lipca Tomasz Siemoniak relacjonował: „W Nowej Wsi Królewskiej w gminie Płużnica rozmawiamy z seniorkami o kolejkach do lekarzy i wsparciu dla organizacji pozarządowych, w których działają seniorzy". Z kolei „w gospodarstwie rolnym w Szczutowie w gminie Radomin. #POrozmawiajmy o problemach rolników: fatalna ustawa o ziemi, rosnąca biurokracja wokół działalności rolniczej, nieskuteczność rządu w walce z ASF i skutkami suszy".

> Propagandowe oddziały Grzegorza Schetyny wyruszyły w Polskę. Wrażenie ma być takie, że Polacy w całym kraju czekają na polityków KO, lubią ich i pójdą na wybory, żeby na nich głosować. Ale ich akcja wygląda raczej na parodię konkwisty, spotkań kowbojów z Indianami czy wyprawy aktywistów ZMP na polską wieś w latach 50. ubiegłego wieku

6 lipca najbardziej aktywny Bartosz Arłukowicz donosił: „Podlasie! Dziękujemy! Za każdą rozmowę i za każdy uścisk dłoni! Za herbatę #wdrodze. Za pierogi w biegu. Dziękujemy całą ekipą #KoalicjaTeam! Do zobaczenia! Jeszcze będzie normalnie!". Albo: „Środek Europy. #Suchowola. Z ludźmi tu rozmawiamy. O Suchowoli. W Europie". W Suwałkach Arłukowicz zauważył: „Ludzie biegają. Rodzice z dziećmi. Inni piknikują. Strażacy na straży. Ze sceny muzyka". W Augustowie „ludzie serdeczni i uśmiechnięci! Na Festiwalu Swojskie Smaki miodów próbowaliśmy i serów przeróżnych. Miodówką dziewczyny z Kół Gospodyń Wiejskich częstowały, ale nie mogliśmy, bo jeszcze robota przed nami!". W Rajgrodzie „dzieciaki na żaglówkach, rodzice trzymają kciuki, a w międzyczasie kilka słów o polityce". Na rynku na Kawaleryjskiej w Białymstoku „setki handlowców. Jeszcze w zeszłym roku było tu tysiące klientów. Dzisiaj pusto, bo rząd zniósł w 2019 wizy zakupowe dla obywateli Białorusi". W Białymstoku „na 3 zmianie z ludźmi jesteśmy w meganowoczesnej fabryce cewek i innych wysokich technologii samochodowych. Produkują na cały świat. Od Japonii po USA!".

Z kolei Barbara Nowacka 9 lipca odnotowała: „Spotkanie z producentami rolnymi w Radominie, gmina Golub-Dobrzyń. O problemach polskiej wsi, rozroście biurokracji i zahamowaniu rozwoju". I jeszcze: „W Klubie Seniora w Nowej Wsi Królewskiej przyjęto nas dobrym humorem, pysznym żurkiem i rozmowami o wspólnocie, samotności osób starszych, programie »Polska Seniora«, i problemach w dostępie do leków i lekarzy". Albo: „Ciechocinek. Rozmawiamy o ważnych sprawach dla Polek i Polaków".

Arkadiusz Myrcha witał „państwa bardzo serdecznie w urokliwym Ciechocinku" i rozdawał cukierki. Poza tym „o rosnących problemach w rolnictwie" Myrcha rozmawiał „z producentami rolnymi w gminie Radomin. Choć rząd kolejnymi decyzjami utrudnia im prace, to ciężką pracą tworzą sukcesy polskiego rolnictwa". A Borys Budka stwierdził: „My się deszczu nie boimy i swoje robimy". W przekazie wyeksponowano „panią Irenkę z Suwałk", która „czekała od rana". Dlatego Bartosz Arłukowicz spytał ją, „jak ma na mię", a gdy się dowiedział, zakrzyknął: „Pani Irenko, jeszcze przyjedziemy! Pani Irenko, wszystkiego dobrego". W Ciechocinku Tomasz Siemoniak pytał spotkaną kobietę: „Mieszka pani w Ciechocinku?". Odpowiedziała, że jest „na wczasach", a kiedy zobaczyła Barbarę Nowacką, stwierdziła: „Taka dziewczynka! W telewizji wygląda inaczej". Na co Barbara Nowacka odparła, że „w telewizji zawsze wyglądamy inaczej". Incydent z „panem Andrzejem" z Węgrowa, który prosił, by go Bartosz Arłukowicz „nie denerwował", po czym został odprowadzony głośnym rechotem, wymagał zabiegów „odkręcających". Ale jak już europoseł PO wszystko odkręcił

eprasa.pl 4bd55e39c4



Fot. Andrzej Wiktor

(w swoim mniemaniu), mógł zadowolony stwierdzić: „My po prostu lubimy ludzi. A to, co zrobiliście dzisiaj z Panem Andrzejem, wasza dzisiejsza manipulacja i lejąca się propaganda – obrzydliwe".

Czyli to nie Arłukowicz miał problem, lecz PiS i Beata Szydło, która po incydencie gościła w Węgrowie. Dlatego Arłukowicz postanowił ją sprowokować: „A Wierzbno? Ludzie w pieczarkarni mają kilka słów do Pani. A Rajgród? Nie chciałem Pani psuć poniedziałku! Pani Premier! Nie ma co wracać na Nowogrodzką. Z Węgrowa na Wierzbno blisko jest! To jak? Podejmuje Pani wyzwanie?".

Wnioski dla lotnych brygad były takie, jak w wypadku pani z giełdy rolno-towarowej w Białymstoku, która „nie chodzi na wybory, ale teraz pójdzie". Oczywiście, żeby głosować na Koalicję Obywatelską. Dlatego PO na swoim profilu na Twitterze mogła odnotować: „Jest moc!".

KONKWISTADORZY I INNI

W postaci lotnych brygad dobrzy konkwistadorzy z Koalicji Obywatelskiej chcą cywilizować polską prowincję, tak jak ci hiszpańscy cywilizowali Indian Ameryki Południowej i Środkowej. Na początku podbojów za traktowanie Indian jak nie-ludzi, za nieuzasadnioną przemoc i nadużycia groziły ekskomunika i wygnanie z kolonii. Na początku XVI w. Indianie stali się pełnoprawnymi hiszpańskimi obywatelami. Królowa Izabela I Kastylijska prosiła „Króla i Pana" oraz nakazywała „córce, księżniczce i jej mężowi, księciu", żeby „postępowali tak, aby nie dopuścić, by mieszkańcom [opanowanych już] ziem oraz ziem, które w przyszłości zostaną zdobyte, działa się jakakolwiek krzywda osobista lub materialna. (...). A jeśliby zostali w czymś skrzywdzeni, niech to zostanie naprawione".

Mieszkańcy Polski też zostali skrzywdzeni – przez PiS, a dobrzy konkwistadorzy z KO to naprawią. Przyjdzie im to tym łatwiej, że przecież konkwistadorzy osiągali sukcesy dzięki pomocy tych plemion Indian, które były uciskane przez Inków i Azteków. Dlatego w wielu miejscach, tak jak niegdyś Hiszpanie, lotne brygady KO powinny być witane jako oswobodziciele. Tym bardziej że na początku Indianie uważali białych konkwistadorów za wysłanników bogów. Dlatego witali ich z szacunkiem. Tak jak obecnie „bogów" KO, np. Barbarę Nowacką, Bartosza Arłukowicza czy Borysa Budkę. Nieprzypadkowo Arłukowicz pytał Polaków, czy już poznali Barbarę Nowacką, czyli „boginię" z telewizora.

Lotne brygady Koalicji Obywatelskiej nieprzypadkowo na początku wybrały się na Dziki Wschód, gdzie zawsze silne było poparcie dla PiS. Oni chcą po prostu przekonać miejscowych Indian, że są dobrymi kowbojami albo spokojnymi osadnikami. Tak było przecież na Dzikim Zachodzie. W 1787 r. Kongres przyjął ustawę nakazującą, żeby „ziemi Indian nie odbierać bez ich zgody". Dopiero w 1830 r. prezydent Andrew Jackson oświadczył w Kongresie: „Słusznie będzie wydzielić duży obszar na zachód od Missisipi (...) i zagwarantować go Indianom na tak długo, jak długo zechcą go zamieszkiwać". I dopiero po tym oświadczeniu powstało tzw. Terytorium Indiańskie. Politycy KO nie chcą tak samo traktować wyborców PiS, mimo że po wyborach do Parlamentu Europejskiego namawiał ich do tego prof. Wojciech Sadurski. Na Twitterze napisał, że skoro część zachodnia jest „pro-liberalna, europejska, świecka", część zaś wschodnia – „wiadomo", to trzeba stworzyć federację zachodu i wschodu, gdzie będą „kompetencje wspólne: polityka zagraniczna i obronna, waluta, armia, podstawowe wolności obywatelskie (ale w skansenie wschodnim – mniej wolności od religii)".

Politycy KO oficjalnie nie chcą rezerwatów, choć język ich świerzbi. Dlatego w swoich rajdach po Polsce traktują mieszkańców różnych miejscowości jak Karol May traktował Indian w swoich powieściach, czyli jak dzielnych wojowników, uciemiężonych przez pisowskie blade twarze. Albo jak James Fenimore Cooper, który w Indianach widział „szlachetnych dzikusów" w wersji Jana Jakuba Rousseau. W swoim przekazie dobrzy kowboje z KO chcą widzieć pisowskich Indian tak jak Karol May widział Apaczów, a Alfred Szklarski – Siuksów.

W trakcie kampanii wyborczej potrzebny jest wizerunek dobrych konkwistadorów i kowbojów, ale przecież nie na zawsze. Wtedy mogą się przydać takie podpowiedzi, jak prof. Wojciecha Sadurskiego, czyli rezerwaty. A wtedy dobrzy kowboje mogą się zamienić w kogoś takiego, jak gen. George Custer. Należy jednak pamiętać, że nad Washita River Custer z Czejenami wygrał, ale w bitwie pod Little Bighorn (1876 r.) było odwrotnie. Może się więc okazać, że lotne brygady Koalicji Obywatelskiej to tylko obwoźny cyrk. Taki, jaki pod koniec XIX i na początku XX w. zorganizował były zwiadowca William Cody, zwany Buffalo Billem. Ze swoją trupą, w towarzystwie m.in. Siedzącego Byka i Dzikiego Billa Hickoka, objeżdżał Amerykę i Europę, w tym Polskę (był np. w Krakowie). Ale to był tylko cyrk. Ten współczesny jest może lepiej przygotowany technicznie, ale chodzi o to samo: wciśnięcie kitu. W wypadku trupy Cody'ego – o Dzikim Zachodzie, w wypadku brygad Schetyny – o Dzikim Wschodzie za rządów PiS.

eprasa.pl 4bd55e39c4

PO i PiS zamieniły się rolami sprzed dekady

– Rządzący z PiS są dziś przedstawicielami tego, co stabilne, umiarkowane, dla zwykłych ludzi normalne, a opozycja wchodzi w buty radykałów domagających się nieakceptowanych społecznie rewolucji – mówi ***dr Tomasz Żukowski***, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Niecałe sto dni do wyborów, opozycja w rozsypce, sondaże dla PiS dobre albo bardzo dobre. Czy jest pozamiatane?

Dr Tomasz Żukowski: W polityce kilka miesięcy przed ważnymi, planowanymi wydarzeniami niczego nie można być pewnym. Mówią tak także politycy PiS, chcąc słusznie uniknąć grzechu pychy. Ale kolejna kadencja dla tej partii to scenariusz bardzo prawdopodobny. Wiatr ewidentnie wieje dziś bowiem pod narty rządzącym, a realne problemy opozycji co do tego, w jakiej formule pójść do wyborów, tylko wzmacniają ten podmuch.

Dlaczego ten wiatr nie przestaje wiać? Efekt transferów społecznych, socjalnych, pewnej transakcji: my wam 500+, wy nam głosy?



To, że PiS zrealizowało i rozszerzyło programy społeczne, jest czymś bardzo ważnym. Mam na myśli i 500+, i 13. emeryturę, i wyprawkę szkolną, i przyjęte ostatnio przez rząd świadczenia dla niepełnosprawnych. To czynnik, który sprzyja rządzącym. Co ważne, chodzi tu nie tylko o pieniądze i interesy.

O co?

Te transfery dają wielu ludziom czy zwykłym rodzinom z dziećmi poczucie godności, politykom PiS zaś wiarygodność. Dodatkowym czynnikiem, który sprzyja rządzącym i wzmacnia ten wiatr, jest to, że PiS zamieniło się z Platformą rolami sprzed dekady.

W jakim sensie?

Rządzący z PiS są dziś przedstawicielami tego, co stabilne, umiarkowane, dla większości zwykłych ludzi normalne, a opozycja wchodzi w buty radykałów, domagających się nieakceptowanych społecznie rewolucji.

To ciekawe, bo jeszcze niedawno gęba radykałów była przyklejona na amen do PiS i liderów tej partii.

I dodajmy, że przez dłuższy czas te wysiłki były skuteczne – duet Donald Tusk i Igor Ostachowicz oferował ludziom narrację o PO, partii „ciepłej wody w kranie", budowy dróg i mostów, oraz o „moherowym", skrajnym i kłótliwym PiS. Teraz sytuacja się zmieniła. Obóz opozycji toczy walkę o wyborców lewicowo-liberalnych, pojawiają się nieakceptowane przez większość hasła radykalnych zmian obyczajowych, kulturowych, także społeczno-gospodarczych.

Czy ta zamiana przekłada się też na strukturę elektoratu? Jeden z czołowych polityków obozu rządowego mówił mi, że ostatnie wybory to świadectwo bardzo zażyłych, niemal rodzinnych relacji wyborców z PiS.

Coś w tym jest. Skala zwycięstwa PiS w maju faktycznie była większa niż szacunki większości analityków. Czym to tłumaczyć? Społecznym transferom towarzyszyła obrona typowych, raczej konserwatywnych wartości, do tego polityka historyczna oparta na godności, dumie z dokonań naszych

eprasa.pl 4bd55e39c4



Fot. Andrzej Wiktor

przodków. Nie zapominajmy też o sprzyjającym integrowaniu się zwolenników PiS „wywstydzaniu" ich przez sprzyjające Platformie celebryckie elity i samych polityków PO.

Na czym to polega?

To polityka z czasów wielkości PO. Polegała na tym, by zaoferować większości Polaków wspólnego wroga: polityków i wyborców PiS. Zwykli, niekoniecznie dobrze sytuowani ludzie mieli czuć satysfakcję z tego, że mogą gardzić tymi samymi politykami, co elita. Poczucie takiej „wspólnoty niechęci i wykluczania" miało im dawać poczucie wyższości nad „sąsiadami moherami".

To przez lata działało.

Niestety tak. Wymagało niemalże monopolu medialnego, ale działało.

Dlaczego więc dziś to nie działa?

Z dwóch powodów: po pierwsze, złamana została dominacja mediów programowo liberalnych, po drugie, większość środowisk pracowniczych i wiejsko-rolniczych ma poczucie realizacji bliskich im interesów i ochrony ważnych tożsamości.

Stąd też zmienia się wizerunek Jarosława Kaczyńskiego?

Również. Jarosław Kaczyński, który już od trzech dekad jest bohaterem negatywnych opowieści strony lewicowo-liberalnej, przestaje być liderem rankingów nieufności, jest odbierany coraz częściej jako polityk dbający o dobro obywateli. Wracając do strategii PO: nowa sytuacja spowodowała, że polityka „wywstydzania" przekształca się w swoją karykaturę. Więcej: gdy w nowej sytuacji elity próbują nadal ją stosować, efekty są zupełnie inne: prowadzą do nowej polaryzacji nakładającej się na podziały w strukturze społecznej. Zaczynają to zresztą dostrzegać najważniejsi stratedzy intelektualni obozu liberalno-lewicowego, ale jest już za późno na zwrot przez rufę. Formacje opozycyjne składa w mniej lub bardziej spójną całość tylko chęć odsunięcia PiS od władzy.

To naturalne dla opozycji, że chce odsunąć rządzących. Cóż ten Grzegorz Schetyna ma zrobić? Wyczyścił przedpole: Nowoczesnej nie ma, Biedroń i Kosiniak wylądowali na marginesie, SLD w zasadzie wchłonięte.

Grzegorz Schetyna jest zręcznym politykiem taktykiem. Potrafi też bardzo skutecznie prowadzić duże operacje na scenie partyjnej. Proszę porównać jego pozycję dziś i na przełomie lat 2015–2016, gdy PO groziło utopienie przez partię Ryszarda Petru. Nowoczesną popierała wtedy duża część mediów komercyjnych, środowisko Leszka Balcerowicza i wpływowi politycy z Brukseli. Schetyna krok po kroku skutecznie z tym sobie poradził. Zablokował też – na razie – zapowiadany powrót Tuska „na białym koniu".

A mimo to odbija się od sufitu z pewnym pułapem poparcia.

Schetynie nie wychodzi na poziomie najważniejszym, strategicznym. Aby powstrzymać „projekt Biedroń" i „powrót Tuska", został z konieczności w kampanii do europarlamentu „wiosennym Tuskiem light". A te gry operacyjne przesunęły Platformę (kiedyś – za trzech tenorów – partię centroprawicową, a później – w latach Tuska i jego „wody w kranie" – centrową) tak bardzo na lewo, że zaczęła odpływać od środka polskiej sceny politycznej. To nie przypadek, że ważny dla „starej", centroprawicowej PO Marek Biernacki mówi, że Platformy już nie ma. Jeśli PSL wystartuje samodzielnie, po dokooptowaniu kilku kolejnych polityków PO, może się okazać, że partia Schetyny będzie już po prostu lewicowa.

eprasa.pl 4bd55e39c4

A może po prostu zmierzamy ku duopolowi?

To już się stało. W wyborach europejskich dwie główne listy zdobyły ponad 80 proc. głosów – tak jeszcze w historii III RP nie było. To kulminacja dominującego w polskiej polityce od roku 2005 dwubiegunowego, genetycznie postsolidarnościowego, podziału PO – PiS a zarazem sygnał o jego ewolucji. Na 22 europarlamentarzystów wybranych z list Koalicji Europejskiej 10 popierało koalicję SLD-PSL, walka z którą stanowiła fundament formowania się po roku 2001 dużej centroprawicowej Platformy! To pokazuje skalę zwrotu PO na lewo. Tu ważna uwaga. Nie sposób wykluczyć, że wynikiem rozgrywek wewnątrz opozycji będzie osłabienie bieguna z lewej: rezygnacja ludowców ze wspólnego startu z PO lub wypchnięcie z koalicji lewicy. To się właśnie rozstrzyga.

Z innej strony: czy PiS stać na wynik powyżej 50 proc. poparcia? Czy i tutaj sky is the limit?

Teoretycznie jest to możliwe, bo wynik ponad 45 proc. w wyborach europejskich otwiera furtki do takiego scenariusza. Ale by uczciwie odpowiedzieć na to pytanie, trzeba wiedzieć, co zrobi Paweł Kukiz, co stanie się z resztkami Konfederacji. Czy PSL wystartuje samodzielnie, czy wraz z PO? Czy SLD pójdzie wraz z Platformą, czy w odrębnym bloku lewicy? Co zrobi Robert Biedroń? Jak zareaguje centroprawicowa część wyborców PO, gdyby powstała „wielka koalicja antypisu" wraz z kandydatami Wiosny? Po opozycyjnej stronie sceny partyjnej trwa walka o przetrwanie, wpływy, pozycję lidera antypisu, przyszłą tożsamość. A że rywali jest kilku, towarzyszyć temu musi wrażenie chaosu, przerost taktyki nad czytelnym efektem.

Jak czyta pan w tym kontekście programowy kongres PiS w Katowicach?

Obóz rządzący jest w zupełnie innym, lepszym, czytelniejszym dla ludzi, miejscu. Weekendowa konwencja Prawa i Sprawiedliwości przedstawiła ramy strategii tej formacji na kolejne lata. W drugiej, potencjalnej kadencji solidarność i godność mają być uzupełnione przez inwestycje, także te cywilizacyjne, oraz o nową jakość rozwoju. Transfery społeczne – przez poprawę jakości instytucji, także w sferze socjalnej. Bardzo ważnym elementem tej strategii jest kwestia jakości, sprawczości i sprawności państwa – mówili o tym Jarosław Kaczyński, premier Mateusz Morawiecki, Jarosław Gowin i Zbigniew Ziobro.

Prezes PiS mówił też o „ofensywie zła", przerzucając ten spór z wyłącznie politycznego na moralny, niemal manichejski podział.

Tak. Bo spór jest także aksjologiczny – charakterystyczne, że po obu stronach pojawiły się podobne tezy – Jarosław Kaczyński mówił na konwencji o wolności, wiarygodnej demokracji, wartości Polski dla Europy i chrześcijańskiego świata, o walce ze złem, a w „Gazecie Wyborczej" w tym samym czasie prof. Marcin Król pisał, żeby nie wchodzić na „terytorium zła".

Dostrzega pan mechanizm zużycia władzy, który prędzej czy później dopada każdą ekipę rządzącą?

Zużycie rządzeniem i uleganie różnym, często lobbystycznym, pokusom to naturalne procesy, które nasilają się w dwóch sytuacjach: albo wtedy gdy wiadomo, że się przegra kolejne wybory, albo gdy uważa się, że – by zacytować klasyka – nie ma z kim przegrać. W pierwszej kadencji PiS tego typu zjawiska były i są pacyfikowane przez lidera PiS. W ewentualnej drugiej takie ryzyko wzrośnie. Liderzy PiS zdają sobie sprawę z tego wyzwania. Stąd ich plan poprawy jakości państwa. No i wyrażona przez Jarosława Kaczyńskiego teza, że warunkiem sukcesu – i w nadchodzących wyborach, i po ich ewentualnym wygraniu – jest otwarcie na zwykłych ludzi.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4bd55e39c4

Instrukcje z Czerskiej

Nawet z „Trybuny Ludu" czy sowieckiego „Kommiersanta" można było wyczytać informacje o przetasowaniach za zamkniętymi drzwiami w gronie komunistycznej nomenklatury. Nie inaczej jest w przypadku tekstów „Gazety Wyborczej", po których widać nastroje i ideologiczne wytyczne, jakie z Czerskiej otrzymuje opozycja



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl 4bd55e39c4

Półtora miesiąca po wyborach do europarlamentu lewica nadal się nie otrząsnęła ze swojej porażki. A przecież tuż przed ciszą wyborczą Dominika Wielowieyska nieomal zachęcała do kupna szampana na niedzielny wieczór, stwierdzając, że PiS na ostatniej prostej się potknął i klęska obozu niepodległościowego jest już w zasięgu ręki. Jeszcze po ogłoszeniu exit poll Jarosław Kurski wzywał do jedności i z nadzieją patrzył w przyszłość: „PiS nie musi wygrać wyborów parlamentarnych na jesieni". „Jeśli wyniki exit poll się potwierdzą, to trzeba się napić wódki, ale nie rozpaczać" – uspokajał wiceszef „Gazety Wyborczej". Gdy z Polski napływały oficjalne wyniki głosowania, salonowe miny rzedły jednak z każdą godziną.

Wielu publicystów uznało później, że politycy i dziennikarze opozycji przyznali się do porażki i uznali swoje winy, ale przyglądając się bliżej refleksjom politycznym, trzeba stwierdzić: oni nadal żyją w swoich politbiurach i komitetach, a dyskusje prowadzą w podmiejskich daczach. Do towarzystwa nie dotarło jeszcze, że konserwatyści i katolicy są takimi samymi ludźmi jak oni i mają prawo do swoich poglądów. Ich zdaniem antypis przegrał, bo nie starczyło sił przeciwko autorytarnym populistom rozdającym pieniądze i grającym na najniższych instynktach. Słowem: lepsi przegrali, a motłoch nie chce słuchać mędrców.

NA CO SIĘ POŁASIŁA CIEMNOTA

Zaraz po wyborczym kacu Marek Beylin przekonywał, że „w biedniejszej części Polski wygrały obietnice socjalne i strach, że Komisja Europejska odbierze to, co PiS już wprowadził, i nie da tego, co PiS zapowiedział". Potwierdzała to także Wielowieyska: „PiS wygrał socjalem". Wojciech Sadurski zapewniał 13 czerwca, że wcale nie gardzi wyborcami prawicy, dodając z satysfakcją, że są oni po prostu mniej wykształceni, „dali się uwieść nierealnymi obietnicami", nie czytają książek i są jedynie „prostymi ludźmi". Wbrew politowaniu dla pisowców swoistego odkrycia dokonał Beylin, przekonując czytelników, że „Wyborca PiS nie jest przybyszem z kosmosu". Publicysta „GW" pogłębia to spostrzeżenie przekonaniem, że „spora część wyborców PiS, jak innych skrajnych partii w Europie, mniej różni się od wyborców partii demokratycznych, niż sądzimy". Jeszcze nie doczekaliśmy się tekstu, gdzie na Czerskiej by dostrzeżono, że mamy także ręce, nogi, potrafimy kochać i zawiązywać więzi społeczne, ale nasze oświecone salony kiedyś na pewno dostrzegą, że w upałach pocą się tak samo jak my, a w chorobie ich katar jest taki sam jak nasz – w niczym nie lepszy. Ten sam Beylin 8 lipca nazywa władzę „państwową rewolucją miernot", a jej światopogląd „spiskową logiką patologicznej nieufności", więc szacunku do prawicy jest tu jakby mniej, ale nie możemy mu odmawiać, że przynajmniej próbował nas nazwać „Ziemianami".

> Po czasowej krytyce Schetyny ideolodzy opozycji uznali, że nie wolno zmieniać konia w trakcie przeprawy przez rzekę, a więc trzeba pozostawić obecne przywództwo polityczne

Nawet socjolog Jarosław Flis przyznał w wywiadzie, że z ust polityków opozycji przebija poczucie wyższości. „Podkreślanie, że jesteśmy partią ludzi mądrzejszych" ma być tutaj „klątwą Unii Wolności", która uznawała się za narodową, a raczej społeczną, elitę.

KOPAĆ I WSPIERAĆ SCHETYNĘ

W stosunku do opozycji „Gazeta Wyborcza" stosuje istny pluralizm, jak w końcowych latach istnienia komunistycznego „Kommiersanta" – tzn. można wskazywać słabości nomenklatury, o ile odpowiednio napiętnuje się wroga. Kaczyński i jego partia nadal więc pozostają czystym złem, ale dostaje się też Koalicji Europejskiej. Choć przed dniem eurowyborów szykowano się do świętowania, to nazajutrz dziennikarze z Czerskiej przekonywali, że od początku wiedzieli o nadchodzącej przegranej. Piotr Głuchowski stwierdził, że „Schetyna jest nagi", i wyliczał z pasją błędy (jakoś wcześniej przemilczane) Koalicji Europejskiej: „Tymczasem liderzy Koalicji mają twarze sprzedawców fałszywych bulli papieskich albo horoskopów. Kręcili już tyle razy, że sami się w tym gubili". A więc i „Wyborczej" zdarza się napisać prawdę, skoro piórem Głuchowskiego wyjawia: „Grzegorz Schetyna mógłby powtórzyć za byłym premierem Węgier Ferencem Gyurcsányem: »Kłamaliśmy rano, nocą i wieczorem«". Choć opozycja zawiodła akolitów Adama Michnika, to jednak nie chcieli oni zatapiać swojej ostatniej deski ratunku i po pierwszym szoku zaczęli odpowiadać na Leninowskie pytanie: „Co robić?". I tutaj objawiła się istna wolność słowa, bo publicyści proponują różne rozwiązania.

„Histeryczny pośpiech i kategoryczność sądów bardziej sprzyjają emocjonalnym deklaracjom niż zdroworozsądkowej analizie" – odpowiadał jeszcze 28 maja krytykom Schetyny Rafał Zakrzewski. Klęska nie była, zdaniem publicysty, powodem „żeby rezygnować z tego politycznego wehikułu. Trzeba go naprawić i jechać dalej". Nazajutrz wtórował mu Paweł Wroński, stawiając na sukces w Senacie. Ta strategia publicznie została wygłoszona już w marcu – Jarosław Kurski przekonywał wtedy wyborców totalnej opozycji, że choć zwycięstwo PiS w Sejmie jest przesądzone, to jednomandatowe okręgi w ordynacji do Senatu dają szansę na sparaliżowanie działań rządu. Lewica uważa, że jeśli w każdym okręgu zmobilizuje się wszystkich ludzi, którzy nie głosują na PiS, i zjednoczy wokół tylko jednego kandydata do Senatu, to większość w izbie wyższej polskiego parlamentu da możliwość odrzucania ustaw lub chociaż obstrukcji i przedłużaniu

eprasa.pl 4bd55e39c4

procedur. „Wyborcza” później ucichła z wyjaśnianiem tego planu – a to oznacza, że jest rozważana w wewnętrznych kręgach jako desperacka próba powstrzymania dobrej zmiany.

Zatem po czasowej krytyce Schetyny ideolodzy opozycji uznali, że – jak mówiło dawne przysłowie – nie wolno zmieniać konia w trakcie przeprawy przez rzekę, a więc trzeba pozostawić obecne przywództwo polityczne.

MITOLOGIA PSEUDODEMOKRATYCZNA

Co charakterystyczne, narracja „Gazety Wyborczej” odwołuje się do tradycji dawnych Komandosów, a więc przeciwników PZPR z końca lat 60. XX w., którzy znienacka zjawiali się na partyjnych zebraniach, by zakłócać zgodny chór mówców. To na podstawie tamtych akcji Michnik i spółka nazwali się „opozycją demokratyczną”, co w późniejszych latach skutecznie przykryło ich prawdziwe intencje – chęć zreformowania PRL tak, aby przeszła w ręce innej partyjnej frakcji. Przymiotnik „demokratyczna” był przecież akceptowany, wszak wszystkie państwa komunistyczne były „demokracjami”, tyle że „ludowymi”. Nie wiadomo, jaki przymiotnik przypisać opozycji dzisiaj, bo na razie mieni się ona jedynie „demokratyczną”. 7 czerwca Marek Borowski, znany przecież „demokrata ludowy” z PZPR, pyta: „Co łączy partie demokratyczne?”, nie zaliczając do tego grona Prawa i Sprawiedliwości. Syn przedwojennego działacza Komunistycznej Partii Polski wskazujący, kto w Rzeczypospolitej jest demokratą, a kto nie, jest tyleż wiarygodny, ileż Niemcy w mówieniu o tym, jak unikać w Polsce antysemityzmu. Widać jednak, czytelników nie razi, skoro pod tekstem mamy dziesiątki życzliwych komentarzy. Ale reszta autorów „Wyborczej” też jednostajnie podkreśla, że jedynie opozycja jest w Polsce demokratyczna: tak ją określa Roman Kuźniar, Jarosław Kurski czy Marek Beylin. Wybierane przez Polaków PiS jest natomiast autorytarne, populistyczne, wpisuje się w putinowsko-łukaszenkowskie trendy. Magdalena Środa wprost nazywa siebie „demokratką”, a o Polakach pisze szerzej, że „jedynie mniejszość pragnie demokracji, przejrzystości politycznej, ceni kompetencje, a Europę traktuje jako własną wspólnotę. Większość lubi rządy autorytarne, politycznych destruktorów, łatwą kasę, a Unię Europejską widzi jako bogaty resort spa, do którego należy z entuzjazmem wysyłać »zasłużonych« polityków”. Wielowieyska, postrzegana nie aż tak fanatycznie jak reszta redakcji, także ulega podziałowi: demokracja (ludowa?) – totalitaryzm. „Polsce grozi orbanizacja. Jak zatrzymać ofensywę autorytaryzmu?” – wołał nagłówkiem jej tekst z 4 czerwca.


Polska

Koalicja przeciw PiS we mgle

Macierewicz wzywa na przesłuchanie

„Żeby pokonać PiS, opozycja powinna się zjednoczyć. Ale cała!” – płyną wytyczne z Czerskiej

JEDNAK ZJEDNOCZENIE PARTII

Powołanie Koalicji Europejskiej w lutym 2019 r. odbyło się na dwa miesiące przed 70. rocznicą zjednoczenia PPS i PPR w Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, ale współczesny sojusz ma mniejsze szanse na przetrwanie tylu dekad. Za utrzymaniem Koalicji opowiedział się Wojciech Maziarski, a za jej rozszerzeniem – Marek Beylin. Słabnąca Wiosna Roberta Biedronia (choć dla uważnych obserwatorów od początku była efemerydą) powinna znaleźć swoje miejsce u boku Schetyny – przekonuje publicysta. Także Dominika Wielowieyska chce pożenić demonstracje LGBT z ludowcami: „Żeby pokonać PiS, opozycja powinna się zjednoczyć. Ale cała!” – nawołuje 7 lipca i dodaje: „Rozważania o skuteczności dwóch bloków opozycyjnych – centrowego i lewicowego – miały sens dwa miesiące temu. Dziś wiadomo, że jedyną szansą opozycji na pokonanie PiS jest szeroka koalicja od PSL do Wiosny”. Może się więc okazać, że Władysław Kosiniak-Kamysz, zamiast uczciwie i konsekwentnie dobić spadkobierców Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, przemyci ich do parlamentu w szeregach „demokratów” i „Europejczyków”. Już w maju Wielowieyska przewidywała, że „rozpad koalicji byłby już murowaną receptą na samodzielne rządy PiS”. Nic więc, poza antypisizmem, w „Wyborczej” się nie pojawia.

OKOPANI W RESTAURACJACH I SALONACH

Pod koniec lat 60. młody Adam Michnik wraz z mniej młodym Jackiem Kuroniem i Karolem Modzelewskim zaproponowali konkretny model przebudowy PRL w duchu innego socjalizmu. Można się było z Komandosami nie zgadzać, ale proponowali oni plan spójny i konsekwentny, łącznie z uwzględnieniem siły politycznej Kościoła, który miał się przydać na pierwszym etapie walki. W pismach założyciela „Gazety Wyborczej” i jego współpracowników widać było intelektualną świeżość, nowe pomysły, a nawet konkretną wizję Polski. Mówili oni nie tylko językiem marksistów (np. Gramsciego czy Sartre'a), lecz także Karla Poppera czy Jürgena Habermasa. Zmieniły się czasy, ustroje, sojusze międzynarodowe, wreszcie Polacy zyskali dostęp do innych źródeł wiedzy o świecie niż dyktanda Czerskiej, a tam wciąż tak samo. A nawet gorzej – rzeka zmian wypłukała wiele z dawnych treści i dziś została już tylko niechęć do Jarosława Kaczyńskiego i obrona wielkomiejskich salonów.

eprasa.pl 4bd55e39c4

Nie fałszujcie historii!

Na Westerplatte bili się i ginęli żołnierze z całej Polski. Ówcześni gdańszczanie tam byli, ale po drugiej stronie



ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

Magistrat gdański z prezydent Aleksandrą Dulkiewicz na czele za nic na świecie nie chce dopuścić do wejścia w życie specustawy. Przygotowała ją partia rządząca, by w jak najkrótszym czasie przekształcić teren na półwyspie Westerplatte w muzeum godne upamiętnienia bohaterskich obrońców Wojskowej Składnicy Tranzytowej. Włodarze miasta nad Motławą, a także pochodzący stamtąd senator Platformy Obywatelskiej Bogdan Borusewicz traktują działania władz i Sejmu jako atak na Gdańsk. Westerplatte bowiem ich zdaniem jest częścią tego miasta i wszelkie zakusy rządu noszą charakter „przejęcia", jak za czasów stalinowskich, kiedy centrum nacjonalizowało „zbiory muzealne, publiczne i wszystkie inne prywatne". Westerplatte jest gdańskie – zdaje się mówić Dulkiewicz – i wara Polsce od tego miejsca.

Czy tak jest naprawdę? Ile „gdańskości" jest w tym tak ważnym dla każdego polskiego patrioty miejscu? Jak długo jeszcze Polska będzie się przyglądać zaniedbywanemu i powoli obracającemu się w ruinę symbolowi oporu oraz wypełniania żołnierskiego obowiązku do końca? Odpowiedź na te pytania wydaje się banalnie prosta. Niestety nie dla magistratu.

Teren półwyspu nigdy nie był własnością Wolnego Miasta Gdańska. Żaden gdańszczanin nie odpierał na Westerplatte niemieckich ataków. Owszem, mieszkańcy grodu nad Motławą brali udział w bitwie, ale jako strona szturmująca umocnienia (oddział SS Heimwehr Danzig i siły pomocnicze złożone z niemieckojęzycznych obywateli). A w Wojskowej Składnicy Tranzytowej ginęli żołnierze z całej Polski, głównie wschodniej i centralnej.

Jeszcze przed zakończeniem konferencji wersalskiej w 1920 r., po której utworzono Wolne Miasto Gdańsk (WMG), premier Ignacy Paderewski mianował Mieczysława Jałowieckiego pierwszym delegatem polskiego rządu w Gdańsku. W swoich wspomnieniach zawartych w książce „Wolne miasto" opisał tam szczegółowo, w jaki sposób nabył na swoje nazwisko, a potem przekazał polskiemu rządowi półwysep Westerplatte. Zakup finansował ks. Stanisław Adamski, zarządzający Związkiem Spółek Zarobkowych

Fot. Shutterstock

i Gospodarczych. Firma ks. Adamskiego była typowym „słupem", ponieważ Niemcy nie chcieli sprzedawać osobom fizycznym o polsko brzmiących nazwiskach nieruchomości miejskich. Nawiasem mówiąc, lektura delegata rządu polskiego na WMG była ostatnią, z którą zapoznał się w swoim życiu św. Jan Paweł II. Wspomnienia Jałowieckiego czytała mu przyjaciółka, lekarka Wanda Półtawska, była więźniarka Ravensbrück, która czuwała przy umierającym papieżu. „Czytałam do środy (30 marca), potem przeszkodzili nam lekarze i nie udało mi się tej ostatniej kartki przeczytać. Był cały czas zainteresowany treścią i jakkolwiek pod koniec życia słuchał głównie tekstów modlitewnych, to jednak upominał się o dalsze czytanie o losach Gdańska" – wspomina. Św. Jan Paweł czuł siłę tego miejsca. To on w 1987 r. spod cokołu pomnika wygłosił do polskiej młodzieży słynne przesłanie: „Każdy ma swoje Westerplatte".



Zdjęcie ataku niemieckiego pancernika „Schleswig-Holstein" na Westerplatte pochodzące z niemieckiej książki propagandowej z 1940 r. o Wehrmachcie

14 marca 1924 r. Rada Ligi Narodów przyznała Polsce teren na półwyspie Westerplatte, u ujścia kanału portowego do morza, naprzeciw przedmieścia Nowy Port (wówczas Neufahrwasser). 31 października 1925 r. obszar na terenie Wolnego Miasta Gdańska na półwyspie Westerplatte został przekazany w bezterminowe i bezpłatne użytkowanie Polsce. Od tamtego czasu teren ten stał się eksterytorialną enklawą Rzeczypospolitej Polskiej i załopotała na nim biało-czerwona flaga. Sąsiadowała ona z zatkniętą na odległej niecały kilometr dalej wieży twierdzy Wisłoujście (Weichselmünde) chorągwią z dwoma białymi krzyżami – symbolem Freie Stadt Danzig. Zgodnie z tą samą decyzją Ligi Narodów przyznano Polsce prawo do posiadania oddziału wartowniczego na Westerplatte dla ochrony materiału wojennego ograniczonego do oficera – dowódcy, podoficera w stopniu sierżanta jako zastępcy, czterech podoficerów oraz 21 szeregowców. W 1928 r. władze polskie zawarły tzw. układ prowizoryczny regulujący stosunki enklawy na półwyspie z WMG. Z czasem zwiększono liczebność oddziału wartowniczego do 88 ludzi, rozpoczynając rekrutację żołnierzy. Niestety do ciężkiej służby w Wojskowej Składnicy Tranzytowej powoływano tych, którzy nie przeszli pierwszego przeglądu lekarskiego. W pierwszej fazie funkcjonowania placówki nie dbano też o pochodzenie kadr. Większość dla wygody ściągano z terenów Pomorza (dawne Prusy Królewskie). Spowodowało to niespodziewane konsekwencje, o których traktował meldunek ówczesnego komendanta kpt. Jana Lityńskiego do szefa Wydziału Wojskowego Komisariatu Generalnego w Gdańsku: „Szeregowi korzystali z miejscowych przepustek i opuszczania koszar w szerszym zakresie aniżeli ich poprzednicy. Powodem tego jest liczne rodzeństwo i znajomości na terenie WMG. Ok. 50 proc. styka się z tutejszą ludnością, prawdopodobnie nie zawsze dobrze ustosunkowaną do naszej państwowości. Tem tłumaczę takie wypadki, jak podpiłowanie zamka do ckm, rysowanie hitlerowskich krzyży na obiektach wojskowych, rozmowę w języku niemieckim, rozmyślne zasypianie na posterunku lub schodzenie z tegoż itp.". W związku z zaistniałą sytuacją i sugestią zawartą w przytoczonym wyżej fragmencie pisma kpt. Lityńskiego, żeby na Westerplatte werbować żołnierzy „pewnych pod względem politycznym i narodowo uświadomionych; najodpowiedniejsi wydają się z woj. warszawskiego, krakowskiego i lwowskiego", rozkazem z 19 lutego 1938 r. Ministerstwo Spraw Wojskowych zmieniło dotychczasowy system uzupełniania plutonu wartowniczego na półwyspie. I tak obowiązek dobierania odpowiednich żołnierzy spadał na poszczególne pułki piechoty według ustalonej kolejności: 1 IV 1938 – 1 X 1938 r. – 8, 18, 28 Dywizja Piechoty w Lublinie, Skierniewicach i Łodzi; 1 X 1938 – 1 IV 1938 r. – 1 Dywizja Piechoty w Wilnie; 1 IV 1939 – 1 X 1939 r. – 2 Dywizja Piechoty Legionów w Kielcach; 1 X 1939 – 1 IV 1940 r. – 9 Dywizja Piechoty w Siedlcach. Do rozkazu dołączono poufne pismo, w którym wyznaczono dodatkowe kryteria doboru żołnierzy: „Do plutonu wartowniczego można wyznaczać tylko szeregowych bez kar sądowych, pewnych politycznie, narodowości polskiej z województw centralnych lub południowo-wschodnich; pożądany jest wzrost od 170 cm wzwyż".

Wojna 1939 r. zastała na Westerplatte 2 Dywizję Piechoty Legionów z Kielc. Oddelegowano tam 67 żołnierzy z 4 Pułku Piechoty Legionów pod dowództwem por. Leona Pająka. Urodził się na Mazowszu we wsi Krasna Dąbrowa, a służbę wojskową rozpoczął w 1930 r. w Krakowie jako szeregowy w 20 Pułku Piechoty Ziemi Krakowskiej. W marcu 1938 r. został dowódcą kompanii ciężkich karabinów maszynowych. 15 marca 1939 r. otrzymał awans na stopień porucznika. Podczas obrony Westerplatte objął dowodzenie placówką „Prom" i wraz załogą odpierał bohatersko 5,5-godzinny atak kompanii szturmowej niemieckich marines z pancernika „Schleswig-Holstein". Ciężko ranny w brzuch, nogi i krocze przetrwał do kapitulacji dzięki pomocy kapitana le-

eprasa.pl 4bd55e39c4

karza Mieczysława Słabego. Po wyzwoleniu z niewoli został przyjęty do 2 Korpusu Polskiego we Włoszech. Dowodził 4 kompanią 9 Bolońskiego Batalionu Strzelców Karpackich. Do kraju wrócił 5 grudnia 1946 r. jako kawaler Orderu Wojennego Virtuti Militari. Osiedlił się w Kielcach, gdzie pracował w zakładach wyrobów metalowych. W 4 PP Legionów miał honor służyć również mój ojciec por. łączności Andrzej Tadeusz Potocki. Zapewne znał się z por. Pająkiem. Jednak pod koniec 1938 r. został przeniesiony na stanowisko dowódcy kompanii telefonicznej 25 Dywizji Piechoty stacjonującej w Kaliszu. W związku z tym nie miał szans trafić na Westerplatte, a los rzucił go w krwawe zmagania w bitwie nad Bzurą i obronie Warszawy. Ale gdyby dziś żył i usłyszał wywody prezydent Dulkiewicz o „zaborczej polityce rządu centralnego w Warszawie w stosunku do »gdańskiego« Westerplatte i jego »bohaterskiej« obronie przed obozem Zjednoczonej Prawicy w wykonaniu urzędników samorządowych" zapewne popukałby się w głowę i z politowaniem roześmiał.

W czerwcu 1939 r. w związku ze wzrastającym międzynarodowym napięciem zaszła konieczność zwiększenia załogi. Pracujących na Westerplatte pracowników cywilnych przebierano w mundury wojskowe i wywożono holownikiem do Gdyni. W ich miejsce kursem powrotnym przypływali pełnowartościowi żołnierze. Cała ta konspiracja połączona ze skrzętnym omijaniem WMG wiązała się z działalnością gdańskiej policji, której funkcjonariusze dokładnie liczyli wsiadających i wysiadających z gdyńskiego holownika. W sumie załoga placówki na noc 31 sierpnia mogła liczyć ok. 200 ludzi. Pochodzili praktycznie z całej Polski. Ich dowódca mjr Henryk Sucharski pochodził z Gręboszowa w Małopolsce. Walczył w wojnie polsko-bolszewickiej i tam zdobył oficerskie szlify. Dowodził kompanią w batalionie szturmowym 6 Dywizji Piechoty. 3 grudnia 1938 r. z rozkazu szefa Biura Personalnego Ministerstwa Spraw Wojskowych został przeniesiony na stanowisko komendanta Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte. W uznaniu bohaterstwa i niezłomnego ducha załogi Westerplatte dowództwo niemieckie pozwoliło mjr. Henrykowi Sucharskiemu odejść do niewoli z szablą przy boku. Dowodził obroną do 2 września. Po ataku padaczki przekazał komendę swojemu zastępcy kpt. Franciszkowi Dąbrowskiemu, który urodził się w Budapeszcie, a od 1918 r. mieszkał w Krakowie. Po ukończeniu szkoły i awansie na podporucznika ze starszeństwem 1 lipca 1932 r. przydzielony został do 3 Pułku Strzelców Podhalańskich w Bielsku. Następnie pełnił służbę w Batalionie Szkolnym Podchorążych Piechoty w Biedrusku. Z początkiem grudnia 1937 r. został przeniesiony do Gdańska, formalnie do Wydziału Wojskowego Komisariatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku, w rzeczywistości – na stanowisko zastępcy komendanta, dowódcy Oddziału Wartowniczego Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte. Urodzony w Mokrej Stronie k. Przeworska chorąży piechoty Jan Gryczman był również weteranem walk z bolszewikami w 1920 r. Ciężko ranny pod Radzyminem przeżył i po walkach ukończył szkołę podoficerską w Grudziądzu oraz Centralną Szkołę Strzelniczą w Toruniu. 24 marca 1939 r. przybył wraz z grupą 82 żołnierzy 2 Dywizji Piechoty Legionów z Kielc na Westerplatte. Objął stanowisko dowódcy plutonu. W czasie obrony Wojskowej Składnicy Tranzytowej był zastępcą dowódcy placówki „Prom". Placówka ta została pierwsza zaatakowana przez Niemców. Dzięki jego sprawnemu dowodzeniu żołnierze odparli atakujących Niemców, a następnie wszyscy wycofali się do wartowni nr 1, dowodzonej przez por. Pająka. Gdy ten został ranny w pierwszym dniu ataku, chor. Gryczman przejął dowodzenie do końca walk. Zmarł w Warszawie w 1985 r. awansowany do stopnia majora. Z kolei mat Bernard Rygielski urodził się w Toruniu. Jako zawodowy podoficer Marynarki Wojennej pływał w Dywizjonie Okrętów Podwodnych, by w 1938 r. przejść na ORP „Gryf". Do Wojskowej Składnicy Tranzytowej trafił w lutym 1939 r. i objął dowodzenie placówką „Fort". Zasłynął z organizowania przepustek do WMG, które kończyły się sparingami, czyli walkami na pięści z obywatelami Freie Stadt Danzig. W zasadzie ze wszystkich pojedynków westerplatczycy pod przywództwem zadziornego mata wychodzili zwycięsko. Ranny podczas bombardowania 2 września dostał się po kapitulacji do niemieckiej niewoli. Po wojnie przedostał się na Zachód, gdzie pływał na ORP „Conrad", by w 1949 r. wrócić do Gdyni i dalej służyć w Marynarce Wojennej. Zmarł w 1984 r.

> 31 października 1925 r. obszar na terenie Wolnego Miasta Gdańska na półwyspie Westerplatte został przekazany w bezterminowe i bezpłatne użytkowanie Polsce. Od tamtej pory teren ten stał się eksterytorialną enklawą Rzeczypospolitej Polskiej

Wymieniłem tylko tych nielicznych, ale sławnych obrońców półwyspu. Wśród nich należałoby również przypomnieć kanoniera Władysława Jakubiaka z 14 Dywizjonu Artylerii Konnej, urodzonego w Nowogrodzie Łomżyńskim w Białostockiem. Dotarł do placówki 30 sierpnia 1939 r., by objąć służbę przy „Putiłuwce" – armacie kal. 76,2 mm jako zamkowy. Bombardowanie 2 września zastało go w koszarach. Kiedy wybiegł na zewnątrz, tuż obok niego eksplodowała bomba zrzucona ze sztukasa, rozrywając go na strzępy. Dziś leży pochowany na cmentarzyku Westerplatte. Pośmiertnie uhonorowany Virtuti Militari V klasy. Pochodził z bliskiej rodziny obecnego posła Marka Jakubiaka.

Jak widać z tych życiorysów, na Westerplatte biła się Polska. Gdańsk stał wówczas po niemieckiej stronie. Dlatego to miejsce jest własnością wszystkich Polaków, także tych z dzisiejszego Gdańska. Ale na pewno nie tylko ich. Tym bardziej że kiedy umierał ostatni z żyjących obrońców Wojskowej Składnicy Tranzytowej mjr Ignacy Skowron, władze Gdańska jakby o nim zapomniały. Na jego pogrzebie nie pojawił się żaden z urzędników magistratu.

eprasa.pl 4bd55e39c4

Wyrzucę oszustów ze sportu

Pomysły na doping rzeczywiście są coraz bardziej innowacyjne. Zdaję sobie sprawę, że nie wyeliminujemy go całkowicie ze sportu. Świata nie zmienimy w stu procentach, ale możemy go poprawić



Fot. Andrzej Wiktor

Z Witoldem Bańką, ministrem sportu i turystyki, wybranym na szefa Światowej Agencji Antydopingowej (WADA), rozmawia Edyta Hołdyńska

Jak pan połączy funkcje ministra sportu i turystyki oraz szefa Światowej Agencji Antydopingowej (WADA)?

Witold Bańka: Zostałem już wybrany, ale oficjalnie będzie to zatwierdzone w listopadzie podczas Światowej Konferencji Antydopingowej w Katowicach. To formalność, która zostanie dopełniona przez zarząd WADA. Stanowisko szefa Światowej Agencji Antydopingowej obejmę od 1 stycznia 2020 r. Do końca kadencji jestem w ministerstwie, choć pewne zobowiązania międzynarodowe mam już teraz z tytułu nominacji w Montrealu. Będę łączył te aktywności, ale nie będzie to kolidowało z obowiązkami ministerialnymi. Mam wystarczająco dużo energii, by to pogodzić. Jako minister sportu i turystyki muszę jeszcze kilka projektów doprowadzić do końca i przygotować grunt dla następcy.

Gratulacje płynęły od polityków z różnych stron. To fenomen, że w zasadzie na próżno szukać krytyków pańskiej nominacji. Wszyscy się zgadzają, że to ogromny sukces, że to Polak zostaje szefem WADA. Nie ma pan wrogów?

Cieszę się bardzo i dziękuję. Nie ukrywałem radości i wzruszenia chwilę po ogłoszeniu tej decyzji. Wiem, jak dużo mnie to kosztowało. To ogrom pracy wielu osób. To nie jest tylko mój sukces. Jesteś tak silny, jak silny masz zespół. Mój zespół w Ministerstwie Sportu i Turystyki, na czele z dyrektorem Rafałem Piechotą, który prowadził tę wymagającą kampanię, był silny. Zaangażowane było również Ministerstwo Spraw Zagranicznych, ambasadorowie poszczególnych krajów, dyplomacja unijna i Rada Europy. Ta synergia przyniosła sukces. Dziś z lekkim uśmiechem patrzę na historię tego przedsięwzięcia. Kiedy to planowaliśmy, niektórzy zaznaczali, że szanse mamy niewielkie. Ale my walczyliśmy, jak w sporcie. Wierzyliśmy, że się uda.

Pan ze sportem ma do czynienia w zasadzie już od kołyski. Był pan lekkoatletą, podobnie jak pańscy rodzice. Dziś jednak biega pan już tylko rekreacyjnie.

Biegam od czasu do czasu. Sport ukształtował mój charakter. Biegałem na 400 m, a to bardzo trudny i wymagający dystans. Bolesny dla organizmu. Kształtuje, uczy wytrwałości,

eprasa.pl 4bd55e39c4

co pomogło mi w działalności zawodowej, w późniejszym życiu. Nie ukrywam, że jestem niespełnionym sportowcem. Zakończyłem karierę bardzo wcześnie, bo w wieku 27 lat. Powodem były błędy treningowe, kontuzje, problemy zdrowotne. Z perspektywy czasu widzę jednak, że odszedłem w dobrym momencie.

Dyscypliny nauczył pana sport, a rodzice sportowcy?

Mama biegała na 1500, tata na 800 m. Trenował ich już świętej pamięci Jan Dera, który potem stał się moim szkoleniowcem. Był nie tylko moim trenerem. Wychowywał mnie przez wiele lat. Jego śmierć w 2008 r. trochę zahamowała rozwój mojej kariery. Kiedy trenowałem z Janem Derą, rok do roku poprawiałem swoje rekordy życiowe. Po jego śmierci nie wróciłem już do tego poziomu, co wcześniej. Trenowałem, ale było to przeplatane kontuzjami. Ambicja i paradoksalnie czasem zbyt ciężka praca sprawiły, że pojawiły się błędy. Decyzja o tym, żeby zakończyć karierę, była moja, podjęta w samotności. Tak naprawdę wbrew wszystkim, nawet żonie, która przekonywała mnie, żebym dalej trenował. Ale to była właśnie moja odpowiedzialność za rodzinę. Nie chciałem gonić za niespełnionymi marzeniami, medalami. Chciałem się wziąć do pracy w innym wymiarze.

> W Polsce rocznie wykrywamy mniej więcej między 40 a 60 przypadków dopingu, na ok. 4 tys. pobranych przez POLADA próbek. Nie odbiegamy od średniej światowej

I nie tęskni pan za tym spełnieniem w sporcie? Pojawia się ukłucie zazdrości, kiedy ogląda pan sukcesy polskiej kadry lekkoatletycznej?

Wręcz przeciwnie. Jest wielka radość z sukcesów polskiej kadry. Wielu moich znajomych jest nadal czynnymi sportowcami. Ogromnie ważne jest to, że mogę dziś im gratulować, patrzeć na ich szczęście. Nie tęsknię. Spoglądam na to już z lekkim dystansem. Wiem, ile mogłem osiągnąć, na co było mnie stać. Oczywiście sam moment przejścia na drugą stronę mocy jest zawsze bardzo trudny dla sportowca. Ale dziś wiem, że była to bardzo dobra decyzja.

Dziś obserwujemy za to, że to pański program antydopingowy został doceniony w świecie. Czym przekonał pan decydentów?

Doświadczeniem, jakie zdobyłem, pracując nad polskim systemem antydopingowym, a także odważnym i innowacyjnym programem reform WADA. Kiedy rozpoczynałem pracę w ministerstwie, system antydopingowy w Polsce był zupełnie niedostosowany do międzynarodowych przepisów. Naszemu laboratorium groziła utrata akredytacji, co oznaczało wiele negatywnych konsekwencji. W krótkim czasie, szybką ścieżką parlamentarną, zmieniliśmy więc prawo. Jednocześnie podjęliśmy decyzję, że trzeba uchwalić całkiem nową ustawę o zwalczaniu dopingu w sporcie. Dzięki temu m.in. powstała POLADA, Polska Agencja Antydopingowa. Naprawiliśmy błędy. Czterokrotnie zwiększyliśmy fundusze na politykę antydopingową, a Katowice zostały wybrane na gospodarza Światowej Konferencji Antydopingowej. Zaostrzyliśmy także sankcje. Ostatnim akordem było wyodrębnienie instytucjonalne z Instytutu Sportu akredytowanego przez WADA Polskiego Laboratorium Antydopingowego, co gwarantuje tej jednostce pełną niezależność. Dziś nasz program jest wzorcowy także dla innych krajów. Spływają do nas prośby o wsparcie w tym obszarze – pomoc prawną i techniczną. Pokazałem, że w krótkim czasie można dużo zmienić. To zostało docenione. Drugim elementem był mój program.

Jakie problemy ma WADA? I jak przekonał pan zarząd, że to pan je rozwiąże?

Ta organizacja ma wiele problemów. Mój program jest odważny i ambitny, ale jestem przekonany, że możliwy do realizacji. Oprócz tego ciężka praca, rozmowy, spotkania i przekonywanie elektorów na poziomie europejskim oraz międzynarodowym. Potrzebna też była współpraca z naszą i europejską dyplomacją. To był szeroki zespół osób.

Pański program zakłada głównie, że potrzeba więcej pieniędzy na walkę z niedozwolonym dopingiem. Że walczyć należy tam, gdzie jest bieda. Dosypanie pieniędzy wystarczy?

W trakcie całej kampanii podkreślałem i podawałem przykład, który ilustruje, dlaczego mam takie podejście. Podczas igrzysk w Rio de Janeiro w Brazylii ok. 10 proc. medalistów pochodziło z państw, które wówczas albo nie miały systemu antydopingowego, albo był on na bardzo niskim poziomie. To jest nie fair wobec tych sportowców, którzy są z krajów, gdzie ten system funkcjonuje dobrze i są pod ciągłą kontrolą. Przykładowo w Afryce jest tylko jedno akredytowane laboratorium – w RPA. To byłby sukces, gdybyśmy zintensyfikowali tam kontrole i otworzyli drugie. Budżet WADA to 34 mln dol. W wymiarze globalnym to nie są wystarczające fundusze, żeby podążać za tym innowacyjnym, niestety, przemysłem dopingowym. Dlatego właśnie zaproponowałem powołanie funduszu solidarnościowego, na który miałyby się składać rządy, ruch olimpijski, a także partnerzy komercyjni. Dla prywatnych podmiotów byłby to element społecznej odpowiedzialności biznesu. Jeśli sponsorujesz sport, włącz się też w to, żeby zawodnicy, których wspierasz, byli „czyści" – przeznacz część środków na walkę z dopingiem. Fundusz solidarnościowy wykorzystywany byłby na pomoc uboższym państwom w prowadzeniu polityki antydopingowej, na kontrole w krajach mniej rozwiniętych i tworzenie nowych laboratoriów.

eprasa.pl 4bd55e39c4



Fot. Andrzej Wiktor

Innowacyjny przemysł dopingowy rozwija się świetnie. Można powiedzieć jednak, że niedozwolone jest to, co w danej chwili szef WADA, czyli teraz pan, uzna za zakazane. Jeden zakazany środek za chwilę może być zastąpiony kolejnym.

Naszym zadaniem jest wyrzucanie oszustów ze sportu. Ci, którzy stosują doping, nie są sportowcami. To zwykli oszuści, którzy mienią się sportowcami. To jest zabójstwo dla idei sportu. Pięknej, czystej idei rywalizacji. Pomysły na doping rzeczywiście są coraz bardziej innowacyjne. Zdaję sobie sprawę, że nie wyeliminujemy go całkowicie ze sportu. Świata nie zmienimy w stu procentach, ale możemy go poprawić.

W jaki sposób wygrać tę walkę?

Coraz lepsze efekty przynosi działalność funkcjonujących przy niektórych narodowych agencjach pionów śledczych i ich ścisła współpraca z służbą celną, policją, prokuraturą. Sprawny przepływ informacji między tymi instytucjami gwarantuje kontrolerom mocne wsparcie. Zwiększa to nasze szanse na skuteczne działania. Taki pion ma dziś również POLADA. Przypadek ostatniego skandalu w Seefeld podczas mistrzostw świata w narciarstwie, gdzie oszustów przyłapano na gorącym uczynku, pokazał, że to jest dobry kierunek. W wyniku antydopingowej obławy zorganizowanej przez austriacką policję zatrzymano wówczas dziewięć osób.

Oszustów, jak pan powiedział, ale granica jest cienka.

Bez walki z dopingiem sport nie jest spójny. Według mnie sport jest najlepszym wychowawcą dzieci i młodzieży, kształtuje charakter. Jednak skażony dopingiem zatraca piękną ideę. To dziedzina życia, która jest w stanie nas wszystkich połączyć. Bez względu na przekonania czy poglądy. Buduje atmosferę wspólnoty. Ale też my, jako kibice, musimy wiedzieć, że jesteśmy świadkami uczciwej rywalizacji. Nie ma innego sposobu, jak eliminacja i ostra walka z oszustami.

Listy środków zakazanych publikuje WADA. To pan będzie je teraz tworzył.

Trzeba pamiętać, że doping dopingowi nierówny. Środki zakazane zawarte są przecież np. w sporej ilości leków przeciwgorączkowych, które funkcjonują na rynku. To te, które zawierają efedrynę czy pseudoefedrynę. Jeśli karzemy tych, którzy popełniają błędy, trzeba podchodzić do tego z dużą dawką rozsądku. Czym innym jest doping sterydami, a czym innym niefrasobliwość, czy mówiąc ostrzej, głupota, kiedy sportowiec spożyje np. jakąś zanieczyszczoną odżywkę, czy choćby właśnie nie przywiązuje wagi do tego, jakimi lekami wspomaga się przy leczeniu przeziębienia. Panele dyscyplinarne, które orzekają o karze, muszą się kierować dużą dawką rozsądku i roztropności, żeby zwyczajnie kogoś nie zniszczyć.

eprasa.pl 4bd55e39c4

Pseudoefedryna zawarta w lekach może być niebezpieczna, bo to pobudzająca substancja, wręcz uznawana za narkotyczną. Jak w takim razie sportowcy bez kontroli lekarzy mogą wracać do formy, żeby się nie narazić na kary?

Jest infolinia POLADA. Sportowiec wyczynowy musi zdawać sobie sprawę, że będzie poddawany kontrolom, że wkracza w taki świat, w którym musi się na to godzić i uważać. Musi mieć świadomość, co przyjmuje i co spożywa. Również w polskich związkach sportowych i w kadrze narodowej są lekarze, którzy mogą pomóc w tym zakresie.

Znamy przykłady niedozwolonego dopingu. Znamy skandal z mistrzostw świata w Rosji. I to ten kraj niechlubnie zapisuje się wysoko na liście tych nieuczciwych.

RUSADA, Rosyjska Agencja Antydopingowa, przez długi czas była zawieszona przez WADA. Na dziś moskiewskie laboratorium współpracuje i przekazało dane. WADA je analizuje. Jeśli będą dowody na oszustwa tych sportowców, powinni zostać wyrzuceni ze sportu. Doping nie ma barw narodowych, nie ma litości dla oszustów z żadnego kraju. Po prostu musimy ich eliminować i traktować wszystkich równo. Oczywiście złapanie na dopingu jest przykre i smutne z perspektywy kibica, ale jednocześnie takie sytuacje pokazują, że nieuczciwe osoby można skutecznie wyłapać oraz wykluczyć – więc można to postrzegać jako sukces.

> Dziś nasz program antydopingowy jest wzorcowy także dla innych krajów. Spływają do nas prośby o wsparcie w tym obszarze – pomoc prawną i techniczną. Pokazałem, że w krótkim czasie można dużo zmienić

A jak zmierzyć się z tematem osób LGBT w sporcie? Jak traktować mężczyznę, który twierdzi, że jest kobietą i rywalizuje z kobietami? Ostatni budzący wątpliwości przypadek to Castel Semeni, której poziom testosteronu przekracza ten występujący naturalnie u kobiet. Testy płci nie wykazały jednak, że jest mężczyzną.

Światowa Agencja Antydopingowa tej kwestii nie reguluje. Przypadek Castel Semeni jest bardzo złożony, skomplikowany. Z jednej strony rozumiemy te zawodniczki, które nie chcą z nią rywalizować ze względu na jej naturalną przewagę, czyli wyższy poziom testosteronu. Z drugiej strony to nie jest doping. To nie jest kwestia nienaturalnego wspomagania. Ona to traktuje wręcz jako dyskryminację. Kryterium, które zaproponowało Międzynarodowe Stowarzyszenie Federacji Lekkoatletycznych, to poziom testosteronu. IAAF zaordynował konieczność jego obniżenia. Caster Semeni odwołała się od tej decyzji do Trybunału Arbitrażowego w Lozannie. To wszystko pokazuje, jak długo będzie trwał ten spór. To jest sprawa bardzo trudna zarówno pod względem medycznym, jak i etycznym. Walka prawników po obu stronach będzie mocna. W tej chwili nie możemy wpływać na regulacje w tym zakresie. Jeśli byłaby to zawodniczka, która nienaturalnie zwiększa sobie ilość testosteronu w krwi, to dopiero wówczas byłby to niedozwolony doping. Takie przypadki też są. I trzeba reagować ostro.

Polak będzie szefem WADA, więc Polska będzie już zupełnie od dopingu czysta?

W Polsce rocznie wykrywamy mniej więcej między 40 a 60 przypadków dopingu na ok. 4 tys. pobranych przez POLADA próbek. Nie odbiegamy od średniej światowej. Jak już wspomniałem, naprawiliśmy wiele błędów, które zastałem w obszarze polityki antydopingowej, gdy rozpocząłem pracę w ministerstwie. Dziś edukujemy w tym zakresie inne państwa. Jednocześnie pamiętajmy, że jeśli ktoś chce popełnić przestępstwo, zawsze jest przed policją. Chodzi o to, by go złapać. Z mojego punktu widzenia sukcesem jest system, który nie tylko odstrasza od stosowania niedozwolonych środków, ale też służy efektywniejszemu wykrywaniu przypadków dopingu, bo to pozwala na wyrzucanie ze sportu oszustów.

A co zostawi pan w polskim sporcie? Niektórzy żartują, że takie sportowe 500+.

Rządowy program „Klub" to trochę takie nasze sportowe 500+. W latach 2016–2019 przeznaczyliśmy na dofinansowanie małych i średnich klubów ponad 142 mln zł – to łącznie blisko 13 tys. umów dotacyjnych z klubami z całego kraju. Rok do roku zwiększamy liczbę podmiotów, które wspieramy. Granty można przeznaczać na sprzęt sportowy, organizację obozu, wynagrodzenia trenerów. To mocno pomogło małym klubom, gdzie często zaczyna się przygoda ze sportem przyszłych gwiazd. To są miejsca, które borykają się z małym budżetem, niskim wsparciem od samorządów. Dla nich takie bezpośrednie dotacje, 10 lub 15 tys. zł są bardzo cenne. Reakcja środowiska pokazuje, że to program, który na stałe wejdzie do polskiego systemu sportowego. Do tego m.in. programy: „SKS", „Narodowa Baza Talentów", przywrócenie lub wzmocnienie finansowania kadr wojewódzkich czy „Team 100". Taka konsekwentna piramida szkoleniowa, która obejmuje młodego człowieka w drodze do kadry narodowej.

A teraz przeprowadzka do Kanady?

Mam jeszcze kilka miesięcy na przygotowanie się do objęcia tego stanowiska, na dogranie kwestii technicznych. Nie wiem jeszcze, czy będzie konieczna przeprowadzka, czy jednak zostaniemy w Warszawie i będę podróżował do Kanady. Ciekawe w tym wszystkim jest to, że urząd obejmę u siebie, na Śląsku, jako gospodarz Światowej Konferencji Antydopingowej. W życiu nie śniłem, że to tak się skończy. To piękna historia. Tylko głupiec nie boi się jednak wielkich wyzwań. Mam w sobie pokorę, bo wiem, że to będzie ciężka praca.

eprasa.pl 4bd55e39c4

O Zosi, która ma być Bartkiem



Kadr z reportażu Rafała Betlejewskiego z główną bohaterką tego materiału

Fot. YouTube

Mediami społecznościowymi i opinią publiczną wstrząsnął reportaż Rafała Betlejewskiego „Wojna z LGBT: Klepacka vs. Bartek. Kto zwycięży?" o pięcioletniej Zosi, która pewnego dnia postanowiła zostać Bartkiem. Dla niektórych środowisk dziecko z prawdopodobnymi zaburzeniami tożsamości płciowej natychmiast stało się młotem na polski Kościół, prawicę i Zofię Klepacką. Inni nie mają wątpliwości, że ktoś wykorzystał dziecko do ideologicznej walki



DOROTA ŁOSIEWICZ

„Czy Zofia Klepacka przeprosi 5-letniego, transpłciowego Bartka za słowa o walce z osobami LGBT+?" – pyta z wyrzutem naTemat.pl. Według portalu ani Zofia Klepacka, ani polski Kościół nie spodziewali się takiego zwrotu akcji. A tym zwrotem ma być historia pierwszego w Polsce transpłciowego dziecka, które w swoim reportażu pokazał Rafał Betlejewski.

ZASKAKUJĄCA DIAGNOZA

Nie jest to historia prosta. Samotna matka wychowuje dwójkę dzieci, zmagając się z dramatyczną sytuacją finansową (tak przynajmniej deklaruje). Młodsza córka, pięcioletnia Zosia, pewnego dnia, jadąc samochodem, poczuła, że jest Bartkiem. Ubiera się jak chłopiec, czuje się chłopcem. Mama wspiera dziecko, a starsza siostra deklaruje, że zarówno Bartka, jak i Zosię kocha tak samo. W historię pięciolatki wpleciono wypowiedzi duchownych i Zofii Klepackiej na tematy związane z ideologią gender rozumianą jako narzędzie wojny kulturowej.

– Czy tak małe dziecko może zdecydować o zmianie własnej płci? Czy dziewczynka, która w jednej chwili zaczyna być nazywana chłopcem, ma

eprasa.pl 4bd55e39c4

przestrzeń do zdrowego rozwoju? Jeśli nawet dziecko ma tak potężny problem z własną tożsamością, to czy moralne jest wykorzystywanie tego do promocji postulatów LGBT w skrajnie ideologicznym reportażu? Gdzie w tym wszystkim realne dobro dziecka? – zapytała po obejrzeniu materiału Marzena Nykiel, autorka głośnej książki „Pułapka gender". – Trudno oprzeć się wrażeniu, że historia Zosi-Bartka wykorzystana została w brutalny sposób do promowania LGBT, a jako widzowie poddawani jesteśmy ostrej manipulacji – dodaje dziennikarka.

Żeby dopełnić obrazu tej historii, trzeba się cofnąć w czasie do pierwszych dni czerwca. 2 czerwca pani Dorota nagrała film ze swoimi córkami. Występujący w reportażu Betlejewskiego Bartek jest wówczas jeszcze Zosią. Dziewczynka jest radosna, bawi się. Co więcej – reaguje na swoje imię, którym zwracają się do niej mama i siostra.

Kilka dni później na portalu haloursynów.pl ukazał się ilustrowany zdjęciami tych samych dzieci tekst, wówczas jeszcze o dziewczynce: „Zosia pilnie potrzebuje pomocy. Czy Ursynów wesprze 5-latkę?" – pytał wówczas portal. „Samotna mama dwóch małych córeczek z końcem czerwca trafi na ulicę. Dumę już dawno musiała schować do kieszeni, bo w walce o zdrowie i byt swoich dzieci matka jest skłonna zrobić wszystko. Teraz liczy na sąsiadów z Ursynowa, którzy już nieraz pokazali, że potrafią pomóc. Znajomi Doroty często pytają, jak daje sobie radę sama z tym wszystkim. Tak naprawdę to ledwo, ale codziennie udowadnia, że miłość matki pozwala przenosić góry. Teraz doszła do ściany, której sama nie przeskoczy. U młodszej córki stwierdzono autyzm i zaburzenia osobowości. Dorotę diagnostyka i terapia kosztowały nie tylko wszystkie oszczędności, ale też utratę pracy. Z końcem miesiąca kończy jej się umowa najmu mieszkania, a pieniędzy na kolejne po prostu nie ma..." – czytamy na wspomnianym portalu. Poinformował on także, że za pośrednictwem ursynowskiej fundacji prowadzona jest zbiórka pieniędzy na rehabilitację i terapię Zosi. Niestety, w nakręconym raptem miesiąc później reportażu Betlejewskiego, gdzie to samo dziecko



W reportażu w roli „czarnego luda" pojawia się dyrektorka przedszkola (po lewej), do którego chodzi dziecko pani Doroty (po prawej)

Fot. YouTube

czuje się już chłopcem, nie pojawia się informacja, że maluch cierpi na autyzm. Powtarza się za to informacja o bardzo trudnej sytuacji finansowej rodziny.

„W związku z licznymi pytaniami o pomoc, którą Fundacja In Via prowadziła na rzecz 5-letniej autystycznej dziewczynki Zosi, i po wyemitowaniu reportażu o »Bartku LGBT«, zebrane pieniądze ze sprzedaży losów, zbiórki do puszek, wpłat darczyńców zostały przekazane pani Dorocie na dalsze leczenie i rehabilitację dziecka. Wyemitowanie reportażu, który w naszej ocenie jest tendencyjny, nieprofesjonalny, atakujący panią Klepacką, Kościół katolicki – który jako pierwszy wspomagał Zosię – jest dla nas trudne. Dziecko/pani Dorota zostali wykorzystani do ideologii LGBT" – czytamy w oświadczeniu Fundacji Zdrowia Psychicznego In Via. To ta fundacja wspierała rodzinę pani Doroty, nim zainteresowały się nią media.

– Jestem w tę historię zaangażowana emocjonalnie – nie ukrywa Magdalena Fudala-Janc, prezes ursynowskiej fundacji, psychiatra, seksuolog. – Znam rodzinę pani Doroty od lat. Dwa miesiące temu ta rodzina zwróciła się do mnie po pomoc. Pani Dorota jest absolutnie zagubiona. I ze względu na sytuację finansową, i sytuację zdrowotną młodszego dziecka – mówiła mi dr Fudala-Janc w telewizji wPolsce.pl. – Zwróciła się do mnie po poradę także jako do seksuologa, jednak ponieważ nie jestem seksuologiem dziecięcym, zaleciłam zdiagnozowanie dziecka i dalsze szukanie pomocy. W Polsce brakuje psychiatrów i seksuologów dziecięcych. I pani Dorota, która walczy o swoje dzieci jak lwica, w moim przekonaniu zrobiła wszystko, by się dowiedzieć, co dzieje się z jej dziećmi – mówi ekspert. – Pod koniec kwietnia kobieta pokazała mi rozpoznanie autyzmu i transseksualizmu. Nie chcę podważać opinii kolegów, ale żaden szanujący się seksuolog nie da takiego rozpoznania cztero– czy pięcioletniemu dziecku. Oprócz transseksualizmu mamy przecież zaburzenia identyfikacji zachowania i identyfikacji płciowej w dzieciństwie. I to powinien być stan do obserwacji.

Dr Fudala-Janc zwróciła dodatkowo uwagę na pojawiający się w reportażu o dziecku atak na Kościół. Materiał ma być swego rodzaju aktem oskarżenia wobec duchownych, którzy mają odrzucać takie dzieci jak Zosia-Bartek.

– Sprawa jest tym trudniejsza, że pierwszymi osobami, które pomagały pani Dorocie, byli ojcowie dominikanie i księża, którzy robili to bez rozgłosu. Pani Dorota naprawdę nie jest w łatwej

eprasa.pl 4bd55e39c4

sytuacji. Jest sama, ma dziecko z autyzmem. Duchowni jej pomogli. A reportaż zaczyna się od wyśmiania Zofii Klepackiej oraz księży. To przecież nie jest element reportażu, który w założeniu ma pokazywać czyjeś życie i czyjeś problemy. Tu chodzi o jednoznaczny przekaz – nie ma wątpliwości pani doktor.

W OBRONIE DZIECKA

Na intencje autora wskazuje także mocno nacechowany ideologicznie tytuł materiału: „Wojna z LGBT: Klepacka vs. Bartek. Kto zwycięży?".

– Mam wrażenie, że cała ta sytuacja wygląda następująco: jest rodzina z dużymi problemami zdrowotnymi, finansowymi i innymi. Mamy zdesperowaną mamę, która szuka pomocy gdzie może i nagle spotyka środowisko, które bardzo chętnie wystawi odpowiednie dokumenty, bardzo chętnie poprowadzi w odpowiednią stronę, a wszystko po to, by wykorzystać ten przypadek do promowania ideologii LGBT bardzo szeroko – mówi Marzena Nykiel. – Mamy reportaż, w którym przedstawione jest pierwsze transseksualne dziecko w Polsce. Mama nagle otrzymuje znaczącą pomoc. Jest to więc sygnał dla innych rodziców: „Możecie na nas liczyć". A przecież wiemy dobrze, że środowisko LGBT robi wszystko, by zwiększyć swoją moc oddziaływania. Oni mają swoje zobowiązania, muszą pokazać efektywność w działaniu, zależy im więc, by wykazać, że problem dotyczy coraz większej grupy ludzi, w tym dzieci. Tak zrobiony reportaż wskazuje, że tu chodzi o jedną wielką indoktrynację. Mamy wskazanie przypadku, ale także obietnicę: bądźcie przy nas, dostaniecie pomoc. A wszystko po to, by uzyskać własne cele – tłumaczy dziennikarka.

W reportażu w roli „czarnego luda" pojawia się dyrektorka przedszkola, do którego chodzi dziecko pani Doroty. Pani dyrektor, według autora reportażu, działa na szkodę dziecka, gdyż bez jednoznacznego orzeczenia lekarskiego nie chce traktować Zosi jako chłopca. „Ja jako specjalista rekomenduję, by traktować to dziecko tak, jak traktuje je jego mama i doceniam jej determinację, żeby zapewnić mu takie traktowanie ze strony reszty społeczeństwa" – mówi w reportażu Dominik Haak, psycholog, seksuolog kliniczny, który specjalizuje się w pracy z osobami LGBT.

„Musimy to zrobić mądrze, żeby nie skrzywdzić dziecka. A skąd wiemy, że za pół roku ten etap nie minie? Jak my sobie spojrzymy w oczy? Dlatego, żeby być w porządku, musimy sprawdzić wszystko, co jest wokół. Żeby nie skrzywdzić dziecka, bo to jest decyzja na całe życie" – nie ma wątpliwości dyrektorka przedszkola.

> Matka pokazała mi rozpoznanie autyzmu i transseksualizmu u dziecka. Nie chcę podważać opinii kolegów, ale żaden szanujący się seksuolog nie da takiego rozpoznania pięcioletniemu dziecku

Choć ta postawa jest jednoznacznie potępiona w reportażu, chwali ją dr Fudała-Janc.

– W mojej ocenie zaatakowano kobietę, która uczy się nowej rzeczywistości. Ma na piśmie rozpoznanie, ale czy to może wystarczyć dyrekcji, by się ustosunkować? Dyrektorka poczyniła więc szereg innych kroków, by zyskać pewność, jak postępować, by właśnie tego dziecka nie skrzywdzić. To jest nowa sytuacja w Polsce. Że przychodzi dziecko z pewnym rozpoznaniem i zaleceniem używania innego imienia, innej płci. Mamy całą grupę dzieci, które znały Zosię i nagle Zosia ma być Bartkiem. By odpowiedzialni pedagodzy mogli zgodzić się na tę zmianę, muszą mieć pewność, że rozpoznanie jest właściwe. Dyrektorka tego przedszkola nie walczy przeciwko Zosi, tym bardziej że zwraca się w pewnym momencie do pani Doroty, mówiąc: „Pani wie, że ja jestem z panią. Dyrektor jest odpowiedzialny za całą placówkę, musi być pewny o słuszności takich, a nie innych działań". To bardzo odpowiedzialne zachowanie – tłumaczy ekspertka.

CO DALEJ?

A przecież dzieciom w tym wieku często zdarzają się różne zaburzenia identyfikacji. Dzieci mają różne fantazje. Bywa, że czują się księżniczką z bajki czy Spidermanem. Kiedy więc można mieć pewność, że osoba, która cierpi na zaburzenie tożsamości płciowej, to faktycznie transseksualista?

– Zakłada się, że pod koniec wieku przedszkolnego, czyli Bartek jeszcze nie jest na tym etapie, dziecko ma ukształtowaną tożsamość płciową jako stabilną i stałą. Ważne, by wziąć pod uwagę jeszcze jedną kwestię: by spełnić kryterium bycia transseksualnym, musi być wykluczona choroba psychiczna. Autyzm niestety podpada pod zaburzenie psychiczne. Nie możemy więc w tym przypadku mówić o transseksualizmie – tłumaczy dr Fudała-Janc. – Możemy mówić o zaburzeniach tożsamości płciowej w dzieciństwie. Sięgnęłam do ostatniego numeru „Psychiatrii po Dyplomie", wypowiadają się tu psychiatrzy oraz seksuolodzy dzieci i młodzieży. Bardzo często sytuacja wygląda w ten sposób, że do okresu pokwitania wszystko się zmienia. Dlatego młodego człowieka trzeba obserwować. A na pewno trzeba zapewnić mu wsparcie psychologiczne, seksuologiczne, a nie przesądzać w wieku lat czterech czy pięciu, że na pewno jest tak, a nie inaczej.

Rodzinie pani Doroty trzeba więc życzyć, by jej najmłodsze dziecko dostało pomoc najlepszych fachowców, tak by nie ucierpiało. Pozytywna informacja jest taka, że po emisji tego reportażu na kanale YouTube problemy finansowe całej trójki powinny się skończyć. Pod filmem prowadzona jest zbiórka środków. Po trzech dniach od daty emisji reportażu udało się zebrać kwotę 63 728 zł, czyli zrealizowano 91 proc. wyznaczonego celu.

eprasa.pl 4bd55e39c4



Między Rzymem i Londynem, zahaczając o Los Angeles, Agnieszka Grochowska realizuje swoje aktorskie plany. Dziewczyna z „Warszawy", „Zaginiona", „żona" Wałęsy i European Shooting Star 2007. W amerykańskim filmie „Moja gwiazda. Teen Spirit" zagrała z Elle Fanning

Marzenia się spełniają

Fot. Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl 4bd55e39c4

*Z aktorką **Agnieszką Grochowską** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

I została pani mamą 17-latki...

Agnieszka Grochowska: Ale jakiej. I w jakim projekcie. Violet Waleńska z filmu „Moja gwiazda: Teen Spirit" wygrywa tytułowy talent show. Uzdolnioną dziewczynę gra Elle Fanning, 21-latka z imponującą filmografią na koncie. W roli reżysera debiutuje aktor i scenarzysta Max Minghella, syn Anthony'ego (twórcy m.in. „Angielskiego pacjenta" i „Utalentowanego pana Ripleya").

Jak zareagowała pani na propozycję takiej roli?

Najpierw były zdjęcia próbne. Gdy mnie na nie zaproszono, w pierwszej chwili w swojej próżności pomyślałam: „Chyba jestem za młoda" (śmiech), a tu się okazało, że jednak nie. Potem śmiałam się w duchu, widząc reakcję 33-letniego reżysera, kiedy spotkaliśmy się w Londynie. Był zaskoczony, że sama jestem mamą. Na dodatek dwójki dzieci. „Nie wierzę, nie wierzę" – powtarzał. Mimo wszystko to, co zobaczył na nagraniach, w pełni złożyło mu się z wyobrażeniem matki głównej bohaterki, którą gra młodsza siostra Dakoty Fanning, Elle.

Jej kariera jest imponująca.

Wręcz niewiarygodna, bo jak się przyjrzeć, w jakich zagrała filmach i z kim, to nie wiem, czy jest druga młoda aktorka, która w wieku 21 lat ma taką filmografię.

Dołożyła teraz do niej film, w którym Minghella postanowił opowiedzieć o Polakach w Anglii?

Pomysł scenariuszowy nie wziął się z tego, że reżyser chciał zrobić społeczne kino rozgrywające się w środowisku polskiej czy innej emigracji w Anglii. Max jest synem brytyjskiego reżysera Anhony'ego Minghelli i znakomitej choreografki, z pochodzenia Chinki. To, że bohaterką filmu jest Polka, oczywiście nawiązuje do miliona naszych rodaków zamieszkujących dziś Wielką Brytanię, przeżycia Violet są jednak refleksem prywatnych doświadczeń i obserwacji scenarzysty związanych z jego matką.



Kadr z filmu „Moja gwiazda. Teen Spirit"

Mimo że spędziła w Anglii wiele lat, mieszkała z mężem i dziećmi w Londynie i wielu innych ciekawych miejscach Wielkiej Brytanii, obracali się w cudownym artystycznym świecie, nie czuła się „u siebie". W mojej filmowej postaci zawarte więc zostały także doświadczenia Carolyn Choa.

Można powiedzieć, że w tym projekcie została pani matką podwójnie?

A nawet potrójnie. W scenie, w której Violet wygrywa finał muzycznego talent show, są przebitki pokazujące, jak na jej występ reaguje grana przeze mnie matka, oglądająca występ w grupie swoich koleżanek. Mieliśmy to nakręcić w ciągu pół godziny, ale kiedy zaczęłam pokazywać różne reakcje na występ córki, rozciągnęło się to na półtorej godziny. I tylko słyszałam: „Nie, nie, nie kończymy. To też było świetne! Możesz pokazać jeszcze coś innego?". Oczywiście potem wycięte zostały z tego mikroujęcia, ale szczera reakcja ekipy... bezcenna. Podobnie jak to, co powiedziała rozemocjonowana Elle: „Niesamowite! Zachowywałaś się, jak moja mama!". Było dla mnie fascynujące, jak nie znając osoby, tak intensywnie mogłam ją przypominać. Czasem dzieje się w kinie coś tak dziwnego, wręcz metafizycznego.

Poznała pani mamę Elle?

Tak, na premierze filmu w Los Angeles. Wtedy też spotkałam starszą z sióstr, Dakotę. Śmiałyśmy się, że w tej konfiguracji stałam się też poniekąd jej mamą.

Z perspektywy filmowego rodzica, ale też aktorki, jak pani sądzi: siostry Fanning mają film we krwi?

Grają od maleńkości. Elle miała niespełna trzy laa, kiedy pierwszy raz stała się na planie młodszą wersję swojej siostry, a dziś... To jeden z przykładów, jak kino bywa kapryśne. Nigdy nie wiadomo, w jakim projekcie da szansę się rozwinąć. Jak długo skupi na kimś uwagę. Jeśli spojrzymy, jak się rozwija ich kariera, to teraz zdecydowanie Elle wybija się do przodu.

Siostry zdaje się nie mają poświadczonego papierem wykształcenia aktorskiego, ale...

...uczyły się od najlepszych. Takiej „akademii" można tylko pozazdrościć. Jeśli, jak Elle, pracuje się z Alejandro Iñárritu, Francisem S. Fitzgeraldem, Sophie Coppolą, ale też Francisem F. Coppolą, jeśli gra się z Angeliną Jolie, Nicole Kidman czy Bradem Pittem, to zyskuje się niezwykle cenny rodzaj doświadczenia. Zmieniającego życie, bo spotyka się kogoś, kto w swoim zawodzie osiągnął tak wiele i, można założyć, że jest też ciekawym człowiekiem.

Czy aktorka z pani doświadczeniem mogła od Elle coś zaczerpnąć?

Na pewno, choć trudno teraz powiedzieć konkretnie co, bo to się okazuje zwykle w trochę szerszej perspekty-

eprasa.pl 4bd55e39c4

wie. Każdy kolejny film jest szansą na spotkanie. Dla mnie osobiście liczy się ten konkretny moment, który spędzamy wspólnie na planie, w którym wchodzimy razem przed kamerę. Jeśli dochodzi do spotkania, to jest „zysk". Z mojego punktu widzenia jest on nie do przecenienia.

O czym jest „Moja gwiazda: Teen Spirit" z perspektywy pani bohaterki?

Tak to jest poprowadzone, chociaż w niewielu scenach, że ona musi zrozumieć, że nadszedł czas, by otworzyć szeroko drzwi i okna, by wypuścić swoje dziecko w świat. Tylko dzięki temu będzie się mogła prawdziwie z córką spotkać. Wcześniej projektuje na Violet swoje lęki, narzuca jej własne odczucia. Boi się o nią strasznie, więc nie akceptuje sytuacji, w których jej nastoletnie dziecko zostaje bez jej opieki. A córka chce śpiewać i, realizując marzenia, trafia w różne miejsca, spotyka się z różnymi ludźmi, konfrontowana jest z różnymi sytuacjami. Dla matki świat – z jednej strony klubów, z drugiej telewizyjnych produkcji, show-biznesu – jest obcy i niezrozumiały. Czuje, że nie będzie mogła w nim swojego dziecka chronić. I nawet jeżeli nie zakłada, że ktoś coś złego jej córce może zrobić, to widzi, że nie przygotuje jej na rozczarowanie, które może zniszczyć życie. Nie jest w stanie ochronić przed jej własnymi błędami, przed cierpieniem.


Kadr z filmu „Obce niebo"

I dopiero, kiedy zaakceptuje to, że jej córka jest osobnym człowiekiem, który ma przeczucie własnej siły, własnej wartości, chęci... dzieje się coś niesamowitego. Następuje moment, może malutki w tym filmie, ale bardzo ważny i dla mnie wzruszający: rozmawiają z sobą. Być może po raz pierwszy od wielu lat. Córka ma ochotę zadzwonić do matki, a matka staje się jej prawdziwym wsparciem. Nie doświadczały tego wcześniej, mieszkając od lat pod wspólnym dachem. Brakowało wtedy bliskości. Teraz, mimo że fizycznie oddalone, są blisko siebie.

Zdaje się, że „przepracowała" pani problem, który w prywatnym życiu jeszcze dobrych parę lat przed panią?

Mam nadzieję, że to zapamiętam, bo to ważna lekcja relacji rodzic-dziecko, chociaż w przypadku synów może to wyglądać nieco inaczej.

Czy film Maxa Minghelli ma szansę doprowadzić panią do następnych amerykańskich produkcji?

Tego nigdy nie wiadomo, trudno też przewidzieć czas, w jakim można odczuć skutki któregoś z projektów. Na przykład rolę w „Systemie" (czyli „Child 44" z 2013 r.), filmie, w którym zagrałam parę scen z Tomem Hardym, dostałam, ponieważ sześć lat wcześniej poznałam na Berlinale Nancy Bishop, reżyserkę obsady z Anglii. „Sanktuarium zła", które było realizowane w ub.r. w Rzymie i Alpach, wyprodukowali Szwedzi, mający na koncie wszystkie „Millennia". Jak się okazało, świetnie mnie pamiętali z filmu „Upperdog" (2009), który osiągnął w Norwegii taki sukces, że głośno o nim było w całej Skandynawii. Kiedy przesłałam zdjęcia próbne do „Sanktuarium...", to chociaż rola była tworzona dla Włoszki, przepisano ją „pod" Polkę, bo producenci chcieli, żebym zagrała w tym serialu. Tak więc czasem w sposób bardzo nieoczekiwany to się układa.

Pod koniec ub.r. mogliśmy panią oglądać w komedii świątecznej „Miłość jest wszystkim", teraz na antenie Canal Plus pokazywane jest „Sanktuarium zła". Co się jeszcze zawodowo u pani działo?

Zagrałam m.in. w filmie „Wanda mein Wunder", czyli „Wanda mój cud", jednej z najlepszych szwajcarskich reżyserek, Bettiny Oberli, ze wspaniałą niemiecko-austriacką obsadą i pewnym polskim aktorem. Tu wspomnę – à propos marzeń, które warto mieć – że trzy lata temu napisałam sobie na kartce: „Do 40-tki zagrać z Czarkiem Pazurą" i parę miesięcy przed tymi urodzinami (przypadają 31 grudnia br. – przyp. red.) spotkaliśmy się na planie właśnie szwajcarskiego filmu. Czarek zagrał w nim mojego ojca. Chciałam więc mocno podkreślić, wręcz zaapelować: „Drodzy państwo, proszę marzyć i nie bać się głośno wypowiadać, czego się pragnie, bo to się spełnia" (śmiech).

Kim jest Wanda?

Opiekuje się bogatym starszym Szwajcarem, zresztą w przepięknym miejscu niedaleko Zurychu. Dosłownie oczu nie można było oderwać, co tam się codziennie za oknem działo. Kręciliśmy zdjęcia od lutego, skończyliśmy w maju. Było na co patrzeć, jednak nie okoliczności przyrody są tematem tej tragikomedii, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Reżyserka wkłada kij w mrowisko. Jest niepoprawna politycznie. Ktoś przyjeżdża wykonywać pracę, której np. Szwajcarzy już nie chcą. Zachodnia Europa jest bardzo z siebie zadowolona. Łaskawie przyjmuje przybyszów, jednocześnie płacąc im trzy razy mniej, niż zapłaciliby sami sobie. To dotyczy całego świata (chociaż w tym przypadku inspiracją była sytuacja 30 tys. Polek opiekujących się w Szwajcarii starszymi ludźmi). Bardzo liczę na festiwalową drogę tego filmu, bo ma potencjał i temat, o którym warto dyskutować.

Czy taki też będzie serialowy „Motyw"?

Za dużo powiedzieć nie mogę. Trochę to thriller, trochę sensacja. Zdjęcia trwają. W obsadzie są m.in. Michał Czernecki, Małgosia Kożuchowska, Andrzej Konopka. Moja rola to dosyć skomplikowane, ale i bardzo ciekawe psychologicznie zadanie. Reżyseruje

eprasa.pl 4bd55e39c4

znakomity Paweł Maślona, który nie dość, że bardzo dobrze słyszy dialog i ma wyczulone ucho na komediowość, to też odciska na tym, co robi, swoje artystyczne piętno. Jestem szalenie ciekawa efektu tej pracy.

Serial TVN przyniósł przerwę w pracy na zagranicznych planach? Szwajcaria, Włochy, Wielka Brytania... Ciągle w drodze?

Filmowe projekty to nie jest jeden ciąg. Zdjęcia zamykają się w dwóch–trzech miesiącach. Poza tym jeżdżę na nie z dziećmi. Jeszcze nie są w wieku szkolnym, więc to możliwe.

Z perspektywy pani synów, który plan był najciekawszy?

Myślę, że Rzym. Wspaniały czas: lipiec, sierpień. Nie mógł z tym konkurować marzec w Zurychu. Taka prawda.

Kiedy spotka się pani z mężem (Dariuszem Gajewskim) na planie?

Tego nie wiem.

A to dla pani, jako aktorki, kusząca opcja?

Jestem bardzo zadowolona z naszej wcześniejszej współpracy. „Warszawa" (2003) to był nasz pierwszy, wspólny kinowy film, więc trudno nie nazwać go milowym krokiem, a „Obce niebo" (2015) w moim prywatnym rankingu jest bardzo wysoko (aktorka otrzymała za tę rolę m.in. nagrodę w Gdyni; pięć lat wcześniej na tym festiwalu odebrała statuetkę za drugi plan w filmie „Trzy minuty. 21:37" – przyp. red.). I dotyczy to też tego, co i jak chciałabym robić w kinie.

Może warto zapisać na kartce: „Kolejny film – z Dariuszem Gajewskim"?

Nawet jeśli, to nie powiem tego głośno, bo się nie spełni (śmiech).

Głos jazzu, poezji i kina

Na warszawskich Powązkach pożegnaliśmy Wandę Warską, legendarną wokalistkę jazzową, mistrzynię poezji śpiewanej, znaną także z filmów. Miała 89 lat

Młodym to nazwisko nic nie mówi, choć jej słynną wokalizę z filmu „Pociąg" z 1959 r. niedawno zacytował w swym nagraniu popularny raper Taco Hemingway. Dla tych, którzy doświadczeniem lub pamięcią sięgają czasu premiery kultowego obrazu Jerzego Kawalerowicza, Wanda Warska jest jednym z symboli artystycznego fermentu związanego z Październikiem '56. Gdy po dojściu do władzy Gomułki opresyjny komunizm w PRL nieco zelżał, żywiołowo wybuchł polski jazz, tępiony w czasach stalinowskich jako przejaw cywilizacyjnej zgnilizny kapitalizmu.

Kluczowe postaci tej rewolty to Jerzy „Duduś" Matuszkiewicz, Krzysztof „Komeda" Trzciński, Andrzej Trzaskowski i Andrzej Kurylewicz. Obok nich były wokalistki. Jazz śpiewały wtedy u nas m.in. Jeanne Johnston, Elizabeth Charles (Angielki, żony polskich lotników) czy Carmen Moreno (pół Hiszpanka, pół Polka), ale największą indywidualnością szybko stała się Wanda Warska. W rodzinnym Poznaniu uczyła się klasycznego śpiewu, nie opera jednak była jej przeznaczeniem. W Krakowie jej talent zauważyli młodzi kompozytorzy i jazzmani. Została żoną Kurylewicza. Z jego zespołem w 1955 r. debiutowała na Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie, rok później wystąpiła na I Międzynarodowym Festiwalu Jazzowym w Sopocie, potem w kolejnych odsłonach Jazz Jamboree.



Fot. Karewicz/AKPA

Stanowili z mężem idealny tandem. Ostoją ich twórczości po przenosinach do Warszawy była istniejąca od 1965 r. do dziś Piwnica Artystyczna. Tu odbywały się niezliczone koncerty zarówno jazzu, jak i muzyki awangardowej, filmowej, baletowej Andrzeja oraz wieczory poezji – wierszy Kochanowskiego, Słowackiego, Norwida, Wyspiańskiego, Miłosza, Herberta, Poświatowskiej czy autorstwa samej gospodyni – zawsze w jej niepowtarzalnej interpretacji. Muzykę, obok męża, pisali dla niej Górecki, Kilar, Konieczny, Penderecki, Preisner. Komponowała też sama. Imponujący dorobek dokumentują takie m.in. płyty jak „Kurylewicz Warska Niemen", „Piosenki z Piwnicy Wandy Warskiej", „Pieśni i fraszki Jana z Czarnolasu", „Stanisław Wyspiański: jakżeż ja się uspokoję". A były przecież jeszcze wernisaże bardzo osobistego malarstwa Wandy.

Po śmierci Andrzeja w 2007 r. prowadziła Piwnicę z córką Gabrielą Kurylewicz. Aktywność artystki od 2016 r. ograniczały skutki udaru. Zmarła 6 lipca 2019 r. w Laskach.

Adam Ciesielski

eprasa.pl 4bd55e39c4

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Dobre rodzeństwo kontra Smakosz

Portal Far Out Magazine ogłosił listę 22 najlepszych filmów według mistrza Stephena Kinga. Skompilowano ją z kilku jego wypowiedzi. Są tam same horrory i filmy grozy. Choć sam jestem od dawien dawna wielbicielem i książek, i filmowych adaptacji Kinga, to na podobnej liście umieściłbym może dwa, trzy te same filmy co on.

To pokazuje, jak bogaty to nurt we współczesnej popkulturze. Lubimy się straszyć i bać. Przejadał się ten nurt nieraz, kostniał w schematach i mechanicznych okrucieństwach, a potem zaskakiwał czymś świeżym. Pomyślałem o tym, trafiając na Stopklatce TV na „Smakosza" (w oryginale „Jeepers Creepers" – tytuł starej piosenki), skromny amerykański film grozy z roku 2001. To dziełko Victora Salvy nadal mi się podoba.

Niełatwo go bronić opowieścią, o czym to jest. Sceptycy prychną z lekceważeniem. No bo jak to: potwór (czy demon) żywiący się ludźmi, żeby zapaść w 23-letni sen, grasuje po amerykańskich szosach? Nie bzdura? Pomijając już niedorzeczność horrorowego założenia (albo się kupuje tę konwencję, albo nie), sporo tu niespójności w ramach przyjętej logiki. A zarazem to wyczucie nastroju, te pustki przestrzeni, te przedziwne postaci spotykane na drodze! Pamiętam, jak kręciło to speca od kina grozy Andrzeja Kołodyńskiego, który delektował się niesamowitą „bezczasowością" owej amerykańskiej prowincji, jakby para młodych bohaterów – podróżujący starym samochodem brat z siostrą – trafiała do jakiegoś innego świata.

Przez długi czas rodzeństwo zmaga się jeszcze nie tyle z bestią, ile z własnym strachem – w ramach kina drogi, które też jest amerykańskim spécialité de la maison. Dopiero później pojawią się oderwane głowy i charkot fantastycznego prześladowcy. Recenzenci zwracali uwagę, że Darry i Trisha Jenner są, pomimo przewidywalnych dialogów, jakby mądrzejsi, dojrzalsi od klasycznego młodocianego bohatera slashera. Ja bym zauważył coś więcej. W pewnym momencie owa para podejmuje decyzję. Zamiast ucieczki – próba pomocy domniemanym ofiarom Smakosza.

Zżymam się na filmy grozy, które za nic mają ludzkie życie, które dzielą postaci na wybranych i potępionych, choćby na pretensjonalny, pseudockliwy „Pozwól mi wejść". Tu jest inaczej. Tu mamy empatię, zwłaszcza brat jest nosicielem dobrych zachowań. To zdumiewające, że nakręcił taki film Victor Salva, kilkanaście lat wcześniej siedzący przez rok w więzieniu za molestowanie dwunastolatka.

I jeszcze ta apoteoza miłości między rodzeństwem w finale! Wszędzie można szukać dobra, także w horrorach. Do tego dochodzi dojrzałość gry aktorskiej. Gina Philips miała wtedy trzydziestkę, Justin Long – lat 23 – ot filmowa umowność, bo grają młodziaków. To dzięki nim film podwójnie nie jest rutyną. Sceny, w których Long zostaje porażony grozą tego, co widział w piwnicy, naprawdę się pamięta. Aktor grał potem sporo, nawet w „Szklanej pułapce 4". Ale czy właśnie tu, ze swoją wyrazistą, sympatyczną twarzą, nie dostał roli życia?



Z wszystkiego można zrobić COŚ. Salva nakręcił potem jeszcze dwa „Smakosze" – w roku 2003 i 2017. Paradoksalnie wszystko dzieje się cały czas w ciągu kilku nocy w roku 2001. A choć zwłaszcza w dwójce klaustrofobiczne osaczenie szkolnej drużyny koszykówki w autobusie na nocnej drodze (bestia bawi się z nimi w kotka i myszkę) robi wrażenie, to emocjom jedynki już nie dorównano. Rutyna dominowała nad grozą. Ale i tak Salva przeszedł do historii kina. I będę się upierał – było u niego dobro.

Piotr Zaremba



Wojciech ***Stanisławski***

Trylogia o krążeniu rzeczy tego świata

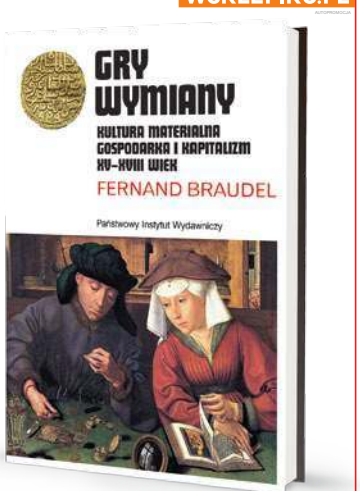
Trzymamy w ręku summę wiedzy o uprawach, mieszkaniach, szlakach wymiany dóbr, wiedzy i kapitału; kompletny podręcznik fizjologii świata nowożytnego

Dla wszystkich humanistów z wykształcenia, którym przyszło zdawać poważniejsze egzaminy z historii (jeden lub kilkadziesiąt), było to zwykle rodzajem dopustu. Kiedy człowiek zdołał już wznieść w głowie kruchą, gwiaździstą strukturę, przypominającą kunsztowne ozdoby cukiernicze z karmelu (częściej zaś ptasie gniazdo), mieszczącą zwaśnione partie, państwa i formacje, kiedy spamiętał już bezmiar bitew, rozejmów, przetasowań i niespodziewanych zgonów, kiedy na strzępiącej się, wyobrażonej mapie zdołał jakoś rozmieścić wszystkie te szlaki krucjat, najazdów i przerzutu bibuły oraz „najdalsze zasięgi" tej lub owej inwazji, sięgające bram Zamościa lub Akwilei – przychodziły ostatnie rozdziały podręczników, które zasypywały wszystko co powyżej rodzajem mżącego, wulkanicznego pyłu.

„Kultura materialna późnego średniowiecza, a komu to potrzebne!?" – żymali się historycy idei i geopolitycy in spe, usiłując zapamiętać cokolwiek o wszystkich tych foluszniakach, więcierzach, dłubankach i kwitach dłużnych, o konstrukcji szachulcowej domów, kołach wodnych i dziennej racji prosa w rodzinie serowara. Wszystko to w dodatku jak najfatalniej się kojarzyło, przynajmniej w latach 80., z mamrotaną jeszcze gdzieniegdzie mantrą materializmu historycznego, vulgo marksizmu, z jego dywagacjami o klasowej własności środków produkcji, które nijak się miały i do kartek na masło, i do Czarnobyla, i do feerii barw Zachodu odbijającej się w byle paczce gumy do żucia – i tym skwapliwiej spychane było na dno pamięci. To, co udało się zapamiętać, przypominało magazyn prowincjonalnego muzeum z jego dwuszeregiem manekinów z gracją prezentujących stroje ludowe z burej wełny i tuzinem poobijanych mis na podpuszczkę. Na szczęście egzaminatorzy też woleli pytać o myśl i musztrę Fryderyka II niż o huty cynku na Śląsku.

Tymczasem stało się tak, że pewien mistrz nad mistrze z tych właśnie wątków – kłopotów z prochem, kalorycznością różnych odmian zboża, nieznośną zmiennością usposobienia ławic dorszy – zdołał stworzyć nowe opisanie świata, coś na kształt jednego z XIX-wiecznych „ilustrowanych słowników" wielkich języków imperialnych, angielskiego czy niemieckiego, upstrzonych niezliczoną ilością stalorytów tak szczegółowych, że jeszcze w sto lat z okładem stanowią wdzięczną pożywkę dla twórców kolaży. Trylogia, o której piszę, nie jest przy tym księgą inwentarzową, prostą enumeracją roślin jadalnych, potraw, narzędzi, technik budowlanych, operacyjnych i żeglarskich. Historia kultury materialnej w naturalny sposób zrasta się na jej kartach z historią gospodarczą. W rezultacie otrzymaliśmy summę wiedzy o uprawach, mieszkaniach, szlakach wymiany dóbr, wiedzy i kapitału; kompletny podręcznik fizjologii świata nowożytnego, przy którym wszelkie przymiarki pióra Prusa, Zoli, fizjokratów czy marksistów wydają się jak nieporadny rysunek lub postny schemat.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



Ferdynand Braudel, „Struktury codzienności. Gry wymiany. Czas świata. Kultura materialna, gospodarka i kapitalizm XV–XVIII wiek", t. I–III, PIW, 2019

Właśnie, marksiści. Trylogia, o której mowa, traktuje o dokonującej się w ciągu 400 lat przemianie, o wciągnięciu całego zamieszkanego przez ludzi świata w ramy gigantycznego systemu wytwarzania i wymiany dóbr, o powstaniu centrum, które narzuca peryferiom swoje miary, ceny i mody, a w dalszej kolejności, po wprowadzeniu do gry pancerników – lektury obowiązkowe i traktaty. Nie da się pisać o narodzinach nowożytnej gospodarki bez refleksji nad tym, czym nowy system różnił się od starej jak świat wymiany towarowej, skąd wzięła się i jak była zagospodarowywana nadwyżka kapitału, rozmach, apetyt na monopolizację danej branży. Apetyt, co widać wyraźnie u progu trzeciej dekady XXI w. i wielkiego kryzysu gospodarczo-klimatycznego, nie tak niewinny, jak chcieliby bezkrytyczni

eprasa.pl 4bd55e39c4

entuzjaści wolnego rynku. Głos francuskiego historyka jest polemiczny wobec marksistowskiej wizji narodzin nowożytności i marksistowskiego determinizmu – ale polemiczny w tym sensie, że nie tworzy całościowej teorii, że skupia się na opisie „europejskiego fenomenu" (by nie rzec – cudu), u którego kolebki stoją, niczym konkurujące mamki, wielość relatywnie wolnych wobec władzy centralnej podmiotów, wolność podejmowania decyzji, nowatorstwo, rozmach i chciwość.

Wolno jednak, na szczęście, odpuścić sobie bodaj na chwilę ten tryb lektury i chłonąć po prostu opisy najpiękniejszych i najbardziej wolnych miast nowożytnej Europy, Amsterdamu i Wenecji, oświetlonych odpowiednio złoto lub srebrno, śródziemnomorskim lub północnym słońcem. Wolno otworzyć na dowolnej stronie ten ilustrowany inwentarz, by przeczytać o tym, jak do XVI w. w Paryżu pokrywano podłogi mieszkań trawą i kwiatami, o fajansowych filiżankach genieux, z których kobiety z Hal piją mleko zabarwione fusami z kawy, o araku wyrabianym z ryżu, cukru i daktyli, który portugalski podróżnik degustuje w Gudżaracie w roku Pańskim 1638, o chińskich zegarach, spożywaniu przez Kafrów mięsa wielorybiego, o rozruchach, które wybuchły w Genui na wieść o zakazie wypieku domowego chleba, o ewolucji arkebuzów, młynów prochowych i pojęcia funkcji...

A skoro tak, wolno pewnie odstąpić od obowiązującej na co dzień w tej rubryce reguły, nakazującej omawianie jedynie tytułów ukazujących się w Polsce po raz pierwszy i, odchrząknąwszy dla ukrycia wzruszenia, sucho obwieścić: proszę państwa, po 27 latach ukazało się właśnie drugie wydanie trylogii Ferdynanda Braudela, bez której inaczej pojmowalibyśmy historię.

Rodowody Rasputinów

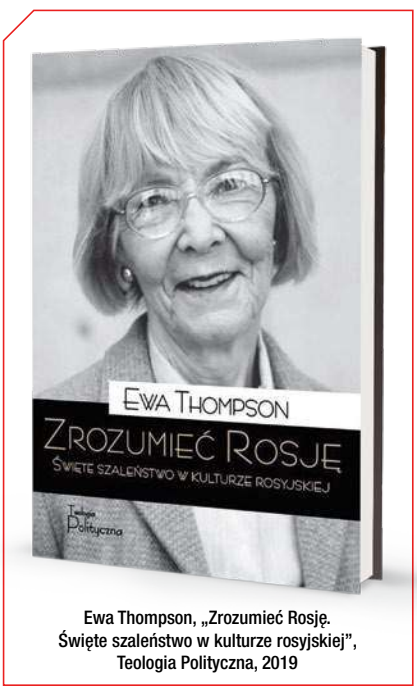
Kto ciekaw kultury rosyjskiej, zetknął się raz i drugi z fenomenem jurodiwych: Bożych głupców, czczonych i pogardzanych, bezkarnych i budzących litość. Można ich znaleźć w zapisach podań ludowych, w powieściach i obrazach, które sławią dawną, patriarchalną Ruś. Co jednak tak naprawdę wiemy o rosyjskich świętych szaleńcach, ich obecności w życiu codziennym ziem ruskich, roli, jaką odegrali w wyobraźni ludowej, i wpływie, jaki wywarli na społeczne wzory zachowań?

Ewa Thompson podjęła gigantyczny wysiłek odtworzenia całego spektrum zjawisk związanych z praktykami, wzorami i recepcją świętego szaleństwa w Rosji – począwszy od krytyki źródeł kościelnych i świeckich, traktujących o jurodiwych, analizy religioznawczej i antropologicznej, aż po – najbardziej fascynujące – rozważania o recepcji jurodiwych w kulturze i wpływie, jaki mieli na modus operandi inteligencji, począwszy od połowy XIX w.

Trudno sobie wyobrazić, by tak ambitnemu wyzwaniu badawczemu można było sprostać w pojedynkę. Rozmach, z jakim uczona porusza się po rozległych obszarach etnografii, paleografii, analizy literackiej i społecznej, budzi podziw, ale i obawę. Niemniej te ustalenia, które wydają najbardziej bezsporne, mogą skłonić do zrewidowania zarówno naszej wizji dawnej Rusi, jak genezy rosyjskiego radykalizmu.

Bardzo przekonujące jest ukazanie zdumiewających paralelizmów między praktykami, wizerunkiem i rolą społeczną rosyjskich jurodiwych a syberyjskich i ugrofińskich szamanów. O nawiązywaniu do bizantyjskich świętych w niemal niepiśmiennej Rosji wczesnonowożytnej trudno na serio mówić. Wzorce szamańskie były za to, w sytuacji kolonizowania Syberii i obecności ludów ugrofińskich na rozległych obszarach europejskiej Moscovii, o krok. Upodobanie do brudu, przenikliwych okrzyków i żelaznych ozdób, łatwość popadania w trans – wszystko to upodabnia jurodiwych do szamanów, nie zaś do syryjskich ascetów.

Uderzające jest wskazanie przez prof. Thompson, że na postawę świętych szaleńców składała się raczej bierność przechodząca w agresję, szyderstwo i potrzeba poklasku niż asceza i służba innym. Znamienne jest ich wycofanie się ze spraw publicznych, odrzucenie społecznych konwencji i zobowiązań, połączone z demonstracyjną lojalnością wobec władzy. Te rysy doskonale charakteryzują na poły legendarnych Wasilija Błażennego czy Iwana Koriejszę. Ewa Thompson doszukuje się ich jednak również nie tylko – co byłoby w pełni zrozumiałe – u Grigorija Rasputina czy księcia Myszkina, lecz również u postaci tak archetypicznych dla XX-wiecznej Rosji jak Jurij Żywago czy Iwan Denisowicz Szuchow, bohater słynnej noweli Sołżenicyna. Jest też zdania, że ten element rosyjskiego ludowego życia religijnego trwale ukształtował zachowania społeczne, że można nim tłumaczyć zdolność Rosjan do zdumiewającej bierności, a zarazem gotowość do zrywu. Jeśliby tak było – ale czy to nie zbyt uogólniająca teza? – moskiewski sobór Wasilija Błażennego rzeczywiście można by uznać za najdoskonalszy symbol Rosji.



Ewa Thompson, „Zrozumieć Rosję. Święte szaleństwo w kulturze rosyjskiej", Teologia Polityczna, 2019

eprasa.pl 4bd55e39c4

Adamski



Bóg i diabeł

Miłość i nienawiść. Geniusz i łajdak. Bóg i diabeł. W słynnym meczu Argentyny z Anglią na mistrzostwach świata w Meksyku w 1986 r. strzelił dwa gole – najpierw haniebnie ręką, a potem po oszałamiającym rajdzie przez pół boiska. Cały on. Mroczny i wzbudzający nienawiść mas gwiazdor Maradona i genialny Diego, porywający miliony. O tym jest właśnie doskonały dokument Asifa Kapadii. Reżyser „Amy" i „Senny" dotarł do istoty tego, kim jest jeden z najwybitniejszych piłkarzy w historii futbolu. Człowiek, który jak żaden inny geniusz zdobywający w jednym roku Puchar Świata, mistrzostwo krajowe i klubowy puchar mistrzów wpadł w autodestrukcję.

„Diego" to historia prostego chłopaka ze slumsów Buenos Aires, który przebił się na szczyt, by spaść z niego pod ciężarem własnych demonów – uzależnienia od narkotyków, kumpli z neapolitańskiej kamorry i gwiazdorstwa. Gdy przychodził do Napoli w 1984 r. po nieudanych występach w Barcelonie, był traktowany jak król. Pogardzany przez wszystkich klub z południa Włoch (Kapadia pokazuje stadionową pogardę dla „brudasów" ze strony kibiców takich potęg jak Inter czy Juventus) osiągnął z Argentyńczykiem swoje największe sukcesy. „Gdyby Maradona był miastem, byłby Neapolem, a gdyby Neapol był piłkarzem, byłby Maradoną" – pisał włoski dziennikarz Sergio Chesi. Maradona był w latach 1984–1990 nie tylko królem Neapolu. On był bogiem na obrazkach stawianym obok Jezusa i Maryi. Był też obok innych bogów Neapolu, mianowicie obok rodziny Guliano, jednego z klanów kamorry, która pomogła klubowi wykupić go za oszałamiającą wówczas kwotę 11 mln dol. z Barcy. Wszystko się skończyło 3 lipca 1990 r., gdy na stadionie w Neapolu – o ironio! – Diego Maradona rzutem karnym w półfinale wyeliminował z mundialu Włochy. Bóg Neapolu stał się pogromcą narodowej drużyny kraju, który go wielbił. Z miejsca został znienawidzony przez całą Italię. W prasie został zrównany z diabłem, choć jeszcze kilka miesięcy wcześniej dorysowywano mu aureolę.



Kino

Jasne, że Maradona był mistrzem autodestrukcji. Imprezy w klubach nocnych, służenie mafii, kokaina wypacana podczas treningów, nieślubne dzieci, których nie uznawał, tabuny kochanek i walka z prasą. Miał też pecha do symbolicznych wydarzeń. Pogrom Anglii łączył się z zemstą za przegraną przez Argentynę wojnę o Falklandy. Półfinał z Italią był bezmyślnie zaplanowany na stadionie Neapolu. Miał go specjalnie przegrać z narodową drużyną? Był też Robin Hoodem walczącym na boisku o los pogardzanych neapolitańczyków ze „śmietnika Włoch". Jego mit był zawsze złączony z polityką.

Kapadia dotarł do nigdy niepublikowanych nagrań wideo z domu Maradony, szatni, gdzie świętowano sukcesy Napoli, i do morderczych treningów Diego. Nie ma w filmie „gadających głów", choć słychać komentarze, również samego Maradony. „Diego" dowodzi, że życie Maradony doskonale pasuje do Italii. Jest jak włoska opera. Pełna muzyki, radości i miłości, ale też krwi, łez i nienawiści.

„DIEGO", REŻ. ASIF KAPADIA, DYSTR. M2FILMS



VOD

Takich filmów już się nie robi

Klasyka na wakacje – „Mikey i Nicky". Zdumiewający film Elaine Maine z 1976 r. jest rodzajem nawiązania do słynnych „Mężów" (1970) Johna Cassavetesa, w którym obok reżysera wystąpił Peter Falk. U Maine tworzą oni zupełnie pokręcony duet skazanych na destrukcję przyjaciół przemierzających Nowy Jork wprost do krwawego finału. Nicky (Cassavetes) jest drobnym cwaniaczkiem, na którego z powodu długów wydano wyrok śmierci. W ucieczce pomaga mu przyjaciel Mikey (Falk). Melancholijne i dekonstruujące „kumplowski film" dzieło Maine jest kapitalną mieszanką komedii, gangsterskiego kina z obyczajowym dramatem. To zupełnie niekonwencjonalna opowieść o męskiej przyjaźni, zdradzie i poświęceniu. Drapieżny i „brudny" obraz pokazuje, jak wyglądało autorskie kino lat 70. XX w., w najlepszym okresie amerykańskiej kinematografii. Takich filmów naprawdę już się nie robi.

FILM DOSTĘPNY NA HBO GO

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 4bd55e39c4

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Ten wspaniały Freud!

Nie jestem, mówiąc delikatnie, fanem psychoanalizy Zygmunta Freuda. Nie lubię też jego atakującej religię książki „Przyszłość pewnego złudzenia", o której trafnie pisał katolicki filozof i etyk Benjamin Wiker: „Idee Freuda nie były wcale oryginalne; oparł je na istniejącej już intelektualnej strukturze ateizmu, której budowanie rozpoczęło się wraz z Machiavellim i osiągnęło wraz z Nietzschem filozoficzną kulminację. Freud wypracował nowy rodzaj »wariacji na temat«, przyjmując ateizm jako punkt wyjścia do swojej teorii. W jego wyobraźni ateizm istniał jako niekwestionowana i obiektywna prawda". Freud w religii widział przyczyny depresji. To judaizm i chrześcijaństwo miały, jego zdaniem, tłumić ludzkie popędy. Cóż, tonący w pesymizmie na stare lata Woody Allen, którego kino jest największą promocją psychoanalizy, dowodzi, jak bardzo „pomaga" zawierzenie Freudowi. Dziś psychoanaliza wypracowana przez Austriaka stała się dla wielu ludzi formą religii. Kozetka zastąpiła konfesjonał, a profesor z białą brodą jest nowym bożkiem mającym rozwiązać wszystkie problemy ludzkości. Ten film wpisuje się w apologetykę freudyzmu, ale na szczęście jest też czymś więcej.


Kino

Oparty na bestsellerowej powieści Roberta Seethalera film Nikolausa Leytnera to jedna z najdroższych produkcji w austriackiej kinematografii. Jedną z ostatnich ról w swojej karierze zagrał tu zmarły w lutym tego roku wybitny aktor Bruno Ganz. Urodzony w Szwajcarii aktor do historii kina przeszedł jako Adolf Hitler z „Upadku". W tym roku mogliśmy go oglądać w szokującym „Dom, który zbudował Jack" von Triera, gdzie był samym diabłem. W „Trafikancie" wciela się natomiast w Zygmunta Freuda w jego ostatnich latach życia w anszlusowym Wiedniu. Gra na bardzo łagodnych i wyciszonych nutach.

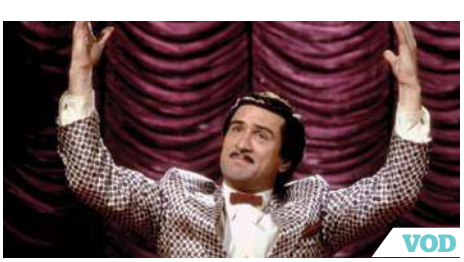
Siedemnastoletni Franz (Simon Morzé) po śmierci ojca zostaje wysłany przez mamę do Wiednia. Pracuje jako pomocnik w sklepie z tytoniem. Ma sprzedawać, jak mówi jego szef, przyjemność i pożądanie. Zygmunt Freud zaopatruje się w sklepie w wyszukane cygara. Niespodziewanie zaprzyjaźnia się z Franzem. Chłopak od lat doświadcza sugestywnych koszmarów (wysmakowane plastycznie sceny) i bardzo chce poznać ich przyczynę. Zakochuje się na dodatek w pracującej jako striptizerka czeskiej imigrantce Anuszce. Freud w obu przypadkach próbuje pomóc młodemu przyjacielowi.

„Trafikant" jest filmem, który najlepiej się sprawdza jako kawałek historii Austrii na chwilę przed wybuchem II wojny światowej. Zaciskająca się nazistowska pętla, prześladowania Żydów, koniunkturalizm Austriaków i rodzący się (to stały element niemieckiego kina historycznego) opór sprawiedliwych jednostek. Wszystko w tle miłosnej historii i przyjaźni. Ciekawy obraz.

„TRAFIKANT", REŻ. NIKOLAUS LEYTNER, DYSTR. AURORA

Cena sławy

Klasyka na wakacje – „Król komedii". Mało znany i chyba niezbyt lubiany nawet przez samego Martina Scorsese film nowojorskiego geniusza. Ja go jednak uwielbiam. Robert De Niro stworzył u Scorsese swoje najwybitniejsze role w karierze. Pamiętamy te z „Taksówkarza", „Wściekłego byka" i mafijnej trylogii. W 1982 r. panowie dali nam arcydzieło tragikomedii o mrokach sukcesu i fanatyzmie w dążeniu do celu. Rupert Pupkin (De Niro) jest wąsatym looserem przekonanym o własnym geniuszu. Ponad wszystko pragnie zostać stand-upperem. Próbuje poznać swojego idola i megagwiazdę telewizji Jerry'ego Langforda (w tej roli legendarny Jerry Lee Lewis), by wręczyć mu demo ze swoimi skeczami. Ten go zupełnie lekceważy, co skutkuje tym, że Pupkin go... porywa. Cenę za uwolnienie jest występ na żywo w jego programie przed milionową widownią. Scorsese i De Niro wyprzedzili swoją epokę i zrobili wiwisekcję celebrytyzmu za wszelką cenę – w czasach przed dyktaturą mediów społecznościowych pokazali, czym jest pragnienie sławy bez względu na koszty. Zabawne i przerażające proroctwo.


VOD

FILM DOSTĘPNY NA AMAZONIE I NETFLIXIE

eprasa.pl 4bd55e39c4



Nowy wspaniały świat według Sorosa

Prof. Janusz Sytnik-Czetwertyński postanowił sprawdzić, jakie są podobieństwa w działaniu organizacji powiązanych z osobą George'a Sorosa. W efekcie wyodrębnił prawie sto różnych cech, zjawisk i mechanizmów funkcjonowania, które można przypisać tym organizacjom. Jak ma wyglądać budowany przez nie nowy wspaniały świat?



ALEKSANDRA JAKUBOWSKA

George Soros, amerykański miliarder (urodzony na Węgrzech), od kilkudziesięciu lat usiłuje wprowadzić w życie teorie swojego mistrza Karla Poppera i stworzyć „społeczeństwo otwarte". Ideałem Sorosa jest likwidacja państw narodowych, wymieszanie społeczeństw, żeby już nikt nie był przekonany o swojej tożsamości, ideologia gender i LGBT, nieograniczony napływ imigrantów do Europy, prymat praw jednostki (np. aborcja, eutanazja, legalizacja marihuany) nad ogólnie akceptowanymi od lat przez społeczeństwo normami. Wydał ponad 32 mld dol. na działalność licznie przez siebie zakładanych fundacji i organizacji pozarządowych, na czele z powołaną w 1993 r. Open Society Foundations, która rozdziela pieniądze pomiędzy organizacje w wielu krajach świata. Od lat próbuje wpływać na politykę w różnych regionach, nie mając ku temu politycznego mandatu.

Także w Polsce działa kilkanaście organizacji, których powiązania z Sorosem są całkiem jawne lub niejako ukryte. Prof. Janusz Sytnik-Czetwertyński z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy mówi wprost, że idee Poppera i Sorosa to zwykła utopia. Zasadzają się na przekonaniu, że wojny mają podtekst narodowościowy bądź religijny i jeśli znikną państwa narodowe i religie, to znikną powody wojen. To jednak całkowity absurd. Człowiek z racji swego odzwierzęcego pochodzenia ma bowiem naturę agresywną. Wyzbycie się narodów i religii niczego więc nie powstrzyma. Człowiek po prostu znajdzie sobie wówczas inne powody do wojen. Natury nie da się oszukać.

Prof. Sytnik-Czetwertyński postanowił sprawdzić, jakie są podobieństwa w działaniach organizacji powiązanych z osobą Sorosa i jakie mechanizmy stosują, by wypełnić wyznaczone im zadania. W trakcie tej analizy okazało się jednak, że wiele celów, jakie sobie postawił ten prawie 90-letni miliarder, można uznać za osiągnięte, co prawda w większym stopniu za naszą zachodnią granicą, ale w części i w naszym kraju. Prof. Sytnik-Czetwertyński wyodrębnił prawie sto różnych cech, zjawisk, działań, a także już funkcjonujących mechanizmów, które można przypisać organizacjom i ludziom podzielającym przekonanie Sorosa, że można zmienić świat na „lepszy". A oto minisłowniczek, na który składają się wybrane przykłady:

Gloryfikacja prawa, które jest tak niezwykle istotne, iż czasami jego stosowanie przekracza zdrowy rozsądek. Najważniejsza jest procedura, a nie to, komu ma służyć, czyli człowiekowi i społeczeństwu. Prawo zostaje uwolnione od całej myśli społecznej i politycznej, zaczyna żyć własnym życiem. Zostaje uwolnione z wszelkich więzi, w których istnieje – administracyjnych, społecznych, czysto ludzkich. Staje się państwem w państwie, sztuką dla sztuki.

Kreowanie rządów prawa zawsze rozumiane jako ochrona wartości lewicowych. „Prawo musi być przestrzegane", ale w taki sposób, by wszystkie procedury służyły wprowadzaniu myślenia liberalno-lewicowego.

Sędziowie są ostateczną władzą, są osobami nieomylnymi, co najmniej bożkami („nadzwyczajna kasta"), ich myśli i decyzje mają wymiar ostateczny oraz uniwersalny, są ponad innych. Bronią wyłącznie prawa, bo wedle nich wszystko jest rządami prawa, a nie jakimś systemem politycznym. Są funkcjonariuszami rządów prawa, dla których najistotniejszym elementem jest bezustanne okazywanie swej władzy.

Tworzenie utopijnych doktryn prawa, takich jak np. nieuchronność kary, która ma powstrzymać złoczyńców od działania, gdy tymczasem – w sytuacji dynamicznej – morderca nie myśli o zasadach, on chce po prostu zabić. Myślenie, że każdy, kto będzie chciał popełnić przestępstwo, będzie miał świadomość, że spotka go kara, i to go powstrzyma, jest utopią.

Kreatywna księgowość, która jest cechą tych wszystkich organizacji, i powiązania biznesowe z osobami, które prowadzą firmy i mają odpowiedni światopogląd. Życie całkowicie z dotacji państwowych, unijnych albo grantów Sorosowych, grantów ministerialnych, przy jednoczesnym całkowitym braku dochodu z działalności statutowej – jedynymi dochodami tych organizacji i osób w nich działających są granty.

Wybiórcze podejście do finansów publicznych, czyli żądanie, by inni stosowali się do zasad rynkowości, gdy tymczasem oni nie muszą. Żyją z dotacji, a jeśli są to np. dotacje rządowe, to nic nikomu do tego, jak są one wydawane. Podatnika nie powinno, wedle tych organizacji, to obchodzić, natomiast dopytywanie się, ile podatnika kosztuje religia w szkołach, jest już całkowicie uzasadnione.

Życie życiem własnym, czyli tworzenie pewnego modelu instytucjonalnego,

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4bd55e39c4

zamkniętego dla społeczeństwa. Organizacja nie jest zainteresowana kontaktem społecznym (zwykle na jej stronach jest prośba o kontakt mailowy, a jeśli nawet jest podany numer telefonu, to albo nikt go nie odbiera, albo po prostu zbywa się osobę zainteresowaną współpracą). Organizacja tworzy tylko swoje projekty i swoje wizje, zupełnie jakby żyła na pustkowiu, nie licząc się z tym, jak jest to odbierane ani jak funkcjonuje w społeczeństwie. Choć organizacje te powinny być instytucjami zaufania publicznego, zawsze i w każdym momencie zdolnymi do kontaktu, nie robią tego, a nawet „zarażają" tym stylem działania instytucje państwowe. Zresztą wielkie korporacje już dawno go przejęły (próby uzyskania kontaktu choćby z przełożonym osoby obsługującej infolinię danej firmy nigdy się nie udają).

Wybiórcze stosowanie odpowiedzialności zbiorowej i stygmatyzowanie grup społecznych, np. „wszyscy księża są pedofilami", ale „nie wszyscy muzułmanie są terrorystami" (chociaż większość terrorystów po prostu jest muzułmanami).

Skrajny rasizm wobec białego heteroseksualnego mężczyzny w średnim wieku, który jest właściwie osobą pozbawioną jakichkolwiek praw i jakichkolwiek szans w starciu z instytucjami (choć to zjawisko częściej występuje w Europie i USA). Taka osoba, jeśli wda się np. w bójkę z czarnoskórym obywatelem, a do tego gejem, jest skazana i uznana za winną jeszcze przed wejściem na salę sądową.

Człowiek jest złem dla planety i takim samym złem jest cywilizacja, która truje środowisko i doprowadzi do jej śmierci. Człowiek wszystko psuje, rabuje, cała jego działalność szkodzi Ziemi. Generalnie rozwój roślinności i zwierząt jest ważniejszy od rozwoju cywilizacyjnego człowieka.

Pogarda dla starości, czyli „zabierz babci dowód", bo zagłosuje nie tak, jak powinna, a staruszki w „moherowych" beretach są tylko pośmiewiskiem. Eutanazja jest zaś „godną śmiercią", a wszyscy potrzebujący opieki są wykluczani, wypychani do instytucji zajmujących się opieką nad ludźmi psychicznie chorymi i do domów starców. I wtedy nie trzeba patrzeć na nich na ulicy, nie czuje się ich obecności, nikt nie musi się o nich martwić. Wmawia się starym ludziom, że ich powinnością jest umrzeć. Mają obowiązek umrzeć dla dobra dzieci i ich otoczenia, żeby nie być dla nikogo obciążeniem.

Powszechny brak wychowania („róbta, co chceta), wychowanie uczy bowiem pewnych relacji międzyspołecznych. Trzeba zniszczyć pewien model narodowy, ponieważ wychowanie zawsze było związane, nie tylko w Polsce, z pewnym widzeniem kształtu danego narodu. Jeśli się zniszczy wychowanie, wtedy będzie łatwiej zniszczyć idee, któremu zarówno wychowanie, jak i te idee miały służyć (patriotyzm, umiłowanie ojczyzny, poczucie własnej narodowości) i wprowadzić zasady, które są antyobywatelskie, a szczególnie antypatriotyczne.

> Artyści, menedżerowie, politycy itp. mają być uznawani za elitę bez względu na to, jak się zachowują, nie muszą mieć żadnego moralnego czy etycznego bezpiecznika, bo są elitą „z urzędu"

Aneksja przestrzeni publicznej polegająca na tym, że głośno można wyrażać tylko jeden rodzaj poglądu (w pracy albo modnej hipsterskiej kawiarni itp.). Głośne wyrażanie w publicznych miejscach swoich jedynie słusznych poglądów i nieliczenie się z tym, że kogoś można tym urazić. A także próby takiej aneksji w wymiarze materialnym, jak choćby postulowanie odbudowania LGBT-owskiej tęczy na pl. Zbawiciela w Warszawie, który jest przecież przestrzenią nie tylko przynależną temu jednemu środowisku. Dotyczy to również mediów społecznościowych, gdzie apologeci liberalizmu bez skrępowania publikują obrzydliwe antyreligijne i antykonserwatywne komentarze i fotomontaże, nie licząc się, że wśród znajomych mają wyborców innych idei. Konserwatysta – chcąc utrzymać znajomość – musi się wówczas godzić na codzienną porcję nienawiści wobec ważnych dla siebie idei, symboli i autorytetów. To jest próba sprowadzenia osób wierzących do poziomu ludzi drugiej kategorii. Wyszydzane są bowiem symbole, przed którymi osoba wierząca klęka. Konserwatysta nie ma wówczas innej możliwości jak po prostu zerwanie wszelkich kontaktów.

Pseudoelitarność wynikająca z przekonania, że wykonywanie pewnych obowiązków elitarnych już niejako z urzędu czyni człowieka członkiem elity. Artyści, menedżerowie, politycy itp. mają być uznawani za elitę bez względu na to, jak się zachowują, nie muszą mieć żadnego moralnego czy etycznego bezpiecznika, bo są elitą „z urzędu", w dalszym ciągu pozostając chamami.

Histeria jako sposób wyrażania swoich poglądów, bo zło pragnie histerii, to jest jego żywioł (np. przed wyborami w USA straszenie tym, że jak Trump wygra, to wybuchnie wojna domowa). W dyskusji prywatnej czy publicznej histeria jest znakomitym sposobem na to, by nie odpowiadać na pewne niewygodne pytania, traktować je jako atak, a w ostateczności obrazić się i np. wyjść z telewizyjnego czy radiowego studia.

Przedkładanie abstraktów nad człowieka, kiedy np. w dyskusji nad przyjmowaniem imigrantów nie używano słów „człowiek", „ludzie", tylko „kwoty" w ramach relokacji. Używanie słowa „demokracja" jako czegoś, co jest wartością, a przecież to tylko system polityczny. Wartością jest np. prawda.

Głoszenie prymatu praktyki nad teorią i przekonywanie, że człowiek w szkole nie powinien się uczyć niczego teoretycznego. Teoria przecież jest

eprasa.pl 4bd55e39c4

w książkach i internecie, zatem należy się uczyć wyłącznie wiedzy praktycznej. A przecież istnieje zasadnicza różnica pomiędzy człowiekiem, który wie, jak operować danymi pojęciami, a tym, który wie jedynie, gdzie znaleźć ich definicję, ale nie potrafi jej zrozumieć. Ta miłość do praktyki służy temu, by „wyprodukować" osobę umiejącą tylko wykonywać rozkazy. Tymczasem teoria jest czymś niezbędnym do twórczości człowieka, tu jednak ma być on wychowany wyłącznie do pracy, najlepiej – fizycznej.

Hasło powrotu do natury sprowadzające się do przekonania, że najlepiej by było, gdyby człowiek stał się z powrotem jaskiniowcem. Najważniejsza jest ekologia, wszystko powinno być robione w manufakturach, bez maszyn, wszystko, co jest osiągnięciem naszej cywilizacji, jest złem.

Idol naszych czasów, czyli wszystko na sprzedaż. Powinno się właściwie tutaj użyć słowa powszechnie uznanego za wulgarne, ale wprowadzanie wulgaryzmów do przestrzeni publicznej jest także przejawem owej działalności, o której tu się pisze. Idolem naszych czasów jest osoba, która ma wszystko na sprzedaż. Kreuje się ona w mediach społecznościowych, obleganych przez tego typu fundacje i organizacje i ulega szerzonej przez nie filozofii. Jeśli siedzisz akurat przy komputerze i powstała ci w głowie jakaś myśl – sprzedaj ją natychmiast, podziel się na Facebooku czy Twitterze. Pisz wszystko, opisz się do cna, pokaż zdjęcia, niczego nie zachowuj dla siebie. Jeśli ktoś ma jakiś problem, pozbądź się tego znajomego jak najszybciej i znowu pisz o sobie. Notabene tego typu osoba jest też ikoną tolerancji. Tylko bowiem ci, co mają wszystko na sprzedaż, również siebie i swoje ciało, są najbardziej tolerancyjni. Im doprawdy jest już wszystko jedno.

Stawianie zwierząt ponad ludzi i angażowanie się w ich ratowanie jest bardzo częstym celem wielu z tych organizacji. Trzeba chronić ciężarną lochę, bo są w niej małe dziczki. Kobieta zaś nie nosi w sobie dziecka, tylko zlepek komórek albo zygotę. Ich już ratować nie trzeba. Zwierzęta są uczłowieczane, w ogłoszeniach czytamy, że różne prywatne schroniska mają do adopcji „trzyletniego chłopczyka o imieniu Stasio", który jest po prostu małym kundelkiem.

Brak cywilizacyjnego postępu, bowiem nie osiągnie się go, zastępując jedne słowa innymi. Nie używa się słowa „uczucia", tylko „emocje", nie ma już słowa „twórczy", jest „kreatywny". Nie będzie żadnego postępu cywilizacyjnego także wtedy, gdy kobieta stanie się mężczyzną, a mężczyzna kobietą. Nawet możliwość wyboru jednej z kilkudziesięciu odmian płci wykreowanych przez „naukowców" związanych z tymi organizacjami nic twórczego do naszej cywilizacji nie wniesie.

Promowanie celebrytów, którzy tworzą sami dla siebie. „Zrobiłem film, nagrałam piosenkę, napisałam książkę". I nie szkodzi, że filmu nie chcą oglądać, piosenki słuchać, a książki czytać. „Zrobiłem/zrobiłam to dla siebie, to była taka



Fot. Shutterstock



Fot. Shutterstock

moja wewnętrzna potrzeba". Nie dla widowni, publiczności, czytelników... No ale ktoś na to dał pieniądze, a więc trzeba mu pomóc i powiedzieć coś, co będzie publicznie cytowane, choćby na plotkarskim portalu, i co się przysłuży sprawie organizacji, która nas łaskawie sponsoruje.

Szczytny cel działania w nazwie albo statucie, który przeważnie jest utopijny. Na przykład likwidacja przemocy. Można ją ograniczyć, można jej zapobiegać, ale likwidacja? Mistyfikacja jest także sposobem, który owe szczytne cele ma uwiarygadniać. Na przykład agitacja za przyjmowaniem uchodźców. Społeczeństwo jest przeciw, rząd coś tam w Brukseli obiecał, więc trzeba społeczeństwo rozmiękczyć. Publikujemy zatem zdjęcie małego martwego dziecka, które dziennikarz „Spectatora" – gdy wyszła na jaw prawda o tym, że była to inscenizacja na potrzeby proimigranckich organizacji – nazwał „moralną pornografią". Albo martwa wiewiórka leżąca na pniu ściętego przez niedobrych ludzi drzewa, która zginęła dlatego, że rzekomo zniszczono jej dom.

Kreowanie polityków odpowiadających aktualnym potrzebom społecznym – organizacje płacą za badania mające przynieść odpowiedź na pytanie, czego ludzie pragną i czego się boją. Ich bojaźnią obarczamy przeciwników politycznych, a z pragnień „szyjemy" takiego polityka, jakiego chcą, np. we Francji Macrona, w Polsce Petru. Jeśli zawiodą, robimy kolejne badania i pojawia się Biedroń.

Straszenie ludzi rzeczami niemożliwymi do weryfikacji, bo jak np. wyborca ma sprawdzić, że rzeczywiście „piniędzy nie ma i nie będzie"? I zawsze posługiwanie się zamiast statystyki szacunkami, np. „szacuje się, że liczba pedofilów w sutannach może sięgać kilku tysięcy". Słynna mapa pedofilii w Kościele posłanki Scheuring-Wielgus poraża nas liczbą kropek. Tych punktów jest tyle, iż wydaje się, że cała Polska jest opanowana przez kościelnych pedofilów. Tymczasem tylko czarne są oznaczeniem zgłoszenia takiego przypadku, czerwone – to szacunki. Które przeważają?

Małe kroki we wprowadzaniu kontrowersyjnych (dla społeczeństwa) pomysłów, czyli najpierw „miękkie" narkotyki, potem „twarde", pornografia „miękka i twarda", tak samo pedofilia – „miękka" powyżej 12. roku życia, „twarda" – poniżej. „Miękka" legalizacja związków homoseksualnych, a za nią nastąpi adopcja przez takie związki dzieci.

Organizacja społecznych protestów stadiami – zaczyna się od marszów, później są sprzeciwy artykułowane przez różne „autorytety", potem „lekki terroryzm", a na końcu Antifa. Kodowcy też przechodzili te stadia – skończyli na oblewaniu farbą i wieszaniu koszulek na pomnikach, ale do „twardego" terroryzmu nie doszło, bo po prostu się rozpadli.

Skrajny antykatolicyzm i tolerancja dla innych religii, takich jak islam czy judaizm, nienawiść do konserwatyzmu katolickiego przy częstym pobłażaniu prawom szariatu.

Podcinanie skrzydeł społeczeństwu poprzez niszczenie mitów założycielskich, które są podstawą tworzenia wspólnoty. Mity założycielskie pojawiają się bardzo często oddolnie, kiedy społeczeństwo odczuwa pewną wspólnotę – tak się stało, kiedy umarł Jan Paweł II. Mit założycielski jest bardzo poważną bronią i środowiska liberalne postanowiły go zniszczyć. Ale jak zniszczyć autorytet Jana Pawła II tuż po jego śmierci? W pewnej prywatnej telewizji informacyjnej zaczęły się więc pojawiać osoby wspominające papieża, a wśród nich ojciec Konrad Hejmo, zupełnie nieznany człowiek, który w Watykanie rejestrował pielgrzymki. Ładnie mówił, miał tzw. parcie na szkło i mogło się wydawać, że właśnie z tego powodu pokazywano go prawie codziennie i kreowano na człowieka niemal tak samo bliskiego papieżowi jak kard. Dziwisz. Po kilku dniach wystąpił szef IPN (jedyny taki przypadek w historii) i powiedział, że o. Hejmo był płatnym donosicielem Służby Bezpieczeństwa. Tym rzucono w pamięć po Janie Pawle II. Dość szybko zaczęły znikać znicze, kwiaty, wydawać by się mogło, że także papież Polak zniknął z serca społeczeństwa. Ale mit przetrwał i kiedy zaczął odżywać, wyciągnięto broń w postaci pedofilii w Kościele, o której ponoć Jan Paweł II wiedział i nic nie robił. Atak na religię i Kościół ma sprawić, że zniknie religia. A jest to pewien punkt odniesienia, bo wciąż możemy się dzięki niej dowiedzieć, czym jest dobro i zło.

* * *

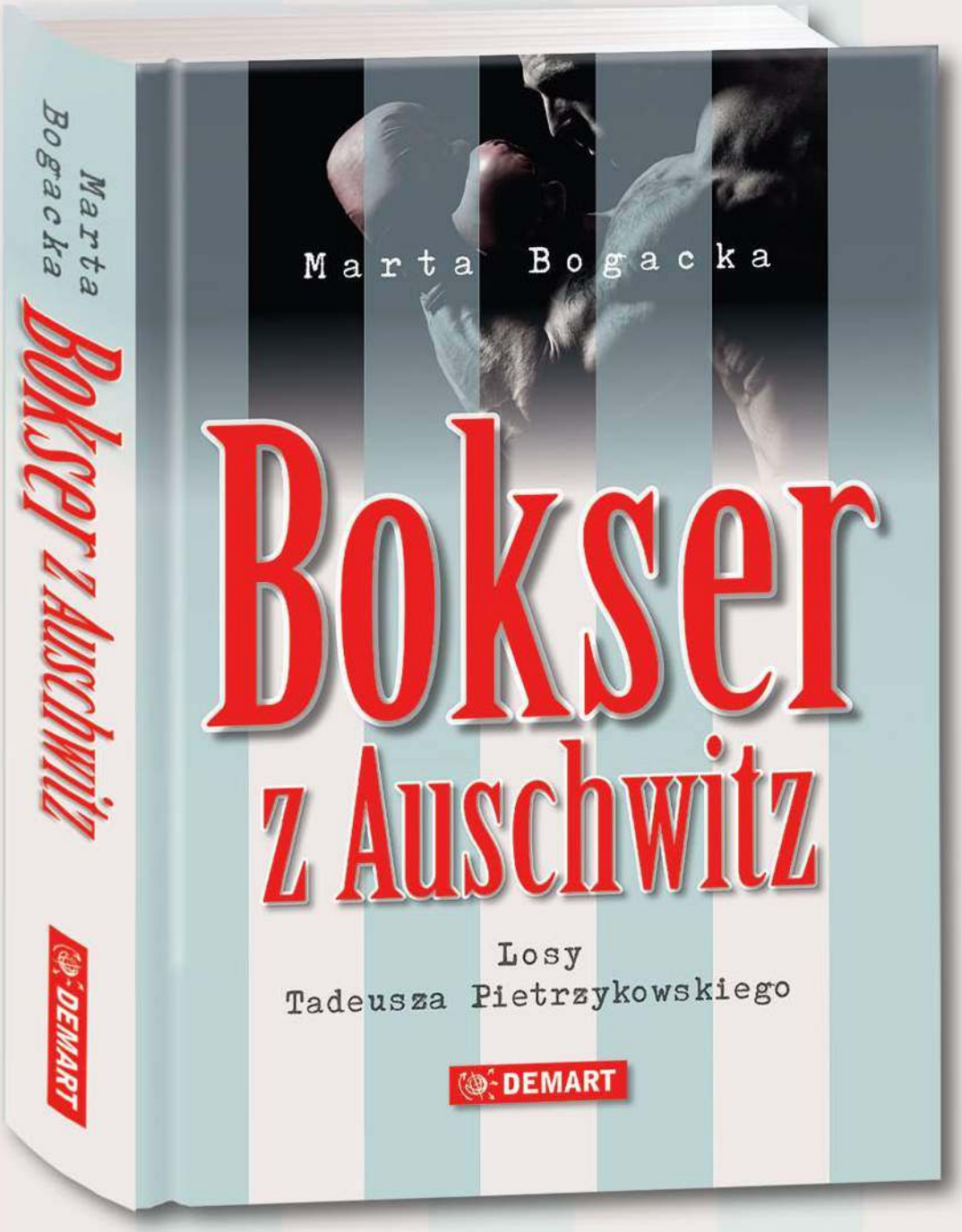
Działania organizacji Sorosa mają jeszcze jeden cel – zniszczyć moralny punkt odniesienia. Europejska tradycyjna moralność oparta jest na przeciwieństwie dobra i zła, odwołuje się do autorytetu i kanonu chrześcijańskiego. To właśnie próbuje się zniszczyć tak, by człowiek zagubił się w rozumieniu tego, co jest wokół niego dobrem, a co złem. Dobrem wówczas stanie się to, co będzie miało lepszy i głośniejszy PR. Po prostu wmówi się ludziom co jest dobre, a co złe. W ten sposób ugruntowany zostanie ostateczny podział na „nowoczesną", „liberalną" i „europejską" elitę oraz katolicki i patriotyczny motłoch, który winien przepraszać za to, że w ogóle istnieje i który nie ma żadnych praw.

George Soros to jeden z najbardziej wpływowych ludzi na świecie, ale dziś to już nie taka potęga jak kiedyś. Wiele złego się wydarzyło, ale czy możemy powiedzieć, że w porę przejrzeliśmy na oczy i nie grozi nam już „nowy wspaniały świat" według jego recepty?

50/0619/F

eprasa.pl 4bd55e39c4

Bił Niemców jak chciał...



...historia więźnia 77

Książka dostępna w księgarniach oraz na www.demart.com.pl

DEMART

eprasa.pl 4bd55e39c4

R jak Radio Maryja



Dr Hanna Karp, medioznawca

Gdy wpiszemy w internetowej wyszukiwarce „fenomen Radia Maryja", znajdziemy wiele tekstów. Choć autorzy opisują to samo medium, będą to relacje różne i wzajemnie sprzeczne. Często pełne fałszerstw i kłamstw. Gdyby to była prawda, rozgłośnia dawno powinna przestać istnieć i funkcjonować. Tymczasem w ubiegłym tygodniu już po raz 28. odbyła się doroczna uroczysta pielgrzymka Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę. Warto przypomnieć pierwsze lata tej wielkiej wspólnoty, która od początku trafiała na opór środowisk lewicowo-liberalnych i ich mediów. Rozgłośnia, jej założyciel i słuchacze od początku byli marginalizowani, skazani na przemilczanie. Pojawiła się wobec nich także wrogość i niechęć, połączone z etykietowaniem, ośmieszaniem, parodiowaniem, dyskryminacją mającymi ostatecznie skutkować wykluczeniem z publicznej debaty.

STYGMATYZACJA I WYKLUCZANIE

Punktem zwrotnym oficjalnego stygmatyzowania rozgłośni był 10 listopada 2005 r., gdy Donald Tusk z mównicy sejmowej użył terminu „moherowa koalicja", mówiąc: „Polska naprawdę nie jest skazana na, tak jak ją Polska od wczoraj nazywa, moherową koalicję". Wcześniej, w grudniu 2002 r., określenie „moherowe berety" było publikowane w internecie w kontekście fotografii fotoreportera „Gazety Wyborczej", przedstawiających słuchaczki radia w wełnianych beretach podczas grudniowych uroczystości w Toruniu.

„Moherowe berety" to tylko jedna z nazw słuchaczy Radia Maryja. Określenie miało zniechęcać do rozgłośni i całego środowiska z nią związanego. Tak częste etykietowanie jej założyciela i słuchaczy miało wykluczyć ich z szerokiej wspólnoty. Napiętnować i odebrać prawo do zabierania głosu oraz obecności w debacie publicznej. A to oznaczało odebranie jednej z głównej funkcji i zadań przynależnych mediom. I celu, w jakim są powołane. Zamilknięcie Radia Maryja oznaczałoby w praktyce odebranie głosu polskim katolikom, zgodę na zamianę polskiego Kościoła w niemowę. Ograniczenie i redukcję jego misji – jak było w systemie totalitarnym – do kruchty, sprawy prywatnej wiernych.

RADIO JAKO RODZINA

Po ponad ćwierć wieku istnienia rozgłośni można powiedzieć, że nie zostawia ona nikogo obojętnym. Można też śmiało postawić tezę, że polski rynek mediów bez niej byłby jeszcze bardziej zredukowany. Także Kościół polski bez toruńskiej rozgłośni byłby znacznie uboższy. Mówimy już o ponad ćwierć wieku nie tylko historii polskiego Kościoła, lecz i nowej Polski po roku 1989. Radio przechodziło różne okresy. Ale dla wielu Polaków to był dar opatrznościowy. O trudnych początkach nieraz mówił na falach jego założyciel o. dr Tadeusz Rydzyk (CSsR).

Rozgłośnia szybko stała się bliska Polakom, poddanym bezwzględnej i oszukańczej transformacji ekonomicznej. Pozostający w odrzuceniu, traktowani przez tych, którzy wprowadzali „nowy ład i nową ekonomię" jako niepotrzebni, we wspólnocie radia odnaleźli swoje miejsce. Rozgłośnia stała się uosobieniem obrony ich wartości i godności. Wiele spraw organizacyjnych odbywało się spontanicznie. Pomoc wzajemna, aktywność, poczucie rodzinnej więzi dało to, co daje siłę do

eprasa.pl 4bd55e39c4

przetrwania chwil najtrudniejszych. Ale także wspólne przeżywanie radości, wsparcie, dodawanie otuchy, zapewnienie o wzajemnej miłości i akceptacji. Było to jedyne radio mające nie tylko słuchaczy, zwolenników czy sympatyków, lecz rodzinę.

W 1993 r. sformalizowano aktywne wcześniej grupy słuchaczy, nazywając je Rodziną Radia Maryja. Były to przede wszystkim zespoły modlitewne, które do chwili obecnej działają niemal w każdej parafii. Trzy lata później przez Polskę przetoczył się cykl radiowych spotkań zatytułowanych: „...a to Polska właśnie". Chodziło o rozbudzenie w słuchaczach odpowiedzialności za dziedzictwo religijno-kulturowe ojczyzny. Rodzina Radia Maryja odwiedziła m.in. Zakopane, Łódź, Piekary Śląskie, Gdynię. W kolejnych latach organizowano Marsze Życia, marsze w obronie życia poczętego, które odbywają się do dziś. Każdej wiosny do Rzymu wyruszała i wciąż wyrusza pielgrzymka Rodziny Radia Maryja. Wśród wielu akcji szczególnie ważna była ta z roku 1997 niosąca pomoc ofiarom katastrofalnej powodzi.

Przy Radiu Maryja powstał Instytut Edukacji Narodowej, Fundacja Nasza Przyszłość, otwarto redakcję „Naszego Dziennika", a później, w 2003 r., zaczęła nadawać Telewizja Trwam. W 2001 r. otworzyła podwoje studentom Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. Arcybiskup Kazimierz Majdański, od początku wspierający radio, w 1998 r., podczas jednej z uroczystości, mówił: „Radio Maryja, służąc prawdzie w zafałszowanym świecie, spełnia wielką misję, dlatego przez wielką rzeszę ludzi jest błogosławione, ale bywa inaczej – jest też krytykowane. Radio, służąc prawdzie, przeciwstawia się bożkom czasu: kultowi pieniądza, relatywizmowi moralnemu, fałszywie rozumianej wolności, cywilizacji śmierci, wyprzedaży polskiej ziemi". Te słowa, mimo upływu lat, pozostają aktualne. Ojciec Święty Jan Paweł II podczas watykańskich pielgrzymkowych spotkań wielokrotnie dziękował Rodzinie Radia Maryja i ojcom redemptorystom za wielki wkład radia w dzieło ewangelizacyjne.

NAJWIĘKSZE GLOBALNE KŁAMSTWO

Koncerny międzynarodowe w latach 80., kiedy Polacy wydobywali się z komunizmu, przygotowywały strategie medialne i po roku 1989 wkroczyły do Polski. Zderzenie z ówczesną polską rzeczywistością stawiało je w wyraźnie uprzywilejowanej pozycji na wielu polach. Ta nierówna konfrontacja trwa do dziś. Niespodziewane założenie na początku lat 90. mediów (9 grudnia 1991 r. Radio Maryja zabrzmiało po raz pierwszy, a w roku 1993 otrzymało koncesję) przez nieznanego polskiego zakonnika było elementem nieprzewidzianym i dla wielu irytującym. Nie przypadkiem przy radiu powstał specjalny Zespół Wspierania Radia Maryja, który do dziś ma wciąż wiele pracy. W komunikacie z września 2018 r. członkowie Zespołu Wspierania Radia Maryja podkreślali, że „jednym z kłamliwych i w ostatnich latach masowo rozpowszechnianych w mediach jest określenie »imperium ojca Rydzyka« używane w odniesieniu do dzieł, w których powstaniu i działalności uczestniczyły rzesze ofiarodawców, tworzących Rodzinę Radia Maryja". Sygnatariusze ostrzegali: „Słysząc rozpowszechniane określenie »imperium ojca Rydzyka«, warto odnieść to do właścicieli prawdziwych imperiów medialnych w Polsce, którzy posiadają kilkadziesiąt koncesji radiowych i telewizyjnych, domy reklamowe oraz sieci rozprowadzające sygnały nadawców, a często występują pod różnymi nazwami".

> Zamilknięcie Radia Maryja oznaczałoby w praktyce odebranie głosu polskim katolikom, zgodę na zamianę polskiego Kościoła w niemowę

Dodajmy, że geneza określenia „imperium medialne" ojca Rydzyka wiąże się z rokiem 2002 i tytułem filmu dokumentalnego Jerzego Morawskiego „Imperium ojca Rydzyka". Tytułowa nazwa określa grupę współpracujących z sobą instytucji, blisko związanych z Radiem Maryja. Jednak niemal natychmiast zaczyna być kreowane w mediach dosłownie, jako imperium władzy doczesnej i współczesnego biznesu.

Do chwili obecnej siła przekazu opcji konserwatywnej, zachowującej aksjologię chrześcijańską i polską, ma na portalach internetowych i w sieci, ponaddziesięciokrotnie mniejszą siłę dotarcia do odbiorcy niż przekaz lewicowo-liberalny. Analogicznie przedstawia się sytuacja w sektorze radiowo-telewizyjnym oraz prasie drukowanej. Przy czym autonomia sektora rodzimej prasy regionalnej uległa całkowitej degradacji. Zatem przekonanie polskiej opinii publicznej, a także opinii zagranicznej o istnieniu „imperium ojca Rydzyka" jest jednym z największych, a jednocześnie najsilniej utrwalonych w domenie publicznej globalnych kłamstw.

SIŁA PRZEKAZU

Rzeczywistym imperium – jeśli już o imperium mowa – są ludzie i siła przekazu rozgłośni. Chodzi przede wszystkim o wznoszone imperium duchowe. Poprzez środki bogate Kościoła, w tym Radio Maryja, powstaje imperium środków ubogich, których celem jest wskazywanie na duchową misję i nauczanie Kościoła. I o to chodzi oponentom. Negują oni rozwój i cel tej rozgłośni z definicji.

Jacques Maritain tłumaczył, że skuteczność środków bogatych w Kościele płynie z obecności i siły środków ubogich (cierpienie, post, modlitwa) i to jest tajemnica tego wyjątkowego toruńskiego imperium. Imperia medialne świata ograniczają się do kapitału, zysku i siły rażenia. Dlatego to imperium budzi niejednokrotnie niezrozumienie, głęboką niechęć czy wręcz strach... Nie przypadkiem w pierwszych latach działalności nazywane było złośliwie sektą. Czas jednak zadał kłam temu i innym określeniom. Na potrzeby chwili tworzone są wciąż nowe epitety. Prym w tym wciąż wiodą koncerny o charakterze globalnym, które na polskim gruncie same marzyły o rządzie polskich dusz...

eprasa.pl 4bd55e39c4

Niechciany prezydent



GRZEGORZ MAJCHRZAK



SEBASTIAN LIGARSKI

30 lat temu, 19 lipca 1989 r., Zgromadzenie Narodowe wybrało na prezydenta PRL Wojciecha Jaruzelskiego. Tym samym kontrakt „okrągłego stołu" został wypełniony. Zanim jednak do tego doszło, przez kraj przetoczyła się fala protestów przeciwko tej kandydaturze. Sam Jaruzelski zaś zachowywał się niczym primadonna, raz rezygnując, innym razem dając się namówić na kandydowanie

Po 4 czerwca 1989 r. na porządku dziennym stanęła sprawa listy krajowej, która przepadła niemal w całości w wyborach, oraz związanej z nią zmiany ordynacji wyborczej, a także dalsze losy komitetów obywatelskich. Część opozycji, tej, która albo do wyborów poszła samodzielnie, albo też je zbojkotowała, skupiła się na mobilizacji społeczeństwa oraz nowo wybranych posłów i senatorów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego przeciwko kandydaturze Wojciecha Jaruzelskiego na urząd prezydenta.

Władze PRL próbowały działać metodą faktów dokonanych – 11 czerwca 1989 r. Jerzy Urban, szef Komitetu ds. Radia i Telewizji, podał nawet do wiadomości publicznej, że jednym z „okrągłostołowych" ustaleń był wybór Jaruzelskiego na to stanowisko. Było to

Fot. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl 4b1f3e39c4

duże zaskoczenie, wręcz szok dla Solidarności, która 8 czerwca w czasie posiedzenia Komisji Porozumiewawczej (pilnowała ona realizacji ustaleń z kwietnia 1989 r.) zgodziła się na zmianę ordynacji wyborczej w trakcie wyborów i obsadzenie przez władze PRL ponad 30 mandatów poselskich nieobsadzonych w związku z przepadkiem większości listy krajowej. W efekcie Obywatelski Klub Parlamentarny 23 czerwca podjął decyzję, aby nie głosować na Wojciecha Jaruzelskiego, oddalając tym samym – jak się później okazało – jego wybór.

Tego rodzaju dylematów nie mieli przedstawiciele radykalnej opozycji (Solidarność Walcząca, Polska Partia Socjalistyczna-Rewolucja Demokratyczna, Konfederacja Polski Niepodległej, Niezależne Zrzeszenie Studentów czy Federacja Młodzieży Walczącej). Byli zdecydowanie przeciw. 8 czerwca 1989 r. założyciel i przywódca SW Kornel Morawiecki wysłał list do wszystkich senatorów i posłów z list KO S, namawiając ich do protestu przeciwko Jaruzelskiemu jako „odpowiedzialnemu za stan wojenny, za kryzys i upadek kraju". Jednocześnie zaproponował na ten urząd Jerzego Giedroycia, który według niego „jak żaden z żyjących Polaków, łączył [...] czyn i myśl, prawość i politykę, Kraj i Emigrację". Problem w tym, że sam Giedroyc nie wyraził na to zgody...

SONDAŻOWE POJEDYNKI

Warto w tym miejscu przypomnieć, że pojawiało się więcej nazwisk kandydatów na urząd prezydenta. Padały nazwiska Jana Szczepańskiego, Tadeusza Fiszbacha, Aleksandra Gieysztora czy Bronisława Geremka. Niektóre z nich w sondażach instytucji zajmujących się badaniem opinii publicznej, które co najmniej od 1984 r. przeprowadzały sondaże dotyczące urzędu prezydenta w Polsce. Warto do nich na chwilę zajrzeć. Otóż w lipcu 1984 r. Centrum Badania Opinii Społecznej zapytało 530 osób, mieszkających w 12 miastach, kogo widzieliby na fotelu prezydenta, gdyby to stanowisko zostało przywrócone. 21,2 proc. wskazywało na Wojciecha Jaruzelskiego, 10,5 proc. na Henryka Jabłońskiego, kolejne miejsca zaś zajęli Lech Wałęsa, Mieczysław F. Rakowski. Oczywiście głosy często zależały od środowiska, do którego dotarli ankieterzy. W kwietniu 1989 r. pierwszy sondaż wskazywał, że najliczniej głosowano by na Jaruzelskiego, Rakowskiego, potem Mieczysława Wilczka, Romana Malinowskiego, Czesława Kiszczaka. Ze strony solidarnościowej wspominano o Wałęsie i Bronisławie Geremku. Najwięcej zwolenników miały trzy osoby: Jaruzelski, Wałęsa i Rakowski. Co ciekawe, w kolejnych badaniach, np. w maju tamtego roku, pojawili się także wśród typowanych Władysław Baka i Alfred Miodowicz, ze strony opozycyjnej zaś: Tadeusz Mazowiecki, Stanisław Stomma, Adam Michnik, Leszek Moczulski i Andrzej Gwiazda. Kolejny sondaż CBOS przeprowadzony po pierwszej turze wyborów (8–12 czerwca) wskazywał, że w walce o prezydenturę liczyliby się Wojciech Jaruzelski i Lech Wałęsa. Ten ostatni nie zamierzał jednak kandydować, choć – jak pisał Antoni Dudek – w Gdyni pojawiły się plakaty przewodniczącego NSZZ Solidarność z napisem „Wybieramy Lecha Wałęsę na Prezydenta Polskiej Rzeczpospolitej". Sygnowała go bliżej nieznana Niezależna Suwerenna Partia Pracy. W połowie czerwca tę sondażową rywalizację wygrywał Wałęsa, który mógł liczyć na ponad 53 proc. głosów, podczas gdy Jaruzelski na 33 proc. 14 proc. respondentów nie wyraziło swojego zdania. Był to ostatni tego rodzaju sondaż.

LIST GOŃCZY I KANDYDATURA KISZCZAKA

W czerwcu i lipcu 1989 r. co kilka dni w różnych miejscach w kraju odbywały się protesty pod hasłami „Precz z Wojciechem Jaruzelskim" czy „Jaruzelski musi odejść". Jak informowała Służba Bezpieczeństwa, w czasie tych demonstracji ich uczestnicy wysłuchiwali krytycznych opinii kontestujących postać I sekretarza KC PZPR, które padały z ust m.in. Andrzeja Gwiazdy, Józefa Piniora, Hanny Łukowskiej-Karniej, Leszka Moczulskiego i wielu innych. Kolportowano ulotki, w których atakowano – nieraz bardzo ostro – Jaruzelskiego. Tu jeden tylko przykład: „Uwaga!!! List gończy. Poszukiwany jest zbrodniarzem wojennym. 13.12.1981 r. dokonał wielu zbrodni na narodzie polskim. Agent dawniejszego NKWD. Do dnia dzisiejszego jest na usługach Sowietów. Uwaga jest niebezpieczny dla otoczenia z powodu choroby psychicznej, może podawać się za prezydenta. Za dostarczenie żywego lub martwego – nagroda 1000000 zł. Solidarność Walcząca Dolny Śląsk".

Co ciekawe, informacje dotyczące tych protestów spływały w ogromnej większości na tzw. ograniczony rozdzielnik – na biurko samego Wojciecha Jaruzelskiego, a także do wiadomości ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka. Nie trafiały natomiast do kilkunastu innych najważniejszych osób w państwie, umieszczonych na standardowym rozdzielniku. Ta codzienna dawka wiadomości nakładająca się jednocześnie na spotkania Jaruzelskiego z działaczami Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Demokratycznego i klubem poselskim PZPR powodowała coraz większą frustrację przyszłego prezydenta. 29 czerwca poinformował on Biuro Polityczne KC PZPR o swojej rezygnacji z kandydowania na urząd prezydenta, gdyż według niego przyszła decyzja Zgromadzenia Narodowego była obarczona zbyt dużym ryzykiem. Wysunął jednocześnie kandydaturę szefa MSW Kiszczaka. Ta ostatnia zyskała przychylność Lecha Wałęsy. Kiszczak opowiadał: „Wałęsa [...] udzielił pełnego poparcia mej kandydaturze w wyborach na prezydenta, oświadczając, że 80–85 proc. parlamentarzystów Solidarności będzie głosowało za moją kandydaturą [...] Potem kiedy rozmowy już były bardziej konkretne z szefem OKP, Bronisławem Geremkiem, sprowadził to do 80–85 fizycznych głosów Solidarności. To i tak była ogromna liczba, dlatego że w zasadzie do wyboru mnie na prezydenta wystarczała".

Nie wiemy, dlaczego Wałęsa tak mocno wspierał kandydaturę Czesława Kiszczaka, ale pytanie o przyczyny takiej jego postawy w świetle dzisiejszej wiedzy o zawartości tzw. szafy Kiszczaka wydaje się w pełni zasadne. Dzień później w Warszawie odbyła się duża

eprasa.pl 4bd55e39c4

manifestacja zorganizowana przez Konfederację Polski Niepodległej, Ludowo-Demokratyczną Partię Niepodległość, Solidarność Walczącą oraz Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny „Solidarność" pod hasłem „Jaruzelski musi odejść", która przypieczętowała jego decyzję. Notabene manifestacja ta została brutalnie rozpędzona przez ZOMO. 3 lipca 1989 r. KPN rozpoczął pikietowanie Sejmu, które miało trwać aż do wyboru prezydenta. Kilka kolejnych pikiet zostało również spacyfikowanych przez ZOMO, co doprowadziło nawet do burzliwej dyskusji na forum Biura Politycznego KC PZPR, gdzie stawiano pytania o ewentualne prowokacje wobec kandydatury Czesława Kiszczaka na fotel prezydencki. Rakowski zanotował w swoim dzienniku: „Urban powiedział, że rozmawiał z [Czesławem] Pożogą, i ten przyznał, że była to prowokacja wymierzona w Kiszczaka".

JARUZELSKI WRACA DO GRY

Wzmocnienie pozycji Wojciecha Jaruzelskiego nastąpiło na przełomie pierwszej i drugiej dekady lipca 1989 r., gdy otrzymywał wsparcie z zagranicy. I to nie tylko od „bratnich partii". Pośrednio poparł go nawet prezydent Stanów Zjednoczonych George Bush, który w dniach 9–11 czerwca złożył wizytę w Polsce. W jej trakcie wielokrotnie chwalił on Jaruzelskiego, a w długiej rozmowie w cztery oczy namawiał go nawet do kandydowania. Wynikało to z tego, że w ocenie władz Stanów Zjednoczonych miał on być gwarantem procesu kontrolowanej demokratyzacji, ustalonej przy „okrągłym stole". Poparcia udzielił mu również sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Michaił Gorbaczow, z którym Wojciech Jaruzelski spotkał się w Bukareszcie. Notabene Gorbaczow był tam namawiany przez Nicolae Ceaușescu, sprawującego od ponad dwóch dekad dyktatorską władzę w Rumunii, do natychmiastowej interwencji zbrojnej w Polsce...

Tymczasem Jaruzelski – umocniony uzyskanym niespodziewanym poparciem – ponownie zmienił zdanie w sprawie kandydowania na urząd prezydenta. Jak argumentował 13 lipca 1989 r. w rozmowie z marszałkiem Senatu Andrzejem Stelmachowskim, skłoniły go do tego trzy elementy: postawa generalicji, reakcje zewnętrzne (w tym stanowisko Busha) i stanowisko Komitetu Centralnego PZPR. Jak stwierdzał, główną „przeszkodą" pozostawał fakt, że „Solidarność jednoznacznie opowiedziała się" za Czesławem Kiszczakiem. Nic zatem dziwnego, że sugerował: „Byłoby dobrze, żeby poparcie b. wyraźne [ze strony solidarnościowej – przyp. S.L., G.M.], dla Kiszczaka mogło zostać zrewidowane".

Ostatecznie 19 lipca 1989 r. Zgromadzenie Narodowe (połączony Sejm i Senat) wybrało go na ten urząd.

> SB informowała, że wybór Jaruzelskiego na prezydenta spotkał się jedynie „w niektórych środowiskach z zadowoleniem i satysfakcją"

Na 544 obecnych posłów i senatorów głosowało na niego 270 (233 było przeciw, a 34 wstrzymało się od głosu). Nie byłoby to możliwe, gdyby nie wsparcie posłów i senatorów OKP. Wobec postawy części posłów SD, ZSL, a nawet PZPR okazało się to nieodzowne. Dla wielu Polaków to był szok.

Po wyborze Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta PRL nadal kontestowano i protestowano przeciwko tej decyzji, lecz wydaje się, że nie miało to już większego znaczenia. 20 lipca 1989 r. Morawiecki napisał: „Nie uznajemy takiego prezydenta. 1. Ustanowienie prezydentem gen. Wojciecha Jaruzelskiego stanowi zniewagę większości Polaków. 2. Aktem tym strony uczestniczące w umowie okrągłego stołu sprzeniewierzyły się woli narodu wyrażonej w czerwcowych wyborach bojkotem i powszechnym skreślaniem komunistów. 3. Wynik głosowania w Zgromadzeniu Narodowym świadczy o tym, że Obywatelski Klub Parlamentarny mógł z powodzeniem zgłosić i przeforsować wybór własnego kandydata. Nie czyniąc tego, oddalił możliwość pokojowego przejścia do niepodległości i demokracji. 4. Nie uznajemy takiego prezydenta. Uważamy, że odsunięcie gen. Jaruzelskiego pozostaje ważnym moralnym i politycznym zadaniem polskiego społeczeństwa. 5. Nie wolno marnować historycznej szansy, jaką stwarza obecna sytuacja w ZSRR. Na kierownictwie S, na wszystkich posłach i senatorach spoczywa odpowiedzialność bezzwłocznej zmiany porządku prawnego. Jak najszybszego przeprowadzenia rzeczywiście wolnych wyborów".

SB informowała, że wybór Jaruzelskiego na prezydenta spotkał się jedynie „w niektórych środowiskach z zadowoleniem i satysfakcją", a także „wywołał liczne, zróżnicowane w tonie i treści wypowiedzi". Zadowolona miała być – co nie powinno zresztą nikogo dziwić – większość wypowiadających się pracowników urzędów centralnych. Podobnie jak „lewica literacka". Z kolei środowisko naukowe przyjęło go „dość powściągliwie", środowiska zakonne „ze zrozumieniem", a duchowieństwo oraz środowiska katolickie z „zadowoleniem i ulgą".

Bardziej krytyczni mieli być „niektórzy pracownicy" ze środowiska robotniczego, którzy formułowali zarzut, że wybór ten nie miał charakteru demokratycznego, gdyż zgłoszono tylko jedną kandydaturę. Jak podkreślali funkcjonariusze SB, przeciwnicy wyboru Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta podnosili głównie dwie kwestie – jego odpowiedzialność za wprowadzenie stanu wojennego (o tym, że „toczył wojnę z własnym narodem", wspominali nawet członkowie Klubu Parlamentarnego Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego), a także kiepską sytuację gospodarczą w ostatniej dekadzie PRL. Nie do nich jednak należała decyzja...

19 lipca 1989 r. pierwsza część propozycji Adama Michnika została spełniona. Na drugą trzeba było poczekać do 24 sierpnia, gdy Tadeusz Mazowiecki objął tekę prezesa Rady Ministrów. Ale to już inna historia...

eprasa.pl 4bd55e39c4



Fot. Shutterstock

Czechy u progu przesilenia

Premier Andrej Babiš, niedawny aliant Mateusza Morawieckiego z brukselskiego szczytu, ma ostatnio kłopoty wyraźnie większe niźli jego polski sprzymierzeniec



JAN ROKITA

Dopiero co, w sobotę 23 czerwca, ćwierć miliona Czechów zebrało się na Letenskiej Pláni, aby domagać się odejścia premiera swojego kraju, a także dymisji Marii Benešovej, doradczyni prezydenta Miloša Zemana, powołanej w kwietniu na nowego ministra sprawiedliwości. Podobno (tak twierdzą znawcy tradycji czeskich manifestacji) miało to być najliczniejsze polityczne zgromadzenie, do jakiego doszło w Pradze od czasu aksamitnej rewolucji 1989 r. Rzecz jednak nie działaby się w Czechach, gdyby nie było w niej swoistego haszkowskiego klimatu wydarzeń. Otóż organizatorami owej wielkiej, a także pięciu mniejszych, wcześniejszych antybabiszowych manifestacji nie są ani opozycyjne partie, ani żadne inne ważne instytucje społeczne. Zwołuje je działające od 2018 r. kilkuosobowe stowarzyszenie pod zdrobniałą nazwą „Milion chvilek pro demokracii", którego przywódcami są dwaj budzący sympatię studenci Uniwersytetu Karola: Benjamin Roll (teologia, 24 lata) i Mikuláš Minář (filozofia, 26 lat).

Dla czeskiego szefa rządu owe manifestacje są tym bardziej kłopotliwe, że ich bezpośrednim impulsem jest zaostrzający się konflikt Babiša z Komisją Europejską. W przesłanych w czerwcu do Pragi konkluzjach audytu, jaki na żądanie opozycji i czeskiego oddziału Transparency International przeprowadzili funkcjonariusze UE, zarzuca

eprasa.pl 4bd55e39c4

się Babišowi łamanie czeskiego prawa, w tym zwłaszcza ustawy o konflikcie interesów, uchwalonej w 2017 r. jako swoiste „lex Babiš", w celu utrudnienia przywódcy zwycięskiej partii ANO objęcia wówczas urzędu szefa rządu. I grozi nakazem zwracania przez Czechy unijnych dotacji.

TAKTYCZNE ATUTY

Geneza sporu ma już przeszło dwa lata, czyli tyle, ile Andrej Babiš zajmuje fotel czeskiego szefa rządu. Wygrywając wówczas wybory, jego partia ANO długo nie mogła stworzyć większości rządowej, gdyż w tradycyjnym czeskim establishmencie politycznym niemal wszyscy się zmówili, iż z ANO mogą tworzyć koalicję pod jednym warunkiem: że Babiš nie obejmie urzędu premiera. W końcu złamali się dopiero socjaldemokraci (ČSSD), a w zasadzie rzec by należało, iż nie tyle złamali się sami, ile złamał ich kluczowy sojusznik Babiša – prezydent Miloš Zeman, w przeszłości lider czeskiej lewicy. Dla zyskania parlamentarnej inwestytury Babiš skaptował w końcu także na swoją rzecz małą frakcję twardych komunistów (KSČM). Ale prawdę mówiąc, zgodnie z czeską konstytucją nawet bez tej inwestytury lider zwycięskiego ANO mógł sprawować władzę w kraju całkiem długo, gdyż Zeman otwarcie nie pozostawiał wątpliwości, iż niezależnie od wyników głosowań parlamentarnych nad rządem, i tak funkcję premiera gotów nawet wielokrotnie powierzać na nowo Babišowi.

Tymczasem powodem sprzeciwu „starych" partii wobec Babiša był ciągnący się latami zarzut pozyskania przezeń w przeszłości funduszów europejskich dla należącego doń holdingu rolno-chemicznego Agrofert, w sposób niezgodny z wymaganiami Brukseli. A ściślej mówiąc, rzecz idzie o cwaniacki chwyt, jakim posłużył się wówczas Agrofert, dzieląc się ad hoc na kilka firm, aby zyskać dotacje przeznaczone tylko dla niedużego biznesu. Nowa minister sprawiedliwości Benešová tym się właśnie teraz przeciwnikom premiera tak okropnie naraziła, że publicznie zbagatelizowała winę Agrofertu i jego ówczesnego szefa.

Na koalicji z ANO socjaldemokraci wyszli jak Zabłocki na mydle, gdyż zręczny Babiš sprowadził ich de facto do roli przystawki. Partia, która jeszcze nie tak dawno wygrywała wybory i rządziła Czechami, teraz w majowych wyborach europejskich otrzymała 4 proc. głosów, co zepchnęło ją poniżej progu wyborczego. Silniejsi okazali się w tej konkurencji nawet komuniści, o których czeska prasa pisze, iż pokoleniowo już wymierają. Tak naprawdę to od stanowiska ČSSD zależy, czy Babiš będzie mieć spokojną większość parlamentarną aż do terminowych wyborów 2021 r., czy też w obliczu kryzysu rządowego będzie musiał (oczywiście wraz z zaprzyjaźnionym prezydentem) szukać innych sposobów na utrzymanie władzy. Obaj mogliby się ewentualnie zdecydować na przedterminowe wybory, które ANO zapewne wygra, będąc niekwestionowanym liderem sondaży. Albo też próbować na dłuższą metę rządu prezydenckiego, przy otwartym konflikcie z większością parlamentarną. Babiš mógłby także zrezygnować z osobistego kierowania rządem, zachowując nad nim polityczną kontrolę i wyznaczając na premiera kogoś ze swoich lojalnych podwładnych. Ale nic dziwnego, że socjaldemokraci w dzisiejszych warunkach boją się otworzyć kryzys rządowy, którego konsekwencje nie są dla nich do końca przewidywalne. A zawsze w takiej sytuacji mogłoby dojść do nowych wyborów, w których ČSSD groziłaby marginalizacja, a może nawet całkowite wypadnięcie z parlamentarnej polityki. Sojusz z Zemanem i strach socjaldemokratów to najsilniejsze obecnie taktyczne atuty Babiša.



SPÓR Z BRUKSELĄ

Strapieniem Babiša jest natomiast Bruksela, całkiem podobnie jak Morawieckiego. Na wstępne wyniki audytu przysłanego mu przez Komisję Europejską czeski premier zareagował gniewnie. Określił je mianem „ataku na Czechy", a opozycyjne wobec niego instytucje, takie jak czeska Transparency International, uznał za skorumpowane. Brukselscy audytorzy zaatakowali bowiem premiera za to, iż choć oddał on należący do niego holding pod zarząd powierniczy, to jako premier i tak może nadal, zgodnie ze swymi kompetencjami, wywierać wpływ na owe fundusze powiernicze, a na dodatek jego interesy reprezentuje tam żona. To właśnie ma tworzyć stan konfliktu interesów naruszający specustawę z 2017 r.

Stronnicy premiera nie bez racji podnoszą, iż w żadnym razie Bruksela nie może rozszerzać swoich uprawnień w taki sposób, aby przejmować od państw prawo do interpretowania ich własnych ustaw. ANO jest bowiem przekonane, iż jego szef dostosował w pełni sposób zarządzania Agrofertem do wymogów czeskiego prawa. Rzecz jednak w tym,

eprasa.pl 4bd55e39c4

że podobnie jak w Polsce, w Brukseli czynnie działa przeciw Babišowi czeska opozycja, licząc na to, iż uda jej się zmusić premiera do dymisji dzięki akcjom podejmowanym przez instytucje unijne. Gdyby nie silny czeski lobbing przeciw Babišowi w Unii, jego brukselskie kłopoty byłyby mniejsze co najmniej o połowę. Opozycja liczy najbardziej na to, że w końcu Unia zażąda zwrotu jakichś źle rozdysponowanych dotacji do czeskiej gospodarki, a to przechyli szalę wśród Czechów na niekorzyść premiera. Ale choć ta groźba miała być przedmiotem badań audytorów, ponoć cały audyt nie dostarczył wystarczających podstaw dla jej realnego spełnienia. Tak przynajmniej wynika z prasowych przecieków, bo sam dokument audytorów jest na razie poufny, do czasu gdy rząd czeski nie udzieli odpowiedzi, a Komisja Europejska nie zajmie stanowiska.

Babiš ma także dość kłopotliwą sytuację w swojej liberalnej partyjnej „rodzinie" europejskiej. W przeciwieństwie do Morawieckiego Babiš jest z przekonań gospodarczym liberałem. Nie przyszło by mu do głowy pomstować na prywatyzację czy zagraniczny kapitał albo zaprzęgać rząd do wykupu prywatnych banków lub konstruowania „krajowych" samochodów. Babiš ma za to całkiem inną agendę poważnych konfliktów z unijnymi liberałami: sprzeciwia się wyśrubowanym celom europejskiej polityki klimatycznej (na tym polu sojusz polsko-czeski zdradziła niedawno Słowacja), a także trzyma się razem z Morawieckim w kwestiach polityki imigracyjnej.

Liberałowie, którzy właśnie teraz żądają w Parlamencie Europejskim ostracyzmu wobec Polaków i Węgrów m.in. z tych właśnie powodów, mają coraz bardziej nie po drodze z Babišem, traktowanym zwłaszcza po ostatnim unijnym szczycie jako niemal „piąta kolumna". Spektakularny sojusz Babiša z Morawieckim i Orbánem przy wyborze najwyższych władz Unii wyraźnie pogorszył notowania czeskiego premiera w Brukseli. Więc coraz bardziej prawdopodobne, iż jest tylko kwestią czasu, kiedy partia ANO zacznie mieć otwarte problemy w liberalnej „rodzinie", a sam Babiš stanie się obiektem politycznego ataku przy okazji ostatecznego raportu Komisji na temat sprawy Agrofertu. Jeśli chadecko-socjalistyczno-liberalno-zielona koalicja, która wykluwa się teraz w Brukseli, uzna za stosowne dołączyć Babiša do grona unijnych czarnych owiec, zrobi to z łatwością, używając przeciw czeskiemu premierowi po prostu zarzutu korupcji.

> Gdyby nie silny lobbing czeskiej opozycji przeciw Babišowi w Unii, jego brukselskie kłopoty byłyby mniejsze co najmniej o połowę

MILION CHVILEK

Stanie się to jasne jesienią, kiedy poznamy ostateczny raport Komisji w sprawie Agrofertu i zwrotu przez Pragę europejskich funduszy. Na taki jesienny kalendarz najwyraźniej przygotowują się przeciwnicy Babiša. Po oszałamiającym sukcesie 23 czerwca na Letenskiej Pláňi dwaj liderzy Miliona chvilek, którzy wyrośli nagle na prawdziwych ludowych przywódców, wyznaczyli następny dzień masowego protestu dopiero na sobotę 16 listopada. Roll i Minář najwyraźniej zakładają, że będą już wtedy znane ostateczne wnioski Komisji, a Babiš znajdzie się w ich wyniku pod pręgierzem. Widać, że myślą o tym, aby powtórką Letenskiej Pláňi, może nawet o bardziej zdecydowanym wydźwięku, dobić politycznego zwierza, który ma być już wystarczająco zraniony przez Brukselę. Siła i słabość takiej kalkulacji tkwi w jednym i tym samym.

O ile Milion chvilek, a wraz z nim „stara" anybabiszowa opozycja, stawia nie bez racji na mobilizację przeszło 40 proc. Czechów, którzy wedle sondaży domagają się dymisji szefa rządu, o tyle sam premier i partia ANO liczą także na ponad 40 proc. Czechów gotowych bronić Babiša. Bo choć ANO ma stabilne poparcie w przedziale między 20–30 proc., to gdy idzie o stosunek do dalszych rządów Babiša, Czesi są podzieleni niemal równo pół na pół. Na rzecz Babiša działać będzie również to, iż (jak pokazuje badanie Eurostatu) po wyjściu z Unii Wielkiej Brytanii, to Czechy będą na pierwszym miejscu listy krajów z najwyższym odsetkiem (ok. 1/4) wyborców gotowych głosować za wyjściem z UE. Wiele zatem wskazuje na to, że kryzys polityczny u sąsiadów dopiero się zaczął. A na jesieni można się spodziewać w Pradze prawdziwego politycznego przesilenia.



Fot. Shutterstock (2)

eprasa.pl 4bd55e39c4



Nagrodzeni tytułem Przyjaciel Polskiej Gospodarki uczestnicy pierwszego Forum wGospodarce.pl

Przyjaciele polskiej gospodarki

Uroczysta gala na Zamku Królewskim w Warszawie była finałowym akordem tegorocznego projektu Forum wGospodarce.pl. W uroczystości wzięli udział premier Mateusz Morawiecki, ministrowie: Jadwiga Emilewicz, Jerzy Kwieciński i Marek Zagórski, oraz przedstawiciele globalnych firm inwestujących w Polsce

Ideą prowadzonych od lutego debat, w których uczestniczyli przedstawiciele administracji, eksperci i reprezentanci firm z kapitałem zagranicznym, było wskazanie wartościowych inwestycji zagranicznych w Polsce. Przedstawiciele globalnych marek inwestujących w Polsce, którzy wzięli udział w I edycji Forum wGospodarce.pl, zostali uhonorowani tytułem Przyjaciel Polskiej Gospodarki.

– Postanowiliśmy się zmierzyć z wieloma stereotypami narosłymi przez ostatnie 30 lat, a dotyczącymi zagranicznych firm inwestujących w Polsce. Uznaliśmy, że najlepszymi narzędziami do realizacji tego zadania będą debaty eksperckie z przedstawicielami przedsiębiorstw z kapitałem zagranicznym oraz decydentami odpowiedzialnymi za nadzór i realizację strategii gospodarczej państwa. Od lutego do czerwca odbyło się sześć debat, w których przedstawiciele administracji rządowej spotykali się ze środowiskiem przedsiębiorców reprezentujących kapitał zagraniczny. Okazało się, że pojęcie patriotyzmu gospodarczego nie stoi w sprzeczności ze wspieraniem inwestycji zagranicznych – mówił, inaugurując galę finałową, Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej".

PRZYJAZNE ŚRODOWISKO INWESTYCYJNE

Podczas gali głos zabrała Jadwiga Emilewicz, minister przedsiębiorczości i technologii, która bardzo aktywnie wspierała projekt Forum wGospodarce.pl, osobiście biorąc udział w wybranych debatach.

– Kto to jest przyjaciel polskiej gospodarki – to oczywiście polski przedsiębiorca, to ktoś, kto przyczynia się do naszego wzrostu gospodarczego. Ale to także zagraniczni inwestorzy, którzy często rozpoczynali swoje inwestycje na początku transformacji ustrojowej, traktując wówczas Polskę jak „stół montażowy". Jednak dzisiaj ci, którzy zakorzenili się w Polsce, wnoszą bardzo wiele, głównie poprzez budowanie centrów badawczo-rozwojowych. Dziś zagraniczni inwestorzy nie szukają już u nas taniej siły roboczej, bo ta siła się po prostu skończyła. My ze strony administracji zrobiliśmy już bardzo dużo, by poprawić warunki prowadzenia działalności gospodarczej w Polsce, a nasze starania znajdują odzwierciedlenie we wszelkich niezależnych zagranicznych rankingach. Ale plany mamy takie, że chcemy dla inwestorów, zwłaszcza tych, którzy chcą u nas inwestować w badania, zrobić jeszcze więcej – zapowiedziała minister Emilewicz.

Jerzy Kwieciński, minister inwestycji i rozwoju, wskazał, że konsekwentna realizacja Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju przyczynia się do tworzenia przyjaznego środowiska, także dla inwestorów zagranicznych.

– To wielka przyjemność być na gali i spotkać się z przyjaciółmi polskiej gospodarki. Cieszę się, że mamy takich przyjaciół wśród inwestorów zagranicznych. Rząd chce działać trochę jak przedsiębiorstwo ze swoim biznesplanem. Cztery lata temu prognozy były bardzo chłodne dla naszego rządu, a to, co teraz widzimy, często określane jest jako polski cud gospodarczy. Współpraca z zagranicznymi inwestorami jest dla nas priorytetem i jest zapisana w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Warto podkreślić, że jeśli chodzi o skalę, to strumień inwestycji zagranicznych jest porównywalny ze strumieniem funduszy strukturalnych UE. Bardzo chcemy zapraszać inwestycje oparte na wiedzy, na wysokich technologiach i przyznam szczerze, że to nasze precyzyjne formułowanie oczekiwań spotkało się z dużym uznaniem. Życzymy kapitałowi zagranicznemu sukcesów w Polsce, chcemy być partnerem i sądzę, że będziemy – prognozy mamy bardzo dobre – zakończył minister Kwieciński.

PRZED NAMI GOSPODARKA 4.0

Marek Zagórski, minister cyfryzacji, zwrócił uwagę, jak ważna w rozwoju dobrego otoczenia dla innowacyjnego biznesu jest nowoczesna infrastruktura cyfrowa.

Zdjęcia Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4bd55e39c4

– To nasze wspólne zadanie, żebyśmy byli przyjaźni dla inwestorów. Jednym z obszarów jest przyjazna administracja, oparta na dobrych e-usługach. Tutaj mamy dużo sukcesów, począwszy od portalu, gdzie przedsiębiorca większość spraw załatwia online. Drugi obszar to niezbędna infrastruktura cyfrowa, bez której nie będzie się rozwijać przemysł 4.0. To sieć umożliwi rozwijanie kompetencji naszych obywateli. Do tego wszystkiego jednak potrzebna jest dobra legislacja. Mamy ustawę, która pozwala rozwijać sieci szerokopasmowe, wiemy, jak uwolnić dane, które są paliwem rozwoju cyfrowego – mówił Marek Zagórski.

Jak podkreślał Maciej Woźko, to właśnie ostatnia debata tegorocznego Forum wGospodarce.pl, poświęcona udziałowi inwestorów globalnych w rewolucji przemysłowej 4.0 w Polsce, zgromadziła najwięcej uczestników i cieszyła się ogromnym zainteresowaniem. Choć emocji i żywych dyskusji nie brakowało również w pozostałych debatach poświęconych udziałowi kapitału zagranicznego w budowaniu polskiego rynku pracy, zaangażowaniu w polską naukę i badania, zmianach w legislacji przyjaznym inwestorom oraz w równie ciekawym spotkaniu poświęconym współpracy gospodarczej między Polską a Stanami Zjednoczonymi.

NAGRODY DLA PARTNERÓW

Wszyscy partnerzy Forum wGospodarce.pl zostali uhonorowani tytułem Przyjaciela Polskiej Gospodarki. Tegoroczne nagrody podczas uroczystości na Zamku Królewskim odebrali reprezentanci: Japan Tobacco International, Philip Morris Polska, McDonald's Polska, Samsung Electronics Polska, Alba Group, Brtitish American Tobacco Polska, Coca-Cola, Deloitte, General Electric, Google, Innogy, Novartis, Pfizer Polska, Polskiej Organizacji Handlu i Dystrybucji, Orange Polska i Strabag.


Gościem specjalnym gali finałowej Forum wGospodarce.pl był premier Mateusz Morawiecki

Relacje ze spotkań, debat i dyskusji redakcja konsekwentnie publikowała na łamach „Sieci", „Gazety Bankowej" i w portalach wGospodarce.pl oraz wPolityce.pl. Na stronach specjalnego raportu z Forum znalazły się też artykuły premiera Mateusza Morawieckiego, Adama Kwiatkowskiego, ministra w Kancelarii Prezydenta RP. Raport ekspercki z I Forum wGospodarce.pl dostępny jest już na www.gb.pl oraz w aplikacji „Gazety Bankowej" i w Sieci Przyjaciół.

(bart)

Forum wGospodarce.pl

Dziękujemy partnerom projektu

PATRONAT HONOROWY:

Ministerstwo Cyfryzacji
MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU
MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII
Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej PATRONAT HONOROWY
Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Polska Agencja Inwestycji i Handlu Grupa PFR

PARTNERZY STRATEGICZNI:

JTI
PHILIP MORRIS POLSKA

PARTNERZY GŁÓWNI:

SAMSUNG

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

ALBA
British American Tobacco Polska
Coca-Cola
Deloitte.
General Electric
Google
innogy
NOVARTIS
Pfizer
POHiD
orange
STRABAG

PL1905684596

eprasa.pl 4bd55e39c4



Orlen i Lotos: Przejęcie, na którym skorzystają wszyscy

Sytuacja, w której w jednym, niezbyt przecież dużym, kraju europejskim funkcjonują dwa niezależne od siebie koncerny paliwowe, jest ewenementem

W Europie – poza Rosją – jest jeszcze tylko jeden kraj, w którym funkcjonują dwa koncerny z branży paliwowo-energetycznej, które mają zbliżoną strukturę właścicielską. W Wielkiej Brytanii działa bowiem British Petroleum oraz Shell. Tyle tylko, że BP to jest gigant operujący na wielu rynkach, z mocno rozbudowaną częścią poszukiwawczą i wydobywczą. To trzecia co do wielkości firma naftowa na świecie. Z kolei Shell jest tylko częściowo brytyjski, bo to efekt fuzji z holenderskim koncernem, na dodatek jest jeszcze większy niż BP i działa również na wielu, wielu rynkach, z gazem włącznie. Tymczasem my mamy w Polsce dwie firmy – PKN Orlen z kapitalizacją na poziomie ok. 40 mld zł i Lotos z ok. 15 mld zł – które próbują konkurować z wielokrotnie większymi gigantami, i to na własnym rynku, chyba że Komisja Europejska zaakceptuje wniosek PKN Orlen o zgodę na przejęcie Lotosu.

DWÓCH TO ZA DUŻO

Osoby związane z rynkiem paliwowym od dawna mówią, że funkcjonowanie dwóch firm z branży paliwowo-energetycznej tej wielkości jest sytuacją trudną do uzasadnienia i niezdrową. Połączenie obu firm dałoby znaczne korzyści na poziomie operacyjnym. Każdy wzrost masy firmy powoduje, że staje się ona bardziej wartościowym partnerem dla dostawców. To przekłada się na cenę najważniejszego surowca, jakim posługują się firmy paliwowe, czyli ropy. Nawet niewielkie obniżki dają tu ogromne oszczędności. Pól do wspólnego działania jest więcej – można oszczędzić na zamówieniach, na remontach, firmy też mogą lepiej się uzupełniać przy produkcji. Jeśli instalacja jednej z nich będzie akurat przechodzić planowany remont, to paliwo na rynek polski będzie mogła dostarczyć druga. Obecnie sytuacja wy-

eprasa.pl 4bd55e39c4



Fot. Andrzej Skwarczyński | 13/0719/F

Połączenie PKN Orlen i Grupy Lotos to szansa dla obu firm. Powstanie podmiot, któremu łatwiej będzie rywalizować z zagraniczną konkurencją

gląda tak, że gdyby Lotos musiał ograniczyć dostawy, uzupełnienie musiałby kupować na rynku, Orlen zaś musiałby paliwo dostarczyć ze swoich rafinerii, ale z zagranicy – a to są koszty.

Jest jeszcze więcej pól, na których obie firmy mogłyby współpracować – Lotos jest podmiotem znacznie mniejszym, ale ma całkiem nieźle rozwinięty segment wydobywczy, ma także własne złoża ropy na Bałtyku. Oczywiście, są one za małe na potrzeby samego Lotosu, ale doświadczenie w pracy na morzu byłoby bezcenne, gdyby np. po połączeniu nowy koncern zdecydował się na większe inwestycje w wydobycie z dna morskiego. Orlen z kolei ma znacznie większe doświadczenie w działalności w różnych krajach – więc po fuzji znacznie łatwiej będzie sprzedawać produkty z Gdańska np. poprzez sieć Orlenu w Niemczech.

Poza tym – co tu kryć – Lotos jest znacznie mniejszą firmą niż PKN Orlen, jest gorzej zdywersyfikowany zarówno geograficznie, jak i produktowo. Gdyby doszło do rewolucji w napędach samochodów, choćby związanych z wykorzystaniem na szeroką skalę samochodów elektrycznych, Lotos po prostu mógłby tego nie przetrwać. PKN Orlen miałby większe szanse, zwłaszcza że ostatnio inwestuje w swoje części petrochemiczne i nawozowe.

OBAWY NIECO NA WYROST

To, że fuzja byłaby korzystna dla obu podmiotów i że dałaby im znaczne korzyści, jest oczywiste. Ale wskazuje się na zagrożenia. Jedną z nich jest możliwy wzrost cen paliw wskutek ograniczenia konkurencji na rynku.

Kłopot w tym, że jest to argument całkowicie chybiony. Polski rynek jest bardzo konkurencyjny w tym obszarze i to się w przyszłości nie zmieni. Wszyscy gracze podlegają tym samym mechanizmom. O ostatecznej cenie paliwa na stacjach decyduje wiele czynników makroekonomicznych – notowania ropy naftowej, kurs dolara amerykańskiego do złotego, relacja popyt–podaż. Od kilku lat firmy działają w warunkach wysokiego popytu na paliwo, zarówno globalnego, jak i krajowego. To właśnie ten popyt kształtuje cenę detaliczną. W związku z dużym zapotrzebowaniem na paliwa efektywne i nowoczesne rafinerie, jak zakład produkcyjny w Płocku, mogą optymalizować pewne procesy i produkować po najniższym koszcie. W przypadku połączenia PKN Orlen i Grupy Lotos zwiększą się możliwości optymalizacji procesów, efektywności i nowych inwestycji, co korzystnie przełożyłoby się również na rynek paliw, w tym stabilność cen. Wbrew obiegowej opinii koncerny paliwowe nie zarabiają najwięcej wtedy, gdy cena paliwa na stacji jest bardzo wysoka. Jest wręcz odwrotnie. Bo krótkotrwała korzyść lub szybki zysk nie mogą odbywać się kosztem długotrwałego rozwoju i trwałego popytu na rodzimym rynku.

WZMOCNI SIĘ POZYCJA KONKURENCYJNA

Sprawa przejęcia Lotosu przez Orlen wkracza teraz w decydującą fazę. Kilka dni temu Orlen przesłał do Brukseli wniosek o zgodę na przejęcie i teraz oczekuje na to, co się wydarzy. Sprawa nie powinna budzić wątpliwości w kontekście już zrealizowanych procesów konsolidacyjnych w Europie. Możemy liczyć, że Komisja Europejska zastosuje te same kryteria merytoryczne, jakie były brane pod uwagę przy okazji fuzji w krajach tzw. starej UE. Chociaż konkurencyjne firmy z branży mogą postrzegać konsolidację w Polsce jako kłopot. Przede wszystkim po połączeniu obie firmy będą w stanie poprawić swoją sytuację finansową dzięki oszczędnościom. A to oznaczać może nowe inwestycje – choćby w petrochemię, co zagrozić może pozycji dostawców z innych krajów, czy w produkcję nawozów. Można sobie wyobrazić także ekspansję nowego podmiotu na inne rynki w Europie, wręcz z przejęciami. To może być Europa Wschodnia – np. Ukraina, która może wkrótce zechcieć odejść od paliw dostarczanych z Rosji – albo Europa Południowa.

Polskie firmy potrzebują także większych inwestycji w wydobycie, a ich połączenie da możliwość zwiększenia nakładów na ten cel. Na szczęście przykłady procesów konsolidacyjnych w Europie pokazują, że KE stosuje merytoryczne standardy i bierze pod uwagę korzyści płynące dla krajowych gospodarek.

(MS)

eprasa.pl 4bd55e39c4

Konsolidacja to konieczność

Krajowe firmy paliwowe działające w Europie proces konsolidacji mają już dawno za sobą. Polski rynek dopiero staje przed tym wyzwaniem

Fuzje i przejęcia w branży paliwowej to chleb powszedni. Do 2015 r., przez dwa, trzy lata, kiedy notowania ropy mocno spadły i kryzys na rynku naftowym dał się koncernom we znaki, firmy ograniczyły zakupy. Ale gdy tylko ropa wróciła do łask, transakcje M&A – mergers and acquisitions – znowu nabrały wiatru w żagle.

FUZJI NIE BRAKUJE

Firma consultingowa A.T. Kearney, systematycznie monitorująca rynek ropy i gazu, w raporcie „Mergers and acquisitions in oil and gas 2017: the fog is lifting" (Mgła się podnosi), podaje kilka kluczowych danych dotyczących transakcji M&A: we wrześniu 2016 r. wartość transakcji fuzji i przejęć wyniosła 119 mld dol., w październiku – 121 mld dol., a w listopadzie – 128 mld dol. To znacznie więcej niż w 2015 r., kiedy była ona kilkukrotnie niższa. W pierwszej połowie 2017 r. wartość transakcji M&A skoczyła do ok. 184 mld dol.

W zeszłym roku też było nieźle. Według raportu EY „Global oil and gas transaction review 2018" wartość fuzji i przejęć wzrosła o 23 proc., do 426,8 mld dol. Rekordowy okazał się rynek midstream, czyli szeroko rozumianej logistyki naftowo-gazowej, który skoczył aż o 128 proc., do 193,1 mld dol. Na rynku fuzji i przejęć wciąż panuje dobry klimat, choć firmy nauczone doświadczeniem kryzysu sprzed kilku lat są bardzo ostrożne. – Firmy będą nadal powściągliwe w sposobie wydawania gotówki. Przewidujemy jednak, że inne źródła finansowania wzmocnią wzrost aktywności fuzji i przejęć w 2019 r. – twierdzi Andy Brogan z EY.

Czym są „inne źródła finansowania"? To różnego rodzaju instytucje finansowe, od banków po fundusze, które nabrały większego zaufania do sektora, gdy ten zmienił akcenty i mocniej zaczął stawiać na takie dziedziny działalności, jak petrochemia. Koncerny od dwóch lat modyfikują swoje strategie, wychodząc z założenia, że rynek zmienia się w szybkim tempie i świat rządzony przez ropę powoli zacznie odchodzić w przeszłość. Paliwa alternatywne, samochody elektryczne, ekologia i szerokie zastosowanie dla produktów petrochemicznych zaczynają zajmować coraz więcej miejsca w strategiach takich koncernów, jak Orlen, MOL, OMV czy Repsol.

Bankom to się podoba, dlatego coraz przychylniej spoglądają na fuzje w sektorze naftowym. Pisze o tym A.T. Kearney, cytowany przez polski think tank WEI: inwestorzy finansowi stają się bardziej skorzy do finansowania transakcji.

Rosnące zaufanie do branży to dobry prognostyk dla konsolidacji, która ma się dokonać na polskim rynku. Połączenie PKN Orlen i Grupy Lotos może liczyć na przychylność sektora finansowego, który nie ma już obaw przed nadmiernym ryzykiem.

NA SZEROKIE WODY

Czy z równą przychylnością polska konsolidacja spotka się w Brukseli, która musi wydać zgodę na połączenie? 3 lipca Orlen złożył w Komisji Europejskiej formalny wniosek o zgodę na przejęcie kapitałowe Grupy Lotos.

– W biznesie skala ma znaczenie. Rozumieją to wszyscy duzi europejscy i światowi gracze w branży paliwowo-energetycznej, którzy procesy konsolidacyjne mają dawno za sobą. Jeden silny podmiot to możliwość skutecznego konkurowania na wymagającym rynku, większa stabilność krajowej gospodarki, również w obszarze cen paliw, a także intensyfikacja inwestycji ukierunkowanych na rozwój – twierdzi Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen.

Łączenie sił, przejmowanie biznesów, budowanie siły koncernu na coraz trudniejszym i coraz bardziej konkurencyjnym rynku to zjawiska charakterystyczne dla całej branży paliwowej. Na akwizycje, konieczne na globalnym rynku, mogą sobie pozwolić tylko silni gracze, którzy przeszli proces konsolidacji, połączyli się z innymi podmiotami krajowymi i stworzyli konglomeraty liczące się w Europie.

Przez procesy konsolidacyjne przeszedł np. węgierski MOL, norweski Statoil, hiszpański Repsol, portugalski Galp Energia, włoskie ENI, austriackie OMV, francuski Total. Żadne z tych połączeń nie zagroziło konkurencji ani na rynku paliw, ani logistyki, pozwoliło natomiast każdemu z rodzimych graczy wejść na rynki światowe z dużo większym impetem niż wówczas, gdy każdy z nich działał samodzielnie.

Tak stało się z francuskim Totalem, który powstał w 1924 r. jako Compagnie Française des Pétroles – CFP i od początku swojego istnienia chętnie kupował inne spółki, m.in. tureckie i belgijskie (Petrofina). W 2000 r. przejął za 54 mld dol. francuską Elf Aquitaine (przez pewien czas koncern funkcjonował pod nazwą TotalFinaElf). Najnowsze zakupy to amerykański SunPower, produkujący panele słoneczne (transakcja odbyła się w 2011 r., Francuzi zapłacili 1,4 mld dol.) oraz wchłonięcie duńskiego Maersk Oil. Dzięki tej ostatniej transakcji, wartej 7,45 mld dol., której domknięcie nastąpiło w 2018 r., powstał drugi co do wielkości operator na

eprasa.pl 4bd55e39c4

polach wydobywczych Morza Północnego i siódma firma naftowa na świecie.

Struktura firmy Repsol – największego hiszpańskiego koncernu paliwowego, funkcjonującego od 1920 r. – ukształtowała się również w wyniku konsolidacji krajowego rynku. Stało się to ostatecznie w 1987 r., kiedy doszło do połączenia rodzimych firm petrochemicznych. Repsol uchodzi dziś za jedną z najnowocześniejszych na świecie kompanii naftowych, jest bardzo aktywny w sportach motorowych. Ten światowy potentat działa aż w 37 krajach.

Przez proces krajowej konsolidacji przeszła też dominująca na portugalskim rynku paliwowo-naftowym spółka Galp Energia, która narodziła się z połączenia firm: Sacor (jednej z pierwszych portugalskich firm naftowych), Cidla, Sonap, Petrosul i Petrogal.

Austriacki OMV oraz węgierski MOL również mają za sobą tę drogę. Teraz każdy z nich działa z powodzeniem na rynkach międzynarodowych, wchodząc nawet na takie obszary, jak wydobycie ropy.

Krajowe połączenia wynikają zarówno z potrzeby zwiększenia potencjału rodzimej gospodarki, jej bezpieczeństwa, a także z chęci wejścia na nowe, bardziej perspektywiczne rynki. Tak było w grudniu 2006 r., kiedy dwa największe norweskie koncerny energetyczne – Statoil (w maju 2018 r. zmienił nazwę na Equinor; a kilka lat temu sprzedał swoją działalność detaliczną, której nabywcą została kanadyjska firma Couche-Tard, obecnie prowadząca stacje paliw pod brandem Circle K) i Norsk Hydro – ogłosiły, że chcą dokonać wartej ok. 28 mld dol. fuzji. Komisja Europejska zgodziła się na nią stosunkowo szybko, bo w maju 2007 r. W rezultacie powstała największa na świecie firma prowadząca wydobycie ropy i gazu z dna morskiego o nazwie StatoilHydro.

KONKURENCJA Z AZJI

Nie wiadomo, w jakim tempie potoczą się negocjacje Orlenu z Komisją Europejską. W każdym razie oficjalny proces już się rozpoczął, machina ruszyła, koncern dostarczył odpowiednie dokumenty.

Zapewne droga nie będzie łatwa, o czym przekonali się już europejscy giganci, np. Alstom i Siemens Mobility. Komisja Europejska zablokowała ich fuzję w lutym br., twierdząc, że transakcja mogłyby doprowadzić do wzrostu cen systemów sygnalizacyjnych (fuzja dotyczyła rynku kolejowego).

Decyzja KE wywołała sporo kontrowersji, zwłaszcza że firmy europejskie muszą się szykować do starcia z potężnymi korporacjami z Azji. Podczas Forum Biznesu Bałkanów Zachodnich w Poznaniu ministrowie z Francji, Niemiec i Polski podpisali deklarację w sprawie unijnej polityki konkurencji. Deklaracja to sygnał dla KE, że dla dobra członków UE powinno rozważyć się bardziej elastyczne podejście do procesów konsolidacyjnych.

– Naszym celem jest modernizacja europejskiej kontroli fuzji, sugerujemy nowe wytyczne pozwalające na uwzględnienie globalnej konkurencji – powiedział DGP podczas Forum Peter Altmaier, niemiecki minister gospodarki i energii.

Problem dotyczy nie tylko rynku kolejowego i motoryzacyjnego, ale również paliwowego. Na Bliskim Wschodzie i w Azji powstają nowoczesne, zautomatyzowane rafinerie kierujące produkcję na rynki globalne. Rafinerie te korzystają z dostępu do taniej ropy oraz z mało restrykcyjnych regulacji środowiskowych i klimatycznych.

Na takim rynku będą się liczyć tylko podmioty zintegrowane, o dużej sile przebicia.

(SK)



Fot. Andrzej Skwarczyński | 13/07.19/F

eprasa.pl 4bd55e39c4

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

www.naj.lotos.pl



eprasa.pl 4bd55e39c4

NAJ Z KAŻDEJ STRONY



Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.

LOTOS

eprasa.pl/4bd55e39c4

Elektrownie jądrowe, ale jakie

Czy Polska ma budować elektrownie jądrowe najnowszej, III generacji, czy też czekać na małe reaktory tzw. SMR?



ANDRZEJ STRUPCZEWSKI

Rozwój energetyki jądrowej rozpoczął się w połowie XX w. od budowy reaktorów małej mocy od 60 do 240 MWe. Wkrótce się okazało, że dla zapewnienia czystej i bezpiecznej pracy elektrowni jądrowej trzeba ją wyposażyć w układy zapewniające regulację mocy reaktora, jego bezpieczne wyłączenie i schłodzenie oraz w obudowę bezpieczeństwa, powstrzymującą ucieczki produktów radioaktywnych z reaktora. Wszystko to kosztuje. Nakłady na te cele są wysokie i słabo zależne od mocy reaktora. W przeliczeniu na jednostkę mocy reaktora nakłady inwestycyjne są tym mniejsze, im większa jest jego moc. Dlatego moc elektrowni II generacji wynosiła od 900 do 1300 MWe, a moc elektrowni z reaktorami III generacji – od 1100 do 1600 MWe. To zapewniło im konkurencyjność ekonomiczną.

BARIERA EKONOMICZNA

Powrót do reaktorów małej mocy oznacza znaczny wzrost nakładów inwestycyjnych na jednostkę mocy. Chociaż nakłady inwestycyjne płacone przez inwestora przypadające na jeden reaktor są mniejsze, a czas budowy elektrowni krótszy, to jednak moc reaktora jest dużo mniejsza. Dla przykładu, aby uzyskać tyle energii elektrycznej, ile daje jeden reaktor EPR o mocy 1600 MWe, trzeba zbudować 32 reaktory SMR o mocy 50 MW każdy. A do czasu budowy w miejscu lokalizacji elektrowni trzeba dodać czas potrzebny na wyprodukowanie reaktorów w fabryce należącej do firmy proponującej reaktory SMR takiej jak Westinghouse lub NuScale. Do nakładów inwestycyjnych ponoszonych przez inwestora dochodzą nakłady inwestycyjne na stworzenie bazy produkcyjnej. Tymczasem taka baza może powstać tylko, jeśli zapewniony jest zbyt na dużą serię takich reaktorów. Dotychczas nie było bodźców ekonomicznych do produkcji reaktorów SMR. Dlatego część projektów SMR porzucono.

Wśród zalet SMR wymienia się często bezpieczeństwo i prostotę. Jednak argument dotyczący prostoty jest złudny. Proste są koncepcje na papierze. Realne projekty mają stopień skomplikowania tylko niewiele mniejszy niż reaktory wielkie, co przekłada się na większy koszt systemów bezpieczeństwa w przeliczeniu na jednostkę mocy. W przypadku koncepcji dominujących reaktorów lekkowodnych większość systemów SMR zawiera podstawowe komponenty, takie jak w klasycznej elektrowni (stabilizator ciśnienia, wytwornice pary i zbiornik ciśnieniowy reaktora). Ilość potrzebnych rurociągów w jednym reaktorze jest mniejsza, dzięki czemu spada prawdopodobieństwo zajścia awarii utraty wody chłodzącej, ale z kolei przy obsłudze 32 reaktorów zamiast jednego prawdopodobieństwo awarii rośnie. W przypadku kilkunastu

11/0719/F



eprasa.pl/4bd55e39c4

lub więcej modułów pracujących równolegle operator ma za zadanie kontrolować pracę kilkunastu reaktorów w tym samym czasie. A błędy ludzkie są głównym powodem incydentów lub awarii reaktorowych. Warto też zwrócić uwagę, że każda drobna usterka modułowego reaktora będzie wymagała specjalistycznego, czasochłonnego i kosztownego rozbierania całego zestawu, na czym skorzysta finansowo producent reaktora (serwis), ale straci właściciel elektrowni, który będzie musiał płacić za każdą naprawę i poniesie straty z powodu długiego przestoju w produkcji energii.

Ze względu na to, że SMR dostarczane są jako gotowe moduły, skraca się czas montażu jednostki na placu budowy. Należy jednak pamiętać, że konieczne są rozległe prace poprzedzające wyprodukowanie elementów modułowych tego reaktora (budowa „fabryki reaktorów"), a to oznacza dodatkowy czas i koszty przed rozpoczęciem samej budowy.

Największą zaletą SMR jest stosunkowo niewielki koszt inwestycyjny jednego bloku, cóż z tego jednak, skoro jest on w stanie zapewnić jedynie ułamek energii produkowanej w klasycznym, sprawdzonym reaktorze o większej skali? Rzeczywiste koszty przypadające na jednostkę mocy będą w przypadku mniejszych reaktorów znacznie wyższe.

Ważną zaletą SMR jest możliwość instalowania blisko odbiorców, co obniża koszty sieci i przesyłu energii. Taka bliska lokalizacja stanowi jednak istotną zmianę w filozofii bezpieczeństwa jądrowego, która dotychczas wymagała lokalizowania reaktorów daleko od ośrodków zaludnienia. Zezwolenie na lokalizację obok miast będzie wymagało pogłębionych analiz ze strony dozoru jądrowego, a to oznacza wydłużenie procesu licencjonowania.

Autorzy tekstów opisujących reaktory SMR zgodnie stwierdzają, że ze względu na wysokie koszty ich stosowanie jest ekonomicznie uzasadnione tylko:

- w lokalizacjach położonych daleko od sieci przesyłowej, np. na dalekiej północy w Rosji lub w USA, z relatywnie małym zapotrzebowaniem na energię elektryczną,
- w krajach rozwiniętych jako jednostki uzupełniające niewielki wzrost potrzeb energetycznych w poszczególnych regionach energetycznych,
- jako lokalne źródła ciepła dla przemysłu, miejskich sieci ciepłowniczych, odsalania wody morskiej,
- w krajach o małej łącznej mocy sieci, gdzie duże bloki trudno stosować ze względu na równowagę sieci.

Reaktory SMR nie są w stanie realnie konkurować z reaktorami dużej mocy mającymi pracować jako podstawowe elementy systemu energetycznego.

W większych krajach o stosunkowo dużej gęstości zaludnienia SMR są rozważane przede wszystkim do zastosowań kogeneracyjnych, czyli jednoczesnej produkcji energii elektrycznej i ciepła. Wyższy koszt produkcji energii elektrycznej wynikający z mniejszej skali reaktora jest tu kompensowany dodatkowym zyskiem z wykorzystania ciepła. Reaktory wysokotemperaturowe HTR o temperaturze w obiegu wtórnym rzędu 600 °C i więcej teoretycznie mogą stanowić atrakcyjne źródło ciepła procesowego np. dla fabryk chemicznych. Małe reaktory lekkowodne mogą być wykorzystane do zasilania miejskich sieci ciepłowniczych lub klimatyzacji, a także do odsalania wody morskiej.

Rozważanie możliwości zastąpienia dużych reaktorów pracujących w podstawie obciążenia przez SMR należy uznać za nieporozumienie. Nawet w energetyce węglowej budowa bloków 100 czy 200 MW jest dziś mało opłacalna ze względu na część kosztów, która nie skaluje się z mocą. W energetyce jądrowej ten nieskalowalny składnik jest jeszcze większy ze względu na bardziej złożone systemy sterowania, zwielokrotnione systemy zabezpieczeń, obudowę bezpieczeństwa (która musi wytrzymać uderzenie samolotu) itp. Potwierdzają to m.in. wnioski tegorocznego raportu brytyjskiego Energy Technologies Institute: „Jedynie duże reaktory jądrowe umożliwią do roku 2035 Wielkiej Brytanii efektywną transformację w kierunku gospodarki niskoemisyjnej". Co więcej, autorzy raportu stwierdzają wprost, że „SMR w porównaniu z dużymi elektrowniami jądrowymi będą mniej efektywne kosztowo".

Rynek SMR jest o tyle trudniejszy, że nie ma możliwości stopniowego rozwoju bazy produkcyjnej. Ceną za mały koszt inwestycji u odbiorcy reaktora jest wysoki koszt inwestycji w fabrykę reaktorów u producenta. Stanowi to bardzo

Fot. Shutterstock



poważną barierę wejścia na rynek. W przypadku produkcji małych reaktorów wszystkie urządzenia będą powstawały w fabryce producenta za granicą, a niski udział polskiego przemysłu byłby niezgodny z celami Strategii na rzecz Zrównoważonego Rozwoju. Ponadto produkcja całego modułu w fabryce oznacza duże ryzyko uszkodzenia w transporcie. Dla porównania, w przypadku niektórych reaktorów o dużej mocy montaż odbywa się na placu budowy, a transport obejmuje tylko pojedyncze elementy i urządzenia, co znacznie zmniejsza ryzyko uszkodzeń.

BARIERA BEZPIECZEŃSTWA

Drugą barierą jest kwestia licencjonowania. Wypracowane dotychczas przez dozory jądrowe procedury licencjonowania dużych reaktorów nie są adekwatne do SMR. Koszty licencjonowania pierwszych SMR będą więc istotnie większe, gdyż muszą pokryć także komponent związany z opracowaniem nowych procedur. Tymczasem inwestor nie zaryzykuje wkładu finansowego w reaktor, co do którego nie ma pewności, że uzyska licencję. Z kolei producent nie sfinansuje licencjonowania bez zamówienia od inwestora w portfelu. Mamy do czynienia z błędnym kołem, które może przerwać tylko wsparcie z pieniędzy publicznych. Takie rozumowanie stało za decyzją USA o wsparciu finansowym na dopracowanie projektu wybranego SMR i na przygotowanie dozoru do jego licencjonowania. W styczniu 2012 r. rząd USA ogłosił konkurs, którego budżet wynosił 452 mln dol. na pięcioletnie dofinansowanie jednego lub dwóch projektów w zakresie reaktorów SMR.

Wysiłki, by doskonalić reaktory SMR, trwają. W Wielkiej Brytanii firma Rolls Royce opracowała raport na temat zalet reaktorów SMR i trwają starania przemysłu jądrowego, by rząd udzielił wsparcia budowie tych reaktorów. Wydaje się to kuszącą perspektywą, również dla części środowiska energetyków w Polsce. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę z realiów. Według zasady przyjętej w polskich przepisach Polska może się zdecydować na budowanie tylko takiego typu reaktora, który został już zbudowany w innym kraju i dla którego dysponujemy doświadczeniem eksploatacyjnym. Wymagania te spełniają nowoczesne reaktory III generacji.

Reaktory ABWR pracują już ok. 20 lat, a dwa reaktory EPR i cztery reaktory AP1000 już rozpoczęły pracę. Dalsze bloki z reaktorami EPR, APR 1400 i AP1000 są budowane i mają licencje dozoru jądrowego w Finlandii, we Francji, w Wielkiej Brytanii, w Chinach, Kanadzie, USA i Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Natomiast SMR to reaktory nowego typu, dlatego trzeba poczekać z ich wyborem do chwili uzyskania doświadczeń z ich budowy i eksploatacji, a nie testów laboratoryjnych. Jak duże ma to znaczenie, może świadczyć fakt, że w trakcie rozruchu bloku EPR w Olkiluoto odkryto problemy ze stabilizatorem ciśnienia, który został specjalnie zaprojektowany i nie miał doświadczenia eksploatacyjnego, a jedynie był testowany laboratoryjnie. Biorąc pod uwagę konieczność zebrania doświadczenia eksploatacyjnego, realna data pełnej komercjalizacji, czyli powszechnej dostępności na rynku technologii już sprawdzonej, dla reaktorów SMR to najwcześniej rok 2040.

Dr inż. Andrzej Strupczewski, prof. NCBJ

Przewodniczący Komisji Bezpieczeństwa Jądrowego i rzecznik energetyki jądrowej w Narodowym Centrum Badań Jądrowych, ekspert ds. bezpieczeństwa jądrowego Komisji Europejskiej i Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA), wiceprezes Stowarzyszenia Ekologów na rzecz Energii Nuklearnej SEREN. Autor wszystkich obliczeń osłon reaktora „Maria". Wykonał cykl doświadczeń cieplno-przepływowych w rdzeniu reaktora „Ewa", dzięki czemu moc reaktora „Ewa" podniesiono do 10 MW. Kierował rozruchem technologicznym reaktora „Maria" i opracował wiele analiz bezpieczeństwa reaktorów energetycznych.

Badał bezpieczeństwo elektrowni jądrowych w Armenii, Bułgarii i na Słowacji, Węgrzech, w Czechach, w Rosji i na Ukrainie Prowadził analizy porównawcze wpływu różnych źródeł energii na środowisko i zdrowie człowieka. Jest autorem pięciu książek i 250 prac na temat energetyki jądrowej, uzyskał sześć patentów. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta oraz Złotym Krzyżem Zasługi.

Dla przykładu jeden cykl paliwowy w reaktorze mPower, który jeszcze nawet nie istnieje i wiele wskazuje na to, że może w ogóle nie powstać, miał trwać planowo cztery lata. Dopiero po dokończeniu procesu projektowania, przeprowadzeniu licencjonowania (co wiąże się często ze zmianami w projekcie), budowie pierwszego egzemplarza i wreszcie zdobyciu doświadczenia co najmniej z jednego cyklu eksploatacji można byłoby mówić o oferowaniu go do masowej produkcji. Warunkową decyzję o wyborze technologii można byłoby ewentualnie podejmować kilka miesięcy później, tak by decyzja o rozpoczęciu budowy zapadła z uwzględnieniem doświadczeń operacyjnych, w tym pełnego cyklu paliwowego. Oznacza to, że okres oczekiwania na sprawdzoną technologię SMR (bez żadnej gwarancji) wynosić może nawet ponad 20 lat.

NIE MOŻEMY CZEKAĆ

Propozycja budowy reaktorów SMR oznacza więc odłożenie programu budowy elektrowni jądrowych przynajmniej o kilkanaście lat, przy nieznanych obecnie kosztach energii i nieznanych trudnościach z ich licencjonowaniem, a więc także z nieznanym efektem takich oczekiwań na komercjalizację nowych typów reaktorów. Takie podejście zastosowano za poprzedniego rządu, kiedy jeden z prezesów dużej spółki energetycznej odpowiedzialnej za wdrożenie energetyki jądrowej w Polsce zaproponował zawieszenie programu budowy elektrowni jądrowych na kilka lat celem „poczekania" na nowe technologie. Zorganizowano nawet za pieniądze spółki konferencję, na której udowadniano, że już ok. 2020 r. nowe typy reaktorów będą komercyjnie dostępne. Niestety horyzont stale się wydłuża, a nowe typy reaktorów są wciąż tylko na papierze. Jako państwo potrzebujące już teraz dużych ilości stabilnej i czystej energii elektrycznej nie możemy ponownie popełnić takiego błędu.

23/07/19/F | 4/0619/F

eprasa.pl 4bd55e39c4

niedziela

TYGODNIK KATOLICKI















WIARY GODNA

- Ponad 90 lat tradycji od 1926 r.
- Dociera do 80% parafii w Polsce
- 19 redakcji lokalnych
- niedziela.pl – 1,5 mln odsłon miesięcznie
- „Niedziela Młodych”
- Program TV z omówieniami
- Twoja reklama na łamach i w internecie

niedziela · Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów · księgarnia niedziela · TECZA w przyjaźni z Bogiem · niedziela tv · niedziela FM

eprasa.pl 4bd55e39c4



Enea Smart

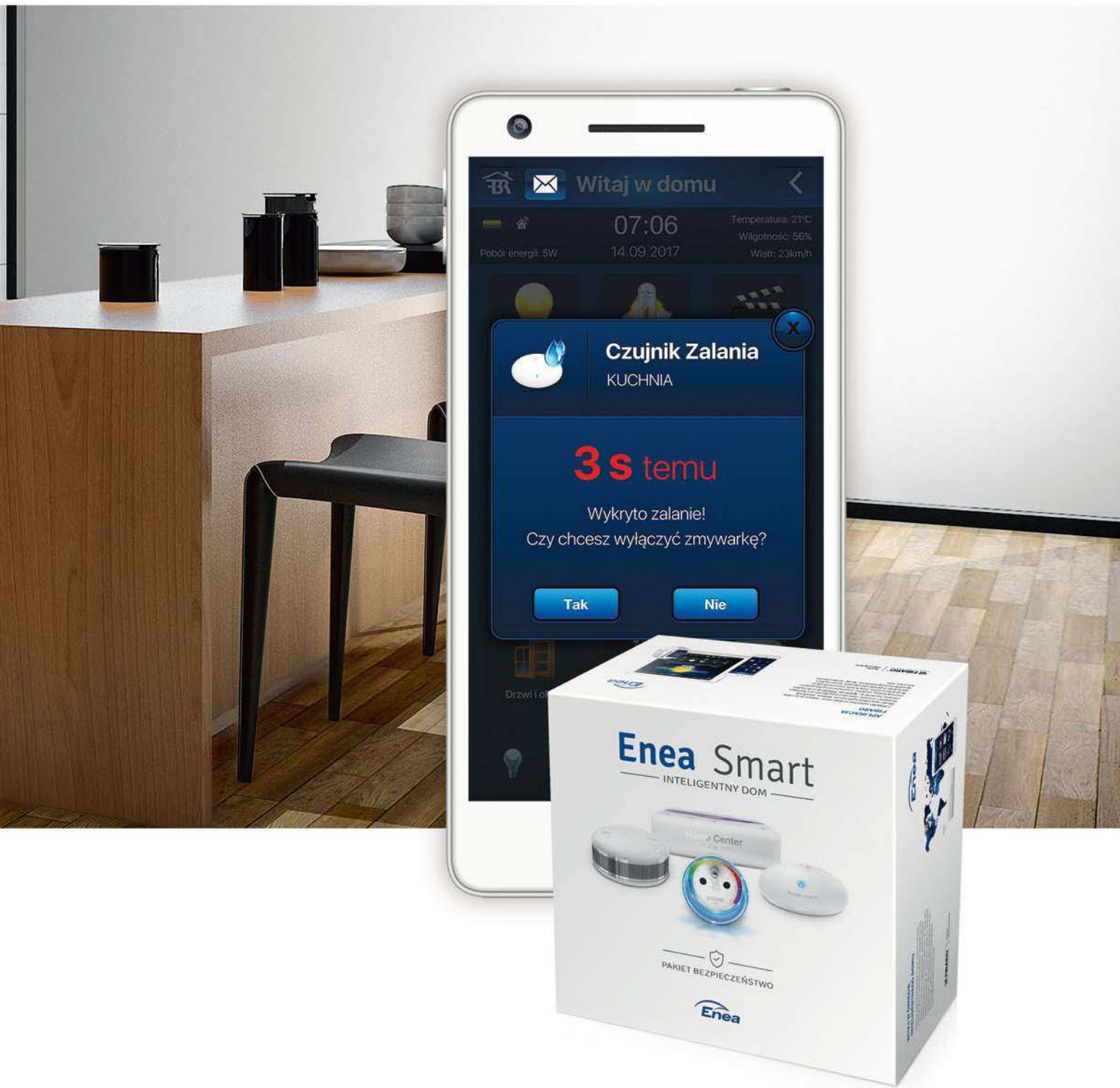
Przełącz się na inteligentny dom!

Podpisz nową umowę na prąd z pakietem **Enea Smart**.
Zyskaj atrakcyjną cenę prądu oraz pakiet inteligentnych rozwiązań, które zabezpieczą Twój dom oraz pozwolą lepiej kontrolować zużycie energii elektrycznej i cieplnej.

Szczegóły oraz regulamin oferty na stronie enea.pl/smart

infolinia 611 111 111

eprasa.pl 4bd55e39c4



enea.pl/smart

eprasa.pl 4bd55e39c4

Z widelcem po najlepsze smaki



DAMIAN KORDAS
najmłodszy zdobywca tytułu MasterChef, współprowadzący program „Widelcem po mapie”

Fot. Materiały prasowe

W tym roku po raz trzeci wybrałem się w podróż wyrysowaną „Widelcem po mapie” (poprzednie edycje współprowadziłem z Aleksandrem Baronem, teraz jeździmy z Jagną Niedzielską). Formuła jest taka sama, czyli na social mediach kanału Kuchnia+ prosimy widzów o wskazanie, gdzie jedli najlepsze... np. pierogi. Potem przeglądamy komentarze, wybieramy dwa miejsca i sprawdzamy.

„Miejscówki” bywają skrajne różnorodne. Od drewnianej szopy gdzieś na trasie Wrocław – Jelenia Góra po restauracje serwujące dania na najwyższym poziomie. Droga czasem prowadzi, także kulinarnie, poza główne szlaki. Dzięki temu w agroturystycznym otoczeniu Starej Kuźni na Mazurach k. Giżycka skosztowałem wyśmienitych podrobów z baraniny. Danie przypominające sałatkę caprese okazało się genialnym w smaku grillowanym jagnięcym sercem. Delikatnie wędzonym, idealnie doprawionym. Podano je z polskimi pomidorami: mięsistymi i soczystymi. Znakomite połączenie.

Całkiem innych wrażeń dostarczyła mi wspomniana wcześniej drewniana buda przy drodze szybkiego ruchu (w pobliżu miejscowości Wilków Wielki). W środku dwa stoliki, w menu jedna potrawa: grochówka, ale taka, jaką pamiętam z dzieciństwa (tata jest żołnierzem). Gęsta, z mnóstwem wyczuwalnych składników: i kiełbasa, i dużo grochu, i majeranku. Dobrze przyprawiona, powiedziałbym „po męsku”. Za 10 zł można sobie dolewać, ile się zje. Kiedy trafiliśmy w tamto miejsce, kwitły obsiane rzepakiem pola. Rewelacja!

W najnowszym sezonie widelec poprowadzony po mapie doprowadził nas m.in. do Lublina (jego klimatyczna Starówka przypomina mi rytmem najstarszą część mojego rodzinnego Wrocławia) i do żydowskich korzeni tamtejszych przysmaków. Wśród nich cebularzy – wytrawnej alternatywy dla słodkich bułek.

W planach mamy m.in. spróbowanie kremówek w Wadowicach. Muszę się tu przyznać, że rok temu podczas Dni Wadowic byłem jurorem w konkursie na najlepszą kremówkę. Skosztowałem wtedy 10, każda była inna, trudno więc powiedzieć, jaki smak mógł zapamiętać Jan Paweł II.

Ponieważ jednak wspomniane przez niego ciastko można dziś zamówić dosłownie wszędzie, więc poszukujemy też innego miejsca w Polsce, w którym na kremówki warto się skusić. Wciąż czekamy na propozycje, a dokąd dotarliśmy i czego próbowaliśmy, można premierowo sprawdzić co piątek o 22.30 (powtórki są codziennie).

W naturalny sposób od dziecka łączyłem podróże z poszukiwaniem nowych smaków. Miałem 18 lat, kiedy ruszyłem autostopem do Grecji, by na miejscu spróbować tradycyjnych dań: greckiej sałatki, musaki, souvlaków, tzatzików.

Wybrałem się w tę drogę z koleżanką. Jechaliśmy trzy dni, na miejscu byliśmy dwa i wróciliśmy. Można powiedzieć, że pomysł był dość szalony, ale warto było.

Co jakiś czas wracam do Grecji, podobnie zresztą jak do Nowego Jorku, który za każdym razem zadziwia mnie różnorodnością. Oczywiście także kulinarną, ale samo miasto oferuje bogactwo skrajnych wrażeń.

Z jednej strony można się poczuć jak w klatce z wysokich budynków, z masą pędzących ludzi, ale wystarczy zmienić dzielnicę, by przenieść się do totalnie innego klimatu. Choćby Brooklyn. Mówią, że to sypialnia Manhattanu. Dla mnie to hipsterska dzielnica ze znakomitą kuchnią, choć nieoznaczoną gwiazdkami jak na Manhattanie. Albo Harlem. Możemy tu spróbować kuchni soulfoodowej, czyli dań dawnych niewolników robionych z najtańszych składników, często z odpadków, a efektem są wspaniałe dania. Nowy Jork, miasto w którym dzięki kolejnym imigrantom mieszają się tradycje i kultury (i przepisy oczywiście też), daje szansę na wiele odkryć.

Wrażeń nie zabrakło mi również na Wyspach Kanaryjskich, gdzie za sprawą programu „Agent” spędziłem siedem tygodni. Piękne krajobrazy i wspaniałe miejsca, każda wyspa inna: najbardziej rozwinięta turystycznie Gran Canaria, popularna Teneryfa i nieco bardziej dziewicze Lanzarote czy Fuerteventura, ale kuchnia mnie nie zachwyciła, choć jest tu tyle produktów.

Niezmiennie za to „smakuje mi” – poza Wrocławiem – małe chorwackie miasteczko Omiš, jakieś 50 km od Splitu. Jeździłem do niego z rodzicami. Kojarzy mi się z dzieciństwem i bardzo dobrym jedzeniem, bo i owoce morza, i wspaniałe ryby... Można się zachwycić kuchnią, ale też spokojem, niezadeptanym jeszcze przez turystów. Tam najszybciej i najskuteczniej ładuję akumulatory.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

eprasa.pl 4bd55e39c4



SŁODKO-SŁONY

Ryż z kalafiora

ANNA MONICKA

Ryż niejedno ma imię. Moje odkrycie z wyjazdu do Frankfurtu to ryżyk z kalafiora podany jak najlepsze mediolańskie szafranowe risotto, okraszony parmezanową pianką. Smakował cudownie i skłonił mnie do przeprowadzenia kilku kulinarnych eksperymentów. Bardzo przyjemnych, bo od początku wiedziałam, że – niezależnie od tego, co wyjdzie – danie będzie smaczne. Bo kalafiorowy ryż trudno zepsuć. Chyba że ktoś go przegotuje, ale tego nie zamierzamy przecież robić. Nie ma nic gorszego niż rozpaprany, miękki kalafior, który opił się słonej wody.

Mój ryż jest zawsze al dente i zawsze bardzo zdrowy (zawiera najmniej węglowodanów z wszystkich warzyw oraz sporo choliny, którą karmi się mózg; do tego błonnik, witaminy C i B, mnóstwo minerałów), bo go wcale nie gotuję. Warzywo nie oddaje więc wodzie cennych składników, nie niszczy ich też wysoka temperatura.

Po pierwsze – kupujemy warzywo dorodne, jędrne, z pięknie rozwiniętymi różyczkami. Wycinamy głąb, dzielimy na floretki i kąpiemy w lodowatej wodzie, żeby wygonić gąsienice. Woda może być osolona, bo sól wyciąga piasek i inne zanieczyszczenia. Potem suszymy je, ładujemy do malaksera i mielimy z wyczuciem. Mają mieć wyraźne ziarenka, więc trzeba w odpowiednim momencie puścić guzik. Ja mam malakser z napędem ręcznym, noże kręcą się, gdy pociągam za sznurek. Polecam takie urządzenie do różnych past. Ma tę wielką zaletę, że tnie, nawet gdy nie ma prądu. Zabieram je z sobą na wakacje, zawsze się przydaje.

Po drugie – gdy mamy już ryż, solimy go delikatnie, żeby nieco zmiękł. Po trzecie – dobieramy zioła i przyprawy: pasuje dużo kopru, pietruszki, szczypior lub dymka, mięta, bazylia (dobrze posiekane), sok z cytryny i jej starta skórka. Wreszcie – pieczone na suchej patelni orzechy – pistacjowe, laskowe, migdały. Wszystkie dodatki siekamy i mieszamy z kalafiorem. Dodajemy odrobinę oliwy.

Możemy taką sałatkę podawać jak samodzielne danie z pieczonym ziemniakiem, grillowaną bagietką lub chlebem – doskonałe drugie śniadanie lub lunch. Możemy nafaszerować nią pomidory, cukinię, pieczarki i zapiec kilka minut oprószone parmezanem. Pyszne z delikatnym, dobrze schłodzonym vinho verde. Na obiad lub kolację.

Fot. Shutterstock x2



WILCZYM OKIEM

Minóg i piskorz

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Istnieją w języku słowa trochę zapomniane, rzadko używane. Znamy je, ale jeżeli mielibyśmy powiedzieć, co tak naprawdę opisują, byłoby trudno. Podobnie jest w świecie przyrody – istnieją istoty niezbyt dynamiczne, niepchające się na afisz, z obrzeży oficjalnego nurtu, które wybrały życie na uboczu. Są, ale nie zdajemy sobie sprawy z ich obecności.

Takie stworzenia mają wspólną cechę. Jak rzadko używane słowa stanowią o bogactwie języka, tak one są niezbędnymi składnikami różnorodności życia.

Piskorz to niewielka ryba o dziesięciu wąsikach, gatunek bardzo odporny na brak tlenu. Żyje nawet w płytkich, wysychających oczkach i rowach, w razie potrzeby oddycha powietrzem atmosferycznym. Jest bardzo wrażliwy na zmiany ciśnienia: kiedy ono spada, podpływa do powierzchni i, wystawiając pyszczek, łyka powietrze, głośno przy tym cmokając (potrafi też piszczeć). Jako żywy barometr trzymany był dawniej w akwariach.

Minogi, których w Polsce występują cztery gatunki, to bardzo ciekawe zwierzęta. Są kręgowcami, nie należą jednak do żuchwowców, tak jak ryby, płazy, gady, ptaki i ssaki, lecz do nielicznej grupy prymitywnych wodnych bezżuchwowców, pozbawionych szczęk, o otworze gębowym w formie przyssawki. W swoim rozwoju przechodzą stadium larwy, która jest drapieżnikiem lub pasożytem, przysysającym się do ryb. Minóg morski i rzeczny to gatunki dwuśrodowiskowe: osobniki dorosłe żyją w morzu, a do rzek wpływają na tarło; tam też żyją larwy minogów.

Zarówno piskorze, jak i minogi były kiedyś powszechnie znane i częste – w przyrodzie, języku i kuchni. Piskorz, zwany też wiunem, był jednym z symboli Polesia, o którym wspomina Sienkiewicz na kartach Trylogii. Przetrwał do dziś w powiedzonku: wić się jak piskorz. Minóg był przysmakiem królewskim – z powodu przejedzenia minogami zmarł angielski Henryk I oraz jerozolimski Amalryk. Obecny jest m.in. w tytule książki Wiecha „Cafe pod Minogą" i nazwie wsi Minoga przy źródłach rzeki Minóżki.

Dziś, na skutek osuszania terenów i zanieczyszczenia wód, piskorze i minogi są coraz rzadsze (znajomy, który zbudował dom na obrzeżach Krakowa, dowiedział się, że jest jedynym, który nie spuszcza szamba do potoku).

Piskorz i minóg – nasze ukryte językowe i przyrodnicze dziedzictwo.

eprasa.pl 4bd55e39c4

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Niechciana rocznica?

Setna rocznica podpisania traktatu wersalskiego jest ważna, ale tylko dla tych państw, które zawdzięczają mu „powstanie z popiołów”



www.wojciechreszczynski.pl

Dlaczego setna rocznica podpisania traktatu wersalskiego nie została zauważona na Zachodzie, we Francji, ale także w Polsce? My oczywiście skoncentrowaliśmy się na świętowaniu roku 1918, setnej rocznicy odzyskania niepodległości. Tymczasem pół roku później, 28 czerwca 1919 r., twórcy naszej niepodległości, ale bez Józefa Piłsudskiego, delegaci na konferencję – Ignacy Jan Paderewski i Roman Dmowski – zalegalizowali polską obecność w Europie, podpisując traktat pokojowy w Paryżu. I to jest wydarzenie dla Polski niezwykle doniosłe. Koniecznie należy je świętować!

Prof. Jan Żaryn jako jeden z nielicznych historyków wspomniał o tej rocznicy w tygodniku „Niedziela”. Podał nawet pewien znamienny fakt. Zapytał bowiem ambasadora Francji w Polsce, czy jego kraj przygotowuje się do uroczystych obchodów rocznicy traktatu wersalskiego – wszak podpisano go w sali lustrzanej pałacu królewskiego, tej samej, która była świadkiem upokorzenia Francji po przegranej wojnie z Prusami w 1871 r. Ambasador użył sformułowania: „To był kontrowersyjny pokój”. Czyli wyraźne wyciszanie historycznego faktu, który – co wydaje się bardzo dziwne – mógłby dziś jakoś dzielić Francję i Niemcy, dwa kraje decydujące o kształcie Unii Europejskiej? I to jest z polskiego punktu widzenia niezrozumiałe.

Sto lat temu ukształtował się nowy powojenny europejski porządek, który uwzględniał wolę suwerennych narodów do samostanowienia. Była to wielka sprawiedliwość dziejowa. Rosja, Niemcy, Austria, mocarstwa zaborcze, przegrane w wyniku I wojny światowej, zostały zmuszone do oddania Polsce i wielu innym podmiotom państwowym Europy Środkowej i Północnej, ale nie tylko, ich etnicznych rodzimych ziem. Oto małe narody, z własną tożsamością, wielowiekową kulturową, bogatą tradycją, a w przypadku Polski – kraju kiedyś ogromnego o powierzchni miliona kilometrów kwadratowych, decydującego o losach Europy, otrzymały szansę kontynuowania swoich dziejów po haniebnych traktatach rozbiorowych oraz innych aktach agresji wielkich mocarstw. Jak tu nie świętować? Jednak dla dawnych zaborców i współczesnej Francji, gospodarza tamtej konferencji, setna rocznica traktatu wersalskiego jest dziś nieważna.

Podobnie jak dla Rosji Władimira Putina, o czym mogliśmy się przekonać 1 września 2009 r. na Westerplatte, w 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej. Nadal trudno mi pojąć, czym się kierował prezydent Lech Kaczyński, zapraszając na uroczystości przedstawicieli dwóch państw, które wspólnie zaatakowały Polskę we wrześniu 1939 r. Czy spodziewał się jakiejś zgodnej historycznej refleksji oddającej prawdę tamtych czasów? Może oczekiwał przyznania się do błędu, jakim był pakt Hitler-Stalin, a może chodziło mu o wspólne uznanie 1 września 1939 r. jako jedynej daty rozpoczęcia II wojny światowej? A może oczekiwał przeprosin ze strony byłych agresorów i zapoczątkowania „pojednania”, podobnego do tego, jakie nastąpiło po II wojnie między Francją a Niemcami? Tymczasem Putin, wyraźnie rozsierdzony przemówieniem prezydenta Kaczyńskiego oddającym polski punkt widzenia, kilka razy szeptał coś do siedzącej obok niego kanclerz Angeli Merkel. A potem bez ogródek połączył wybuch II wojny światowej z traktatem wersalskim. Jak wiadomo, oba kraje nie brały udziału w paryskiej konferencji pokojowej: Niemcy ze względu na przegraną wojnę, a Rosja ze względu na nieuznawany przez Zachód rząd bolszewicki oraz separatystyczny pokój, jaki zawarła z Niemcami w Brześciu, wbrew stanowisku państw Ententy. Oba państwa czuły się przegrane, pozbawione możliwości kształtowania politycznej wizji przyszłej Europy.

1 września 2009 r. na Westerplatte Putin powiedział wprost, że traktat wersalski stał się źródłem niemieckiego nazizmu. Potwierdził „zło” tkwiące w porządku wersalskim, usprawiedliwiając tym samym politykę Stalina kontestującego Wersal i równocześnie wspomagającego, wbrew traktatowi, budowę potęgi nazistowskiej III Rzeszy. Zresztą z wzajemnością. Za surowce sprzedawane Niemcom Związek Radziecki mógł unowocześniać swoją armię, a Niemcy przygotowywać się do ataku na Kraj Rad. A Polska? Zarówno dla Rosji, jak i Niemiec przez całe lata była „bękartem traktatu wersalskiego”.

Putin w swoim wystąpieniu przypomniał, że Europa zawsze była zgodna, ale tylko wtedy, gdy Niemcy i Rosja prowadziły wspólną pokojową politykę. Dodajmy – połączoną ekonomicznymi interesami.

Tak więc w europejskim kalendarzu historycznym setna rocznica podpisania traktatu wersalskiego jest ważna i szczęśliwa, ale tylko dla tych państw, które zawdzięczają mu „powstanie z popiołów”. Dla Francji niewygodna, Niemcom i Rosji przypomina o ich klęsce i o wielkim, niezasłużonym, oczywiście według nich, upokorzeniu.

65/0519/F

eprasa.pl 4bd55e39c4



SALTUS
UBEZPIECZENIA

ZDROWY ORGANIZM
TWOJEJ FIRMY

PRACODAWCO!

STWÓRZ Z NAMI NAJLEPSZE MIEJSCE PRACY DLA SWOICH PRACOWNIKÓW

Wymagający rynek pracy w Polsce stanowi obecnie wyzwanie dla firm. Do najbardziej pożądanych benefitów pracowniczych należą ubezpieczenia zdrowotne.

SALTUS ZDROWIE to najlepiej dopasowany program zdrowotny dla pracownika.

Oferujemy programy zdrowotne w ramach medycyny pracy:

- profilaktyka kardiologiczna
- profilaktyka onkologiczna
- profilaktyka neurologiczna
- profilaktyka chorób układu oddechowego
- profilaktyka nabytych wad postawy
- profilaktyka nabytych wad wzroku
- profilaktyka nabytych wad słuchu
- profilaktyka następstw urazów

Dysponujemy jedną z największych sieci **blisko 1800 placówek medycznych** na terenie całego kraju.
Umożliwiamy aż **5 różnych sposobów umówienia wizyty**.
Udostępniamy wygodną opcję **telekonsultacji medycznych**: przez chat, videochat lub telefon.

Zadbaj o swoich pracowników, zapytaj o ofertę: **zdrowie@saltus.pl**

www.saltus.pl

eprasa.pl 4bd55e39c4

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Zwichnięta waga



Witold Gadowski

Jesteśmy jak statek bez balastu, jak zwichnięta waga. Okazało się bowiem, że to, co uchodziło za opozycję, to w istocie gromada rozpieszczonych i nieodpowiedzialnych bachorów. Nie ma w Polsce rzetelnej opozycji, która buduje swoje wiano na przedstawianiu alternatywnych wobec programu władzy rozwiązań. Układ jest mocno zwichnięty i widać, że tzw. opozycjoniści chodzili dotychczas na szelkach zewnętrznych sił i gdy trochę im te lejce poluźniono, nie wiedzą, co z sobą począć. To sytuacja wysoce niebezpieczna i coś z tym trzeba zrobić. Nie żebym kibicował PO i całej reszcie ancien régime'u, ale dla zdrowia układu ktoś musi z troską o państwo recenzować poczynania władzy. Skoro „opozycja" tego nie potrafi, to kto?!

Odpowiedź jest najbardziej banalna z możliwych – my, społeczeństwo, obywatele. Niestety innej drogi nie ma. PiS i przyległości najpewniej wygrają nadchodzące wybory – o ile jacyś obcy szatani nie będą przy tym czynni. Cyrkowo-niesamodzielne towarzystwo przegra, ale to nie powinno nas usypiać. Bo co będzie, jak się PiS tej władzy nałyka i zacznie się bisurmanić?

Chcesz pomóc Polsce, to nie bądź tylko kibicem albo pieczeniarzem wdzięczącym się do władzy. Tu trzeba zorganizowanych grup ludzi, którzy będą potrafili głośno artykułować dobre pomysły, przeciskać jej przez cholesterolowe korytarze władzy. Polacy muszą być aktywni, bo to dopiero pierwsza połowa meczu o wszystko. Władza musi być w napięciu i uwadze, ktoś powinien jej spoglądać na ręce i formułować lepsze od niej rozwiązania. A zatem właśnie patriotycznym obowiązkiem tzw. prowincji i tych, którzy z odrazą odżegnują się teraz od polityki, winno być organizowanie się i poważny namysł. Nie ma co więc marudzić ani popadać w splendid isolation, musimy tworzyć – i to za własne pieniądze, trawiąc na to prywatny czas – grupy eksperckie i rozwijać dobre pomysły, choćby one szły na przekór politycznemu zapotrzebowaniu rządzących. Pamiętajcie, że największe problemy jeszcze nie zostały tknięte. Trzeba rozwiązać gordyjski węzeł ubezpieczeń społecznych, postawić na nogi służbę zdrowia, ale przede wszystkim Polsce potrzeba nowej konstytucji. Przestańcie wreszcie wierzyć w to, że jedynie władza dysponuje remedium na wszystko i to wszystko samo się zrobi.

Skoro nie ma poważnej opozycji, to obywatelskie inicjatywy powinny utrzymywać władzę w pionie.

Mój dziadek Teofil



Lech Makowiecki

Mój dziadek Teofil Makowiecki, uczestnik Bitwy Warszawskiej i kampanii wrześniowej, nie zginął na froncie. Za odmowę podpisania volkslisty (ziemię dobrzyńską włączono do III Rzeszy) został wysiedlony z rodziną do obozu przejściowego w Toruniu. I zatłuczony na śmierć przez niemieckich strażników. Za hardość. Czy mógł ocalić życie i zachować majątek? Ależ tak, wystarczyło się wpisać na tzw. listę narodową. Teofil doskonale wiedział, czym grozi uparte trwanie przy polskości na przeznaczonym do zniemczenia terytorium. Jesienią 1939 r. Gestapo (przy wsparciu miejscowego Selbstschutzu) wymordowało w powiecie rypińskim większość ziemian, księży, nauczycieli, urzędników państwowych, policjantów itp. Zlikwidowano całą lokalną inteligencję! „Listę śmierci" sporządzał miejscowy pastor Krushe, członek NSDAP. Dziadek, cieszący się prestiżem patrioty, domyślał się, że figuruje w wykazie niepokornych Polaków. Podpisując lojalkę, ocaliłby na chwilę status quo; być może wkrótce poległby „za führera" gdzieś pod Stalingradem. Gdyby jednak przeżył, byłby napiętnowany jako zdrajca. W moim rodzinnym Rypinie wiele lat po wojnie podczas uroczystości państwowych starzy weterani ostentacyjnie wyszli z sali ze względu na obecność byłego volksdeutscha.

Dlaczego o tym piszę? Bo dziś coraz liczniejsza grupa obywateli Rzeczypospolitej dobrowolnie zrzeka się swej polskości. Gloryfikowanie „freie Stadt Danzig" przez władze Gdańska budzi zdumienie. Czyżby nie słyszeli o prześladowaniach gdańszczan polskiego i żydowskiego pochodzenia, o krwawej hekatombie w Piaśnicy? Posłanka Scheuring-Wielgus opluwa z trybuny sejmowej rząd II RP i podważa sens obrony Westerplatte! Agnieszka Pomaska z PO kwestionuje działania podejmowane dla uhonorowania bohaterstwa polskich żołnierzy! A liderzy totalnej opozycji dopraszają się o niemiecką kuratelę. Jak nazwać takich ludzi? Mój dziadek miałby na nich tylko jedno określenie...

2/0619/F

eprasa.pl 4bd55e39c4

Rozwijamy się dla Ciebie!

Każda złotówka, którą przeznaczasz na gry liczbowe LOTTO, **to 19 groszy dla sportu i kultury**

TOTALIZATOR SPORTOWY

12 PONAD MLD

Przekazane na Fundusz Rozwoju Kultury Fizycznej
od 1994 roku

#WygrywamyRazem

#RazemDlaSportu | **#RazemDlaKultury**

2 PONAD MLD

Przekazane na Fundusz Promocji Kultury
od 2003 roku

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

LOTTO · Lotto · Eurojackpot · Ekstra Pensja · Super Szansa · Multi Multi · Mini Lotto · Kaskada · Keno · Zdrapki

eprasa.pl 4bd55e39c4

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Depozyt



Aleksander Nalaskowski

Spór władz Gdańska z rządem o Westerplatte to oczywiście spór zastępczy. Bo bez wątpienia idzie o to, aby rządowi (to znaczy oczywiście Kaczorowi) przyłożyć, a dzięki temu zaznaczyć istnienie pani Dulkiewicz, którą użyteczni idioci widzą na urzędzie prezydenta RP. Cała sytuacja przy okazji pokazuje jak w soczewce poziom intelektualny samorządowców. Niestety moralny także. Nie jestem wszak pewien, czy publiczne stwierdzenie wiceprezydenta Gdańska Piotra Grzelaka, że dramat II wojny wziął się stąd, że „na początku było słowo, złe słowo. Słowo jednego przeciwko drugiemu. I to złe słowo było Polaka przeciwko innemu narodowi, Niemca przeciwko innemu narodowi", to tylko nieuctwo i głupota czy także coś wysoce niemoralnego. Czy prostactwo umysłowe takich klakierów jak poseł Rząsa, który w reakcji na specustawę napisał, że Westerplatte powtórnie upadło, i to drugi raz za sprawą barbarzyńców, jest wyrazem wydestylowanej głupoty z głupoty, czy to kompletne poczucie bezkarności tego gościa. Jest jednak część komentatorów czy dyskutantów, którzy całą tę sytuację próbują jakoś zrozumieć i zadają sobie pytanie, czyje właściwie jest Westerplatte?

Państwo nie zabiera Gdańskowi terytorium, bo Westerplatte – tak jak Gdańsk – należy do Polski

Otóż ten kawałek ziemi przed wojną, drogą ustaleń politycznych, znalazł się w obszarze Wolnego Miasta Gdańska. Mieściła się tam polska wojskowa składnica tranzytowa, a teren był eksklawą, czyli terytorium polskim. Polskim, a nie gdańskim! Stacjonował tam polski (!) garnizon w sile 182 żołnierzy. Kto ciekaw, niech sprawdzi w internecie, że wszyscy byli Polakami. Skąd byli? Ano z obecnego województwa podkarpackiego, lubelskiego, małopolskiego, wielkopolskiego, byli z terenów Wileńszczyzny i obecnej Białorusi. Byli z Polski, a nie z zawłaszczanego przez Niemców Gdańska. Byli polskim wojskiem, którego sztab generalny mieścił się w Warszawie, a nie w Gdańsku. Znaleźli się tam z rozkazu polskiego dowództwa, a nie z rozkazu wysokiego komisarza Ligi Narodów Jakoba Burckhardta ze Szwajcarii, a 1 września nie bronili Gdańska, lecz Polski. Byli wybitnymi żołnierzami. I gdyby każdy polski żołnierz był tak skuteczny w kampanii wrześniowej jak westerplatczycy, to po miesiącu z armii Hitlera nie byłoby co zbierać, nie miałby kto jeździć tygrysami ani latać stukasami. Taka jest bowiem statystyka bohaterstwa Westerplatte.

Państwo nie zabiera Gdańskowi terytorium, bo Westerplatte – tak jak Gdańsk – należy do Polski. A wszelkie wrzaski należy traktować jako próbę naruszenia integralności ziem polskich. Z Grzelikami i Rząsami trzeba się rozprawiać bez litości, a nie dawać im czas na refleksję i skruchę. Uderzenie w Polskę i polskość w ogóle to zbrodnia. Zatem działania gdańskich samorządowców w sprawie Westerplatte są po prostu przestępcze. Jeśli chcą, to mogą sobie na radnego wybrać nawet małpę z oliwskiego zoo, ale dysponować Westerplatte nie mają prawa. Bo to tylko depozyt.

Kto tam ostatnio był, ten wie, że to teren skrajnie zaniedbany i opuszczony. Nie wygląda jak tzw. trwała ruina (pojęcie zabytkoznawców), ale jak zniszczona jakaś inwestycja socjalizmu. Ruiny się też konserwuje! Gdańsk dostał Westerplatte pod opiekę i się z tego zadania nie wywiązał. Opieszałość w tym zakresie była niespotykana. Już nie idzie tu o śmieci, ale o jakiekolwiek znaczące oznaki pietyzmu i dbałości o to miejsce. Ono musi przemawiać do młodzieży, do gości z zagranicy, także niemieckich. W dobie, gdy nieznajomość historii jest powszechna, gdy mówi się o „polskich obozach zagłady", takie miejsca muszą krzyczeć, a nie straszyć jak zrujnowany PGR. Jeśli estetyka pegeerowska na Westerplatte jest prezydent Dulkiewicz bliska, czego razem z poprzednikiem dowiodła, to myślenia w tym stylu mogłaby się już naprawdę wyzbyć.

Kawał dzieciństwa spędziłem w Gdańsku-Wrzeszczu na ul. Wajdeloty. I jako berbeć byłem przekonany, że śpiewny akcent kresowy to specyficzny gdański dialekt. Bo Gdańsk po wojnie to była ziemia obiecana kresowiaków i przybyszów z centralnej Polski. Tworzący legendarny teatr Bim-Bom Cybulski, Kobiela czy Fedorowicz nie byli gdańszczanami. Cybulski urodził się na dzisiejszej Ukrainie, Kobiela w Katowicach, a Fedorowicz w polskiej Gdyni. Moim niedalekim sąsiadem był Jerzy Skrzypczyk, muzyk z Czerwonych Gitar – najsłynniejszej gdańskiej kapeli. Onże urodził się na Lubelszczyźnie, Seweryn Krajewski w Nowej Soli, a Krzysztof Klenczon w Pułtusku. A gdyby tak popatrzeć w metryki stoczniowców z 1980 r., pewnie wyszłoby tak samo. Bo Polska tworzyła dzisiejszą gdańską kulturę i pozycję tego miasta od podstaw. Póki miasto nie okrzepło i nie stanęło na własnych nogach.

Usłyszałem gdzieś propozycję, aby kandydatów na wyższych urzędników samorządowych, posłów, ministrów poddawać egzaminowi z historii Polski. To chyba niegłupi pomysł. Chyba warto, bo wciąż nam wyskakuje jakaś Ola, która jak onegdaj poseł Joński z SLD twierdzi, że powstanie warszawskie było w 1989 r. Takie nasze swojskie morusy bassanusy.

Autopromocja

eprasa.pl 4bd55e39c4

PRZEZ ŚWIETLIK

Dowód z Dolasa

Niemiecki parlament stwierdził, że Polsce nie przysługują reparacje. Niektóre z naszych mediów doniosły o tym w takim tonie, jakby sprawa została rozstrzygnięta. Właściwie to nie były nawet Bundesrat ani Bundestag, tzn. nie zrobili tego niemieccy parlamentarzyści, tylko „zespół ekspertów". W tej sytuacji sprawa posprzątana. Z tak obiektywnym i w oczywisty sposób właściwym do rozpoznania sprawy ciałem nie ma nawet co dyskutować. Reparacje Polsce się nie należą, i basta. Należałoby w tym trybie „rozpoznać" i inne sprawy wciąż ciążące na relacjach polsko-niemieckich. Jestem pewien, że europosłanka Róża Thun akurat temu mojemu pomysłowi przyklaśnie.

Ostatnio sporo się mówi o zasadzie, że nie wolno być sędzią we własnej sprawie. W tym przypadku oczywiście nie mamy do czynienia z taką sytuacją i rozstrzygnięcie bundes-ekspertów powinno być w gruncie rzeczy ostatecznym wyrokiem. W końcu sprawa dotyczy nazistów, a nie Niemców.

W związku z tym szacowni eksperci w dalszej kolejności powinni rozstrzygnąć pozostałe kwestie historyczne, szczególnie ze względu na zbliżającą się rocznicę wybuchu II wojny światowej. Ostatecznie stwierdzić, że to jednak Polacy ją rozpętali. Oprzeć można to bądź na ponownej ekspertyzie materiału zgromadzonego w sprawie ataku na radiostację w Gliwicach, bądź na zarchiwizowanym przyznaniu się kanoniera Dolasa zawartym w tytule filmu, którego był głównym bohaterem.



Wiktor Świetlik

Można będzie skonstruować dowód, że to Polska powinna Niemcom wypłacić odszkodowania. Jednak jest światełko w tunelu – jak ekipa Tuska wygra wybory, to będą one niższe

Dalej jest łatwo, bo we współczesnej kulturze masowej, a czymże ona jest jak nie lustrem rzeczywistości, mamy i dzielnego bezinteresownego Oskara Schindlera, i zagubionych chłopców z serialu „Nasi ojcowie, nasze matki", a także tabuny zdziczałego polskiego chłopstwa mordującego Żydów.

Jeśli potrzebne będzie bardziej naukowe potwierdzenie, to przecież znajdą się odpowiedni polscy naukowcy, zawsze ci sami, którzy za należyty grancik dowiodą, czego trzeba. I materiał do odpowiedniej ekspertyzy gotowy. Można będzie nawet skonstruować dowód, że to w gruncie rzeczy Polska powinna Republice Federalnej wypłacić odszkodowania. Jednak jest światełko w tunelu – jak ekipa Tuska wygra wybory, to będą one niższe.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia





Lekcja czytania mapy

Kilka uwag po „samobójczej" wypowiedzi pani Dulkiewicz

JAN POSPIESZALSKI

Gdyby sprawa nie dotyczyła samobójstw – tematu niezwykle bolesnego – wypowiedź prezydent Gdańska można by po prostu wyśmiać. Stare przysłowie głosi, że w domu wisielca nie wspomina się o sznurze. Samobójcza śmierć bliskiej osoby należy do najbardziej traumatycznych zdarzeń. Zupełnie zrozumiałe jest więc, że właśnie ten rodzaj śmierci tak często jest chroniony swoistym tabu. Bezczelnym i okrutnym zabiegiem jest używanie jako tematu politycznych spekulacji tragedii, które każdego roku dotykają ponad 5 tys. rodzin w Polsce.

Sprawa zamachów samobójczych jest jednak na tyle poważna, że warto się przyjrzeć statystykom publikowanym przez portal wPolityce.pl, gdzie cytowane są dane Komendy Głównej Policji. Już pobieżna analiza pokazuje, że prezydent Dulkiewicz po prostu kłamie. Odsetek samobójstw związanych z niepowodzeniami w pracy i w szkole jest znikomy i plasuje się na końcu listy przyczyn targnięcia się na własne życie. Natomiast wśród najczęstszych powodów, które wskazano w policyjnych statystykach, są choroby psychiczne. W tych samych zestawieniach Komendy Głównej częstą przyczyną są też konflikty w rodzinie – przemoc, nieporozumienia, patologie. Wysoko w statystykach plasują się również kłopoty finansowe, w tym szczególnie zadłużenia.

A więc po kolei. Jak widać, nierozpoznana choroba psychiczna (np. depresja) bardzo często prowadzi do tragicznych skutków. Nie trzeba nikogo przekonywać, że więź rodzinna i prawidłowe relacje wśród domowników pozwalają najszybciej rozpoznać i przeciwdziałać skutkom groźnych psychicznych zaburzeń. Brak więzi nie tylko potęguje chorobę, lecz często jest też jednym z bezpośrednich powodów. Amerykańska psycholog Judith Wallerstein, która przez wiele lat prowadziła badania na sporej grupie rodzin w USA, wskazuje rozwód rodziców jako zdarzenie powodujące często gorsze skutki dla psychiki dziecka niż śmierć jednego z rodziców. W jej książkach właśnie rozpad rodziny pojawia się jako przyczyna prowadząca do późniejszych zaburzeń. A więc patrząc na przyczyny samobójstw publikowane przez Komendę Główną Policji, można wnioskować, że trwałe małżeństwo rodziców i kochająca się rodzina to środowisko, w którym samobójstwa pojawiają się najrzadziej.

> Pani Dulkiewicz powinna przemyśleć, skąd ta zależność, że w regionach kraju, gdzie dominuje elektorat jej politycznej formacji, występują obok siebie postawy społeczne prowadzące do samobójstw

Analizując kondycję rodziny w Polsce na podstawie danych GUS za 2016 r. – takich jak urodzenia pozamałżeńskie i statystyki rozwodów – najlepsza sytuacja jest na Podkarpaciu, w Małopolsce, na Lubelszczyźnie i Podlasiu. W tych regionach kraju ponad 80 proc. dzieci rodzi się w pełnych rodzinach, tam jest też najmniejszy odsetek rozwodów (11 proc.). Dla porównania w województwach zachodniopomorskim i lubuskim wskaźnik urodzeń pozamałżeńskich przekroczył 40 proc. Niewiele lepiej jest w województwach pomorskim, kujawsko-pomorskim i warmińsko-mazurskim. Te województwa także są niechlubnymi rekordzistami w statystyce rozwodów – aż co piąte małżeństwo tam się rozpada.

Jak wspomniałem, częstą przyczyną zamachu na własne życie są długi. Analizując statystyki Biura Informacji Kredytowej, procentowo najwięcej niesolidnych dłużników, w tym klientów tzw. chwilówek (ponad 11 proc.), mieszka w województwach północno-zachodnich, a tuż za nimi plasują się mieszkańcy województw: pomorskiego, warmińsko-mazurskiego i kujawsko-pomorskiego (ponad 10 proc.). Na przeciwległym krańcu Polski, na Podkarpaciu, tylko 4 proc., a w Małopolsce, na Lubelszczyźnie i Podlasiu tylko 6 proc. dorosłych mieszkańców ma kłopot ze spłatą zobowiązań.

Pani Dulkiewicz powinna więc przemyśleć, jaki obraz wyłania się z cytowanych wskaźników. Skąd ta zależność, że w regionach kraju, gdzie dominuje elektorat jej politycznej formacji, występują obok siebie postawy społeczne, które według Komendy Głównej Policji prowadzą do samobójstw. Na czym też polega prawidłowość, że tam gdzie ludzie głosują na PiS, mieszka mniej niesolidnych dłużników i jest dobra kondycji rodziny?

eprasa.pl 4bd55e39c4

Vega a sprawa łososia



Jerzy Jachowicz

A więc to prawda! Obecna władza, jak diabeł święconej wody, boi się zapowiadanej na początek września premiery filmu Patryka Vegi o politykach. – Niestety, nie można liczyć na to, że po obejrzeniu filmu, niczym po rytualnym obmyciu grzesznika święconą wodą, znikną u kierujących dziś państwem polityków psychopatyczne nawyki, a u innych ich wrodzone skłonności do deprawacji i nadużyć – uświadomił to sobie twórca filmu, dzieląc się swoimi przemyśleniami z najbliższymi. Ta refleksja spowodowała, że w ostatnich dniach – jak mówią jego bliscy – ten wielki reżyser jest bliski załamania nerwowego. – Patrykowi na niczym tak nie zależało od czasów wczesnego dzieciństwa, jak na uzdrowieniu życia politycznego w jego ukochanym z całego serca kraju – mówi nam jeden z jego przyjaciół, którym Vega zwierza się z najgłębiej tkwiących w jego psychice trosk i rozczarowań.

Te fatalistyczne przewidywania twórcy filmu o prawdziwej naturze polityków kierujących obecnie państwem potwierdzają się w możliwie najbardziej koszmarnej postaci. I dodajmy od razu – niebezpiecznej dla zdrowia i życia reżysera. Choć początki nie wyglądały tak groźnie. Kalendarz eskalacji zagrożenia wyznaczał postęp w produkcji filmu. Na etapie scenariusza władza uciekała się do umizgów. Jacyś urzędnicy od kultury zapraszali reżysera na spotkania do kawiarni na wiedeńskie śniadania albo do restauracji na lunch, gdzie głównym daniem miał być wędzony łosoś po żydowsku. Śmieszne. Jakby Patryk Vega nigdy w życiu nie jadł wędzonego łososia. Kto teraz odgadnie, co mogłoby być w środku?

Dziś, kiedy Vega kończy zdjęcia do filmu, władza sięgnęła do trudnych do zniesienia form psychicznego nacisku. Tak drastycznego, że trzeba być prawdziwym herosem, aby mu nie ulec. Są to sugestie o możliwości udziału Vegi w jakimś gangu i pociągnięcia go do odpowiedzialności karnej, albo, co bardziej okropne, straszenie, że zostanie nasłana kontrola skarbowa do jego firmy. Ale też słychać jakieś dziwne szumy nocą w ścianach mieszkania.

Patryk Vega cierpi, ale zapewnia, że swoją misję wypełni do końca.

CO MNIE PRZERAŻA

Spór o Westerplatte



Katarzyna Łaniewska

Dwa miesiące przed 80. rocznicą wybuchu II wojny światowej trwa spór o przyszłość Westerplatte. Toczy się on między naszym rządem a prezydent Gdańska.

Westerplatte jest przesiąknięte krwią bohaterów, którzy pierwsi oddali swoje życie za wolność Polski. Ten skrawek ziemi bronił się przed najeźdźcą, który napadł na nasz kraj. Stał się legendą. Nawet w PRL uczyliśmy się o Westerplatte, o obrońcach pisano wiersze i powstał film.

Teraz to miejsce jest całkowicie zaniedbane. Popada w ruinę. Tam, gdzie w bunkrach bronili się żołnierze, leżą śmiecie, butelki i wygląda to jak publiczny szalet. To wstyd. Wiele lat temu byłam z przyjaciółmi w Gdańsku na Westerplatte. Dwóch starszych panów – obrońców – pokazywało nam i opowiadało o tamtych wojennych czasach. Było biednie, ale czysto.

Teraz Gdańsk to miasto, z którego prezydent chce zrobić Wolne Miasto Gdańsk, z niemieckimi napisami i tramwajem imienia niemieckich „bohaterów". Donald Tusk, który pochodzi z Gdańska, skończył tam historię oraz wydał album ze zdjęciami tego miasta, nie umieścił w nim fotografii poczty ani Westerplatte. W Gdańsku, kolebce Solidarności, przez jakiś czas widniał napis: „Stocznia imienia Lenina". I to trwało. Trudno jest zrozumieć, dlaczego tak się dzieje.

Prezydent nie zgadza się na projekty resortu kultury, aby na Westerplatte powstało godne muzeum. Padają słowa odwracające dzieje historii. Wypowiadają je polscy politycy. Słychać, że wojna zaczęła się od złego słowa Polaka. Miliony ludzi, które zginęły po napadzie Niemców na Rzeczpospolitą, to niby przez słowa Polaka? O czym tu się mówi? Radni Gdańska starają się nam wmówić, że to Polacy zaczęli II wojnę światową? Nic takiego się nie stało. To nie była wojenna komedia z Marianem Kociniakiem.

Nie rozumiem, dlaczego chcą powstrzymać budowę muzeum. Sądzę, że nasz rząd i gdańszczanie rozumieją, że tak być nie może, i muzeum powstanie, a teren Westerplatte będzie wspaniały i zadbany.

eprasa.pl 4bd55e39c4

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Ukradli jej patriotyzm

Magdalena Adamowicz czuje się pokrzywdzona przez jedno ugrupowanie

Obecnie ludzie ze świecznika porozumiewają się ze światem za pomocą Twittera. Tam obwieszczają parozdaniowe odezwy. Świeżo oddelegowana z Gdańska do Brukseli europosłanka alarmuje na TT: „Dziś Westerplatte staje się symbolem dzielenia Polek i Polaków, a hasło patriotyzm jest zawłaszczane przez jedno ugrupowanie polityczne. Szukajmy kompromisowych rozwiązań...”

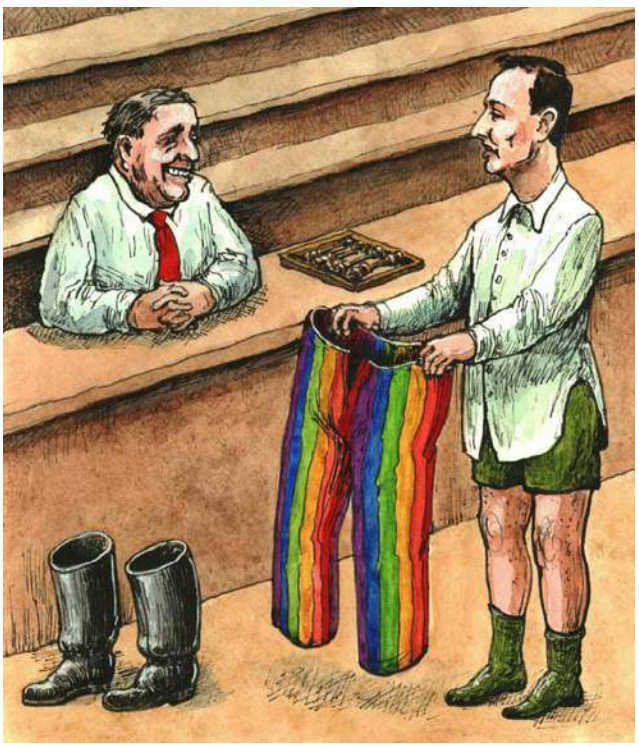


Ryszard Makowski

Ten wpis jest wielopoziomowo interesujący. Czy istnieje coś takiego jak „hasło patriotyzm”? Hasło to było: „W Paryżu najlepsze kasztany są na placu Pigalle”. Patriotyzm to, najprościej ujmując, umiłowanie ojczyzny i przedkładanie jej dobra nad cele osobiste. Co więcej, patriotyzm jest niezbywalny. Nikt nikomu nie może go zawłaszczyć. Wypisywanie, że jakieś bliżej niesprecyzowane (PiS) ugrupowanie polityczne zawłaszcza patriotyzm, jest oczywistą niedorzecznością. To jest pewien kanon zachowań i przekonań. Albo się je respektuje, albo nie. Albo się jest patriotą i działa się dla dobra Polski i uważa się ją za swoją ojczyznę, albo nie. Wydzieranie się, że „ukradli mi patriotyzm”, śmieszy. To znaczy śmieszyłoby, gdyby nie to, co się dzieje w Gdańsku. W mieście, gdzie heroicznie broniono Poczty Polskiej w 1939 r., na budynku widnieje napis „Postamt”, że niby historyczny. Prominentna gdańszczanka i jej środowisko oferują nam patriotyzm kompromisowy, polegający na poszanowaniu interesów niemieckich. Wszyscy wiedzą, jak takich patriotów za niemieckiej okupacji nazywano...

eprasa.pl 4bd55e39c4

***Zawistowski prezentuje:* Nowe gacie**



Wycinki z przeszłości

Także „Wiek Nowy", wydawany we Lwowie dziennik ilustrowany, przyłączył się w 1910 r. do obchodów 500-lecia triumfu grunwaldzkiego. Zwiększała się straszliwie w tamtym okresie presja germanizacyjna w zaborze pruskim, zwalczano język polski i własność polską. Hucznie obchodzona rocznica triumfu wojsk Jagiełły była więc okazją do dodania sił zniewolonemu narodowi. Tak oceniano w „Wieku Nowym" znaczenie bitwy z 15 lipca 1410 r.:

„Waga bitwy Grunwaldzkiej leży przede wszystkiem w charakterze dwóch walczących stron. Siłę, która legła w dniach tej strasznej bitwy bezpowrotnie, znamionowała olbrzymia i bezprzykładna zaborczość. Była to siła expanzywna, chciwa bezustannego wyładowywania się i pochłaniania coraz to nowych pierwiastków. Siła Zakonu Krzyżackiego leżała w pędzie do żarłoctwa nienasyconego, postaciowała się w cielsku rozrastającego się sturamiennego polipa, który po wszystko wyciągał chciwe macki.

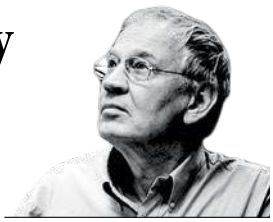


Siłę, która jej się przeciwstawiła, znamionował charakter odporny, zachowawczy, obronny. Była to tama, która stanęła przeciw zalewowi.

Na polu bitwy spotkały się: Słowianin z religijnem poczuciem słusznej obrony swego istnienia i wiarołomny krzyż, którym zakrywano obłudne oczy i niesytą paszczę mnicha-zbója".

(mk)

Czytanie wierszy miłosnych z obowiązku...



Leszek Długosz

O jakież zbiory! Tomy, biblioteki
Od szeptu papirusów
Po elektroniczne już poselstwa
Z wyznaniem – prośbą
Z alarmem na świat cały
– Zmiłuj się nad sercem pognębionym
Isztar – Wenero – Afrodyto...
Nie chce, nie widzi...
Ani spostrzega stosów płomiennych
Z każdym oddechem, z westchnieniem stąd
Na progu tam rozdmuchiwanych

Czytanie wierszy miłosnych z obowiązku...
– Redaktorskie składania w tomy
Wiązania w antologie
Krzątanina w niebezpiecznej strefie zarazy
– Możliwość przeniesienia nastroju
Obudzenia uciszonych demonów
Niebezpieczeństwo sięgnięcia po odłożoną w tamtej chwili
Ampułkę?
– Czytanie wierszy miłosnych po latach, na służbie
– Elegijne uśmiechy nad polami
Dawno rozstrzygniętych bitew
Oglądanie muzealnych zbiorów
Bezpieczne, w rękawiczkach, dotykanie preparatów
Choć słyszy się, słyszy, o przypadkach odebrania rozumu
I w późnej starości
O Wisławo...
Od miłości szczęśliwej, ekspertko najprzedniejsza
– Jesteśmy dobrze już zabezpieczeni?
Stać nas na dojrzałą, za Tobą, powtórkę:
– Niech Ci, którzy nie wierzą w istnienie miłości szczęśliwej
Do końca trwają w tym przekonaniu
Z nim łatwiej żyje się i umiera
PS Uzupełnienie:
– Jakąż łaskawość wyświadcza nam dziś technologia
– Bez zapisanych kartek, bez sztambucha
I bez potrzeby listonosza
Ot zwykły mail, esemes
– Ileż z tym prościej?
Jedno kliknięcie i nie ma świadectw
Śladu nawet najpotężniejszych burz...
Skasowane kiwnięciem palca
Z tym brakiem dokumentacji żyje się potem
I umiera łatwiej i bezpieczniej
Zgódźmy się – wygodniej?

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 4bd55e39c4

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Głosy z wielkiej konwencji

Większość współczesnych działań politycznych toczy się na styku różnych interesów, wiele umyka tradycyjnym modelom, miarom, ujęciom. Pojęcia „nowoczesności" albo „rozwoju" wcale nie są oczywiste, a do rozumienia procesów ekonomicznych i społecznych oraz ich inteligentnego ukierunkowywania już nie wystarczają stare sprawdzone schematy cykli koniunkturalnych.



To polityczne wydarzenie w pamięci zwolenników dobrej zmiany zapisze się jako ogólnie budujące, dostaliśmy wgląd w złożoność wielkiego projektu, jakim jest Polska

„MYŚLĄC POLSKA"

Taki właśnie tytuł miała konwencja programowa Prawa i Sprawiedliwości (i Zjednoczonej Prawicy), którą w Katowicach na początku lipca zorganizował prof. Piotr Gliński, wicepremier oraz minister kultury i dziedzictwa narodowego. Zrobił to z rozmachem (uczestniczyło kilka tysięcy osób) i wielowymiarowo – jak na rasowego socjologa przystało. Poza tym, że to polityczne wydarzenie w pamięci zwolenników dobrej zmiany zapisze się jako ogólnie budujące, dostaliśmy wgląd w złożoność wielkiego projektu, jakim jest Polska.

ZAFRASOWANI

Gdy wychodziliśmy z obrad, podszedł pan, który przedstawił się jako młody emeryt. Przekazał opracowanie z radami mówiącymi, jak podwyższyć retoryczną sprawność posłanek i posłów PiS. Mamy nie zapominać, że „tamta strona" ma w mediach ogromną przewagę i trzeba to nadrabiać lepszym przygotowaniem do publicznych występów.

Inny pan zagadnął: „Mój podwójny prapradziadek uczestniczył w powstaniu listopadowym. Trochę już ustaliłem, ale chciałbym pogłębić i utrwalić wiedzę na ten temat. Czy Kancelaria Prezydenta albo jakaś inna instytucja mogłaby w tej sprawie pomóc?".

Przy wejściu do centrum kongresowego, w którym odbywały się spotkania i dyskusje, stała miła pani z niedużym transparentem „Stop niszczeniu polskich dworów". Wręczyła nam wizytówkę Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego, żarliwie prosząc o pomoc. Nie bardzo wiemy, jak pomóc, ale przeglądamy internet, by lepiej poznać sytuację dworów szlacheckich.

Po jednej z kuluarowych rozmów na adres współautora niniejszego felietonu przyszedł e-mail: „W nawiązaniu do naszej krótkiej rozmowy na konwencji PiS w sobotę chciałbym przypomnieć siebie i temat, o którego wsparcie proszę. Dotyczy samorządu gospodarczego. W naszej rzeczywistości społeczno-politycznej tego samorządu nie ma. Jest ponad 1000 organizacji przedsiębiorców, ale są to organizacje prywatnoprawne, będące w efekcie petentem, a nie partnerem władzy. W naszym ustawodawstwie jest nadużywane słowo samorząd gospodarczy, którego de facto nie ma".

Inna rozmowa dotyczyła klasy średniej: Co z tą klasą, która przecież najefektywniej wspomaga rozwój gospodarczy, kreuje wzory zachowań społecznych i racjonalnej konsumpcji, wpływa na kształt dyskursu publicznego? Czy państwo dobrej zmiany ma pomysł na twórcze rozładowanie coraz częściej wyrażanych przez tę klasę frustracji?

Podczas panelu „Kultura i media publiczne" z sali zgłosił się poeta z listą postulatów, z których pierwszy brzmiał: „500+ dla twórców kultury. Twórcy są obecnie najbardziej upośledzoną grupą zawodową". Jego słowa potraktowano może z lekkim dystansem. Jednak dzień później – na sesji plenarnej „Kultura i media" w wystąpieniu „Czy dobrze być poetą?" o kondycji polskich środowisk artystycznych – wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego Wanda Zwinogrodzka rysuje obraz pokazujący, że poeta miał rację i dodaje – na szczęście – że ministerstwo przygotowuje wiele kroków, by położenie twórców poprawić.

DRUGI NURT KONWENCJI

Te przywołane powyżej głosy – a sygnały tego typu także licznie odbierali ministrowie i inne medialnie rozpoznawane osoby obecne w Katowicach – pokazują, jak ważna okazała się ta konwencja. Dla wielu osób i środowisk była szansą na przekazanie władzy „tam na górę" ważnych, czasem bolesnych spraw. I to była ta wartość dodana tego swoistego drugiego nurtu konwencji, gdy z politykami z pierwszych stron gazet spotykali się działacze z terenu oraz Polacy po prostu (i aż) zainteresowani polityką.

Najważniejsze może jest to, że nie tylko zawodowi politycy i eksperci myślą: Polska.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 1/0719/F

eprasa.pl 4bd55e39c4

Spotkajmy się w telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj od poniedziałku do piątku od godz. 14:00

Pobierz za darmo
pierwszą w Polsce aplikację mobilną,
dzięki której porozmawiasz na żywo w telewizji
z ulubionym dziennikarzem
w nowym programie Studio Polaków.



Studio Polaków

Pobierz bezpłatnie aplikację mobilną na swój smartfon.
Wybierz system operacyjny, który posiadasz:

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

Jeżeli nie masz możliwości zainstalowania
aplikacji mobilnej - nie martw się. Możesz wziąć udział
w programie poprzez kontakt telefoniczny.

Zadzwoń do nas w trakcie programu
na nr. 22-463-49-99

ZGŁOŚ SIĘ DO PROGRAMU:

www.StudioPolaków.pl

PARTNERZY:

Bank Pekao

ORLEN

eprasa.pl 4bd55e39c4

Lato na bogato

Loteriada

Ponad 1000 nagród

Weź udział w loterii od 1 lipca do 31 sierpnia 2019 r.

Kup Lotto lub Lotto Plus oraz inną dowolną grę liczbową za min. 8 zł



2 X PIENIĄDZE NA MIESZKANIE 300 000 zł*

9 X STYLOWY FIAT 500



18 X VESPA PRIMAVERA





27 X SAMSUNG GALAXY S10+



36 X THERMOMIX



45 X HULAJNOGA ELEKTRYCZNA XIAOMI



270 X TABLET GALAXY TAB A



100 X GALAXY WATCH ACTIVE



100 X KARTA PREZENTOWA 500 ZŁ



200 X SŁUCHAWKI



200 X GŁOŚNIK

Lotto | EUROJACKPOT | Ekstra Pensja | Multi Multi | Mini Lotto | Super Szansa | Keno | LOTTO

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

PAMIĘTAJ, ZACHOWAJ KUPON LOTERII PROMOCYJNEJ!

Nagroda pieniężna w wysokości 300 000 zł z przeznaczeniem na zakup mieszkania. Z loterii wykluczone są loterie pieniężne (Zdrapki oraz Kaskada). Zapoznaj się z regulaminem na www.loteriada.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 1 lipca 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 31 sierpnia 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią dostępną pod numerem: 459 595 955, czynną 7 dni w tygodniu w godzinach 8:00 – 20:00. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

eprasa.pl 4bd55e39c4